

# ATENEUM.

## PISMO
## NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM ~~XXXIV.~~ XXXV

**ROK IX.**

TOM III.—ZESZYT III.

**Wrzesień.**

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

—

1884.

# SPIS RZECZY.




*Druk ukończono 30 Sierpnia 1884 r.*

# ZYZMA.

## CZĘŚĆ DRUGA.

Na szerokie, kamienne schody północnego dworca drogi żelaznéj w Wiedniu weszła młoda kobieta, trzymając za rękę dumną i uśmiechniętą Sali. Obie ubrane skromnie, lecz z pewną wykwintną starannością: widocznie, dobry smak młodéj kobiety przewodził. Za niemi szedł Zyzma, trzymając na rękach dziecko. Chłopczyk objął go za szyję, uśmiechając się do ludzi i widzianych przedmiotów.

Odgłos dzwonka odbił się o gotyckie sklepienia, gromadka naszych znajomych przyspieszyła kroku. Konduktor otworzył wagon drugiéj klasy, podał rękę młodéj kobiecie, Sali wbiegła sama, za nią Zyzma z dzieckiem.

Zatrzaśnięto drzwi, od strony lokomotywy dał się słyszéć świst, pociąg ruszył, wtaczając się na żelazny most Dunaju.

Serca uderzyły: młodéj kobiety—przestrachem, radością—Sali. Zyzma, trzymając na kolanach dziecko, wyglądał razem z niém na sine, cicho płynące wody szerokiéj rzeki. Był uroczysty i wzruszony; milczał. Myśli jego wzburzone tłoczyły się do mózgu w takiéj sile i obfitości, że nie mógł ich uporządkować. I jemu również serce biło sprzecznemi uczuciami.

Obejrzał się.

Młoda kobieta zamyślona, smutna, siedziała nieruchomie, patrząc przez otwarte okno wagonu na białe chmury płynące po niebie, Sali patrzała na nią. Po chwili ujęła jéj rękę i przycisnęła do ust.

— Za cóżto, Sali?—spytała młoda kobieta, siląc się na uśmiech

— Za nic, jesteś pani smutna. I nie wiem sama dlaczego, ale cię kocham.

Czy z rozdrażnienia nerwów, czy z wdzięczności za spółczucie dziewczynki, oczy młodéj kobiety wypełniły się łzami. Zyzma szybko się odwrócił, pokazując malcowi wille rozsiane i ludzi idących drogą do Wiednia. Bał się łez swéj towarzyszki, smutek jéj dręczył go.

— Po co ja ją ciągnę za sobą? Czyż nie mogłem jéj zatrzymać w Wiedniu i również się nią opiekować? Na co mi ona potrzebna? Dla zaspokojenia ambicyi, czy serca? A tymczasem, może być niepotrzebnym stróżem mego sumienia. Jest ona zanadto nieskazitelna dla mych interesów, dla méj roli,—dla mnie samego. Bo przecież muszę iść w obranym kierunku podbicia świata, złotem i rozumem, przez rasę Izraela.

Dziecko zasypialo, wspierając główkę na jego ramieniu.

Przywołał Sali, kazał jéj rozłożyć szal i powoli, aby nie zbudzić śpiącego, położył na zaimprowizowaném posłaniu. Młoda kobieta spojrzała na syna i uśmiechnęła się, wyciągając rękę do Zyzmy, którą mimowoli pocałował.

Od téj chwili wróciła harmonia, chociaż na pozór niczém nie była przerwana. Rozdrażnione nerwy niepewnością tak bliskiéj przyszłości, kołysane jednostajnym ruchem wagonu i szczebiotaniem Sali, przycichły.

Młoda kobieta nie zadawała już sobie pytań, jak ona potrafi sprzedawać tasiemki i nici w sklepie żydowskim, w obec swych znajomych i koleżanek, w obec swego towarzystwa.

Mijali monotonną płaszczyznę. Na dalekim południowym skłonie widnokręgu wznosiły się ciemne góry, a tuż przy drodze przesuwały się łany pooranych pól, plantacyi buraków i wykłoszonego żyta. Na stacyach wznoszące się fabryki ani podobieństwem do koszar, ani swemi wysokiemi kominami, nie rozweselały oczu. Należało szukać roztargnienia w własném otoczeniu.

Sali opowiadała o domku na Kazimierzu, o przygodach wycieczek po kraju. Nie wspominała jednak o Franusiu, i gdy myśl jéj wydobyła go z dna serca, rumieniła się i wzdychała.

— Nie cierpię Wiednia,—zawołała—i Niemców. Nienawidzę i niemieckich żydów.

— Głupia,—pomyślał Zyzma.—to są panowie świata, wiedzą czego chcą, ludzie rozumu i energii.

— Prawda, że nie są godni naszéj sympatyi—dodała młoda kobieta. *Neue Freie Presse*, ich organ, bezczelne pismo, miotające obelgi na słabych i nieszczęśliwych.

Zyzma szybko zwrócił się do szyby wagonu, aby ukryć rumieńce.

— Ma pani racyą,—zawołała z właściwą jéj namiętnością Sali, to są łajdaki. Żeby który rzucił choć szóstkę, gdym śpiewała na ulicy a mój biedny ojciec, grając na skrzypcach, omdlewał ze znużenia. Każden z nich stał, patrzał i słuchał choćby godzinę... Zbliżam się z tamburinem, uśmiecha się, wzrusza ramionami i odchodzi. Biedny mój ojciec. Słońce nas spalić chciało, albo wiatr porwać;—westchnęła.—Bogu dziękuję i Zyzmie, że mnie z tego piekła wyrwali. Niech i kochana pani dziękuje.

Zadzwoniono, pociąg zatrzymał się, konduktor otworzył drzwi.

— Przerów,—zawołał—dwadzieścia pięć minut, obiad.

Należało obudzić malca. Zadania tego podjęła się matka. Chłopiec oczy otworzył, wyciągając ręce do Zyzmy.

— On tylko do niego,—rzekła Sali;—widzi pani, nas już ma za nic.

Zyzma wziął na ręce dziecko, zeszedł ostrożnie po stopniach wagonu i aby jak najprędzéj zasiąść przy stole, pobiegł naprzód.

Języki morawski i polski panowały na dworcu. Dźwięk polskiéj mowy onieśmielił młodą kobietę. Zarumieniona szła przyśpieszonym krokiem.

W téj chwili wpadł na stacyą pociąg pośpieszny ze Lwowa i Krakowa. Z wagonu pierwszéj klasy wysiadły dwie panie elegancko ubrane, widocznie matka z córką.

Młoda kobieta, gdy je zobaczyła, zbladła i zarumieniła się. Chcąc uniknąć spotkania, zwróciła się w inną stronę.

— Pani, pani, tędy—wołała za nią Sali;—chodźmy za Zyzmą.

Młoda kobieta, nie patrząc na damy, które ją w téj chwili lornetowały, poszła wprost do sali jadalnéj.

— Mamo, Amelka.

— Niezawodnie i to w towarzystwie jakichś żydów.

— Jakże się mało zmieniła, zawsze jednakowo ładna.

— Ale jak zdziczała, jakie ruchy, ucieka, chowa się. I dobrze robi, jeżeli się czuje winną. Widać, że jeszcze jéj zostało odrobinę wstydu.

— Ależ to, mamo, niepodobna przypuścić, znając jak ja znałam Amelkę. Dumna, szlachetna...

— Jeden krok fałszywy w życiu spycha nas w przepaść,—wydeklamowała mama, chcąc jednocześnie wypowiedzieć swoje opinie i dać moralną naukę córce, w razie gdyby jéj, broń Boże, kiedy potrzebowała.

— Przejdźmy tamtędy, przypatrzmy się jéj z bliska.

— Nie, nie; jużto najlepiéj zostawmy ją w jéj żydowskiém towarzystwie.

To mówiąc, mama skierowała się do pierwszéj klasy, gdzie przy małym stoliczku zasiadły spożywać przyprawy morawsko-czeskiéj kuchni,—jak się o nich wyrażała, robiąc minę męczenniczki.

Po obiedzie młoda, żywa dziewczyna nie mogła się oprzéć swéj ciekawości. Wstała, i udając, że patrzy na oleodruki wiszące na ścianach, podeszła do drzwi, rozglądając się po sali jadalnéj drugiéj klasy.

Tuż zaraz na końcu pierwszego stołu zobaczyła młodą kobietę. Przy niéj siedział jéj syn, obok Zyzma i Sali. Młoda kobieta widocznie pod wrażeniem spotkania była milcząca i zamyślona. Pierś jéj falowała, usta miała zaciśnięte, nozdrza nieco rozwarte. Machinalnie rozgarniała włosy na czole dziecka. Spojrzała w lustro i zobaczyła dwoje oczu dawnéj koleżanki, utkwione w nią. Nie spuściła wzroku ze zwierciadła aż póki nie nabrała pewności siebie i siły, dopiero wtedy spojrzała. Zaledwo parę sekund patrzały na siebie. Pierwsza spuściła wzrok młoda dziewczyna i zarumieniona cofnęła się.

— Mamo, ślicznego ma synka,—mówiła.—Zamyślone i rozumne dziecko jak rafaelowski aniołek. Mam wielką ochotę ucałować go.

Matka stanęła w głębi, patrząc przez otwarte drzwi.

— Ładny chłopak, czarne oczy, blada matowa płéć, prawdziwe rysy wschodnie.

— Ma coś w sobie Chrystusowego,—szepnęła córka.

— Prawda, bo przecież i Chrystus był żydem.

Młoda kobieta namyślała się chwilę: widocznie, walczyła z sobą. Musiała się jednak na coś zdecydować, gdyż szeptała do Sali, co dziewczyna powtórzyła Zyzmie, a sama wzięła syna za rękę i wyprostowana, dumna, pewna siebie udała się do salonu pierwszéj klasy...

Na jéj widok, mama cofnęła się w głąb przestraszona. Młoda kobieta przechodząc, spojrzała na nie łagodnie i wyszła przez otwarte drzwi na peron, kierując się do swego wagonu.

— Zuchwała i dumna, jak zawsze; lecz duma jéj teraz staje się bezczelnością.

— Moja mamo,—przerwała córka,—jestem pewna, że niewinna. Gdybym była sama, przywitałabym ją.

— Szczęściem, że nie jesteś sama,—odparła matka wyniośle.— A co do jéj niewinności, młoda dziewczyna, któréj cnotami były upór i nieposłuszeństwo, nie przechodzi przez życie nieskalana. Mama widocznie lubiła deklamować.—Mąż, przegrawszy jéj posag do ostatniego centa,—mówiła daléj z pewném zacięciem oburzenia—

w łeb sobie strzelił. Wszystko to opowiadała mi Cesia. Wyobraź sobie, że ta dumna, gdy umierała z głodu, upokorzyła się i napisała list do Cesi; a teraz, patrz, ubrana gustowniéj niż my, jedzie drugą klasą, a przy niéj żyd.

— Cóż ciocia Cesia?

— Rozumie się, że nie odpisała.

Szwajcar wygłosił w dwóch językach główne stacye prowadzące do Wiednia i Pesztu. Matka i córka, przejrzawszy się jednocześnie w lustrach, wybiegły żywo.

— Czy te dwie damy są pani znajome?—spytał Zyzma Amelii, gdy pociąg ruszył.

— Tak się w panią wpatrywały,—dodała Sali.

— Są to moje kuzynki,—odpowiedziała.

— Zyzma zamilkł. Z piersi Sali wydobyło się ciche westchnienie, oznaczające zgrozę oburzenia. Młoda kobieta zamyśliła się i w zamyśleniu uśmiechała do swych myśli. Przekonała się, że spotkanie nie było ani tak straszne, ani tak bolesne. Czuła, że się może obejść bez dawnych znajomych a była dość silną i panią siebie, aby patrzéć im w oczy. One się cofnęły, nie mogąc znieść jéj pogodnego wzroku.

Pociąg pędził, mijając stacyą po stacyi. Staś spał przykryty pledem. Młoda kobieta i Zyzma, w pośrodku nich dziewczyna stali przy otwartem oknie.

Zapach skoszonego siana, mgły okrywające błonia, zboża faliste przypomniały im rodzinny kraj, odtwarzając w pamięci młodość. Sali wciągała rozwartemi nozdrzami świeże powietrze, przesycone zapachem traw. Przez powonienie odświeżały się w jéj mózgu wspomnienia.

Dobrze już w noc, daleko na krańcu widnokręgu niewyraźnie świeciła różowa łuna. Pociąg pędził całą siłą pary. Późniéj, nieco, Zyzma wychylając się z wagonu, zobaczył migocące światełka. Świst lokomotywy, często powtarzające się mocne wstrząśnienia wagonów, odgłos dzwonka, pociąg wjechał na oświetloną stacyą.

— Kraków!

— Kraków—powtórzyła uroczyście Sali — zbierając nerwowo drobiazgi. Młoda kobieta również była wzruszona. Zyzma wziął dziecko na ręce, drzwi wagonu otworzono.

— Do Drezdeńskiego hotelu — dał rozkaz służbie, zabierającéj rzeczy z wagonu.—Tam pani sama staniesz—odezwał się—my z Sali pomyślimy o sobie.

Zrozumiała młoda kobieta delikatność ze strony Zyzmy, lecz mu nie śmiała dziękować, przyjmując ją jako rzecz zwykłą.

Napróżno Staś wyciągał ręce, woźnica zaciął konie, karetka potoczyła się, niknąc w ciemnościach.

— No Sali, jesteśmy sami i w twym ukochanym Krakowie.

— Tak—zawołała mała,—jesteśmy i chodźmy na Kazimierz.

— A to po co?

— Ja się tam wychowałam — zawołała wzruszona. — Tam stoi nasz domek. Może spotkam którą z przyjaciółek. Mój Zyzma, stańmy w hotelu Londyńskim: nigdy nie myślałam, żebym w takim wspaniałym gmachu mieszkać mogła.

Poszli. Zyzma pozwolił się prowadzić dziewczynie plantami do bramy, ulicą Floryańską na rynek i Grodzką na Stradom. Miasto, które jéj imponowało swą wielkością, a nawet przygniatało ogromem dawniéj, gdy wróciła ze wsi, dziś wydawało jéj się małe, brudne, brzydkie i ubogie. Zyzma doświadczał tego samego wrażenia, lecz nie objawiał go głośno.

Weszli na Kazimierz. Sklepy o téj porze były już prawie pozamykane. Lecz za to ludność, korzystając z ciepłéj, pogodnéj nocy, cała wyległa na ulice. Długie chałaty, jarmułki i pejsy u mężczyzn, peruki i bindy u starszych kobiet, odkryte głowy u dziewczyn i gwar szwargotu dokoła, wszystko to razem odurzyło młodą dziewczynę. I ona wieczorami w lecie biegała po tych samych ulicach, goniła się lub śmiała.

— Chodź, chodź — mówiła do Zyzmy, — podejdziemy pod bóżnicę, a ztamtąd do naszego domku.

Zyzma milczący i zamyślony szedł za dziewczynką.

— Zadaniem podobno mego życia powinno być—pomagać téj czarnéj zgrai, ciemnéj, upartéj i chciwéj, do owładnięcia światem... uśmiechnął się ironicznie. Podług teoryi redaktora, to tylko jednostki, wyrastające głową po nad tłum, mogą mieć prawo do mych względów. Gdybyście wy wiedzieli, kto się to o was ociera, zrobiłby się tu koło mnie tłok i wrzask. Dreszcz go przeszedł, niechęci i wstrętu, na samą myśl tych wrzasków, tłoku i brudów.

Sali nie mogła zapanować nad sobą. Spotkawszy dwie wesoło rozmawiające żydóweczki, zaczepiła je, pytając się szwargotem o żyda, grywającego na skrzypcach i córkę jego śpiewającą po ulicach.

Dziewczyny zaczęły jéj opowiadać, że żyd z córką zniknęli; późniéj rozeszła się wieść, że są w Wiedniu, że im się tam świetnie powodzi, że córka wstąpiła do teatru i jak urośnie będzie wielką panią, bogaczką, bo się nią opiekuje również wielki pan.

Z pewną rozkoszą dumy słuchała tych wieści Sali, ściskając za rękę Zyzmę, aby tém większą zwrócił uwagę na opowiadanie młodych żydówek.

— To ja jestem tym panem, co się opiekuje Salką—odezwał się Zyzma z uśmiechem.

— Co mi to za wielki pan — zawołały żydówki — co się włóczy po Kazimierzu. Ani koni, ani karety, ani służby—i śmiejąc się, zawróciły i uciekły.

Zyzma się zamyślił.

— Nic sobie z nich nie rób—pocieszała go Sali,—głupie są tak, jak i my, kiedyśmy się na Kazimierzu chowali.

— A tak chciałaś tutaj wracać.

— I wolałabym tu zostać, jak siedziéć w Wiedniu na szóstém piętrze. Pójdźmy jeszcze pod bóżnicę, a ztamtąd zaprowadzę cię do mego domku.

Zamyślony Zyzma dał się powodować. Opowiadała mu przez drogę historyą swojéj młodości. Widziane ulice, domy, sklepy, odtwarzały w jéj umyśle wspomnienia. O jednym tylko Franusiu nie wspomniała ani razu, nie śmiała, chociaż jéj ciągle stał przed oczami.

— Bóżnica nie jest ładniejszą od wiedeńskiéj — rzekł Zyzma z uśmiechem.

— Ale ja tę wolę — zawołała.— Zaczekaj tu na mnie — dodała i pobiegła na wązką uliczkę, zaglądając przez szyby okien do wnętrza swego domku.

W izdebce, w któréj z ojcem mieszkała, siedział za stołem stary żyd, czytając talmud, przy trzech łojowych świeczkach, osadzonych w mosiężnym świeczniku.

Ascetyczna, surowa twarz żyda odstraszyła dziewczynę; spójrzała w drugie okno.

Ta sama żydówka, dawna ich lokatorka, przy jednéj szabasówce robiła pończochę, kiwając się w takt, wymawianych szeptem wyrazów. Dziewczyna nie mogła ustać przy oknie, otworzyła drzwi domu, wbiegając do izdebki.

— Sali! — zawołała stara.

— Tak, to ja—odpowiedziała.

— Wyrosłaś, a jaka z ciebie pani, a jakaś ty piękna. Sali, moja Sali, niech cię Bóg błogosławi, żeś nie zapomniała o staréj. A ojciec twój, dobry ojciec, gdzie on jest?—Głowa jéj się trzęsła, czerwone oczy mrugały.

— Ojca już nie mam—szepnęła smutno dziewczynka.

Stara łzy otarła rękawem.

— Pójdę i ja za nim—rzekła.—Te pończochy co robię, to cały mój zarobek. Głód ściska mi wnętrzności, brak mi już sił, nogi się trzęsą.

Wzruszona dziewczynka wsunęła jéj w rękę pięcio-guldenowy papierek.

Stara, drżącemi rękami z radości, schowała pieniądze.

— Widzisz Salka — mówiła — nic się tu nie zmieniło, nie brak ani jednego gwoździa, tylko mój kark więcéj się pochylił do ziemi. Ty znowu wnosisz szczęście do méj izdebki, nie zapomnisz staréj i niech cię Bóg błogosławi.

— Do widzenia matko—rzekła Sali. Dumna, że wniosła szczęście do izdebki staréj, pobiegła na mały dziedzińczyk, zajrzała przez okno do izdebki, w któréj Franuś nocował i wróciła do Zyzmy.

Młody człowiek zamyślony, z pochyloną głową, szedł miarowym krokiem. Przy nim biegła dziewczynka, rozmarzona wspomnieniami. Żal jéj było, że nie miała w téj chwili przy sobie swego biednego ojca.

Weszli na schody hotelu Londyńskiego.

Służba widząc młodego pana elegancko ubranego, zaczęła mu robić honory. Zyzma się uśmiechał, patrząc na meble hotelu, w którym dawniéj, lat temu ośm, widział zbytek i elegancyą.

Kazał dla Sali dać przyległy pokoik.

— Teraz nam jakoś inaczéj wszystko się przedstawia po Wiedniu, prawda Zyzma? Ale ja wolę Kraków, bo wiem, że tu mogę być panią.

— Zapomniałaś, co powiedziały żydówki: „Co mi to za pan, bez koni, karety i służby“.

— Głupie są — zawołała dziewczyna.

— Ej, ej, moja Sali, czy one czasem nie dobrze mówiły. Powiém ci prawdę, trzeba pójść za ich radą.

— Kupisz konie i karetę?! To dopiero wtedy będziesz prawdziwy pan, i ludzie cię za pana będą mieć. Zajedziesz do swego sklepu karetą, albo z naszą panią na spacer. Może i mnie czasem weźmiesz—dodała cicho.

— Jutro do Białéj pojadę po powóz, konie kupię w Tarnowie.

— Zyzma, ty masz rozum. Te żydówki nie były głupie — zdecydowała Sali, odchodząc do swego pokoju.

Powóz — pyszna idea, myślał młody człowiek, kładąc się. We Lwowie, w kole moich przyszłych znajomych zrobię wrażenie, gdy do nich własnym ekwipażem zajadę. Sam się będę powoził i pokażę jak się to jeździ. A jakie będę miał konie! Już ja je potrafię kupić. Namiętność koniarza zaczęła się w nim odzywać.

Dziewczyna ma racyą, tu z tém co mam, a więcéj jeszcze z tém, jaką ludzie będą mieli opinią o mém bogactwie we Lwowie, uprzedzeni przez redaktora „Nowéj pressy“, można być panem.

Świetne stanowisko, na tle stosunków kraju rodzinnego, kołysało go do snu. Jedna tylko w tych słodkich marzeniach myśl zakłócała mu spokój. Przyszłość młodéj kobiety, którą ciągnął za sobą i przykuwał do siebie, każąc jéj służyć w swym sklepie.

---

Nazajutrz rano dziewczyna, wróciwszy z wycieczki na Kazimierz, rwała się do „pani“ i Stasia.

— Wiesz Zyzma — mówiła — jużbym dziś nie wyżyła na Kazimierzu, taki brudny..... Ci nasi żydzi!... urwała.

— No, no, mów—nalegał z uśmiechem Zyzma.

— Nie porządni—dodała, z pewnym rodzajem obrzydzenia.

— Dopiero teraz zobaczyłaś.

— A jacy głupi, oni się na niczém nie rozumieją, tylko na geszefcie! Ich nic nie obchodzi, tylko zarobek.

— A ciebie — spytał Zyzma.

— Mnie? — zarumieniła się i nie wiedziała co odpowiedzieć.— Mnie dużo rzeczy obchodzi, ale nie chcę o nich mówić. Wykręcała się, bo naprawdę nie wiedziała co powiedzieć.

Zyzma nie nalegał, bo i on po zdobyciu bogactwa, gdyby nie redaktor, który mu wtłoczył w mózg swoje idee, nie wiedziałby co odpowiedzieć.

Poszli do „pani“. Staś do Zyzmy i Sali wyciągał ręce, uśmiechał się, wołając ich po imieniu.

Dziewczynka wybiegła do miasta po sprawunki, Zyzma i młoda kobieta zostali sami.

— Pozwolisz mi pani być szczerym? — zapytał, rumieniąc się, nie wiedząc dla czego.

— Tylko szczerość jest jedyną naszą opiekunką i przyjaciółką—rzekła młoda kobieta, lecz również się zarumieniła.

— Jako uczciwy człowiek, chociaż to zabawnie brzmi w ustach żyda.....

— Tego rodzaju frazesy—przerwała żywo—raz na zawsze miały być wyrzucone z naszych rozmów. Przyrzekłeś pan, a nie dotrzymujesz słowa.

— Przepraszam—szepnął poważnie, - przepraszam, przysięgam szczerość i otwartość. Żal mi pani na stanowisku kupcowéj we Lwowie. Zaczynam podzielać obawy pani, wypowiedziane w Baden. Wtedy byłem w opozycyi, dziś się cofam. Stanowisko pani rodowe, stosunki..... To niepodobna, abyś pani stała za ladą sklepową i sprzedawała tasiemki po dwa centy łokieć, nici, igły, koronki. Nie wy-

trzymasz pani; praca ta zużyje i wyczerpie cię. Należy o czém innéni pomyśléć. Mam projekt, lecz czy się pani nie obrazi?

— Jestem pewna, że uczciwy.

— Najuczciwszy—zawołał.—Czyżbym mógł, czyżbym śmiał?!

Po twarzy młodéj kobiety przemknęły rumieńce, lecz szybko zgasły.

— Mając tak bogatą rodzinę, niezawodnie odbierzesz pani kiedyś spadek.

Młoda kobieta wstrząsnęła głową, że nie odbierze żadnego.

— To stryj lub ciotka dadzą co przecie dla Stasia.

Ruchem głowy zaprzeczyła powtórnie.

— Tak, czy owak, zawsze będziesz pani kiedyś mieć — mówił szybko, udając, że nie widzi wstrząśnień głowy młodéj kobiety.— Tymczasem ja pani pożyczę tyle, aby ci wystarczyło na skromne życie.

— Wolę pracę stokroć cięższą, jak sprzedawanie nici i koronek.

— Stosunki pani, krewni, znajomi..... ludzie...

— Będę pracować uczciwie dla dziecka mego—odrzekła z godnością.

— Ostrzegam panią.....

— Dziękuję. Wszystkie przestrogi pańskie, jakie mógłbyś mi powiedziéć, rozważyłam.

— I — podchwycił Zyzma.

— Nie cofam się. Dziecię moje ma prawo do życia i ma prawo żądać, aby mu je zabezpieczyła pracą swą matka, jeżeli.... Nie miała odwagi dokończyć.

— Jeżeli ojciec przegrał jego majątek—dokończył za nią w myśli Zyzma.

Nastąpiła chwila ciszy. Zyzma nie śmiał się odezwać.

— O jedno tylko proszę—dodała żywo,—o jedną łaskę. Radabym przyjechać i objąć swój obowiązek wtedy, gdy już wszystko będzie gotowe. Przygotowania gnębią mnie i denerwują. Czy zgoda?

— I owszem.

— Nawet skromne mieszkanko radabym zastać.

— Wybornie.

— Nie obawiaj się pan, nie stracisz na mnie. Dużo ludzi z początku będzie zaglądać do pańskiego sklepu, aby zobaczyć za ladą hrabiankę Brańską z domu.

— Właśnie chciałem panią uchronić —pochwycił Zyzma.

— Upokorzeniem—dodała z uśmiechem.—Argumentacye pańskie w Baden, w chwili propozycyi, były więcéj przekonywające.

Wtedy, być może, mniéj pan litowałeś się nademną, lecz za to trzeźwiéj o rzeczach sądziłeś. Nie gniewaj się—wyciągnęła do niego rękę, którą Zyzma pocałował.

— Więc pani nigdy nie będziesz mieć żalu do mnie za to, żem cię ściągnął do Lwowa?

— Oprócz wdzięczności nic więcéj i nigdy—rzekła uroczyście.

Uroczystość i powaga młodéj kobiety świadczyły, że się nie cofnie. Los jéj, w drżeniu jéj głosu i stanowczym tonie, został zdecydowany. Zyzma nie śmiał na nią patrzéć, wstydził się jéj, sam nie wiedział czego, troszkę bał. Szacunek jego dla niéj zmieniał się powoli, nieznacznie w cześć. Rad był wyjść, uwolnić się od jéj towarzystwa; nie śmiał i nie mógł. Jakieś głęboko utajone uczucie ciągnęło go do niéj, chociaż przeczuwał więcéj instynktem, że wioząc ze sobą, krzywdę jéj robi.

Siedział zamyślony z opartą głową o poręcz fotelu, oczy zmrużył.

— Panie Zyzma—odezwała się cicho, łagodnie i rzewnie.

Zerwał się. Pierwszy raz usłyszał swe imię przez nią wymówione; zarumienił się, oczy otworzył.

— Rozumiem pańską obawę — mówiła serdecznie.— Będziemy unikać pozorów — dodała, rumieniąc się mocno; reszta nie od nas zależy. Spełnimy swe obowiązki. Pan podałeś rękę nieszczęśliwéj, tworząc dla niéj pracę; ja zabezpieczam byt dziecku. Cóż nas więcéj może obchodzić? Zawiść i złość. Jestem sierotą i miałam czas poznać się z niemi. Umiém walczyć.

Zyzma się uśmiechnął.

— Pan się uśmiechasz; nie znasz mnie jeszcze. Historya mojego życia jest historyą jednéj długiéj walki.

— Chociaż droga jeszcze tak krótka.

— Ale walka ciężka — dodała.

Staś usiłował się wdrapać na kolana Zyzmy. Należało mu pomódz i nareszcie podnieść go. Chłopczyna zaczął go głaskać ręką po twarzy. Na zakończenie tych serdeczności objął go za szyję i uścisnął.

Ciepło mu było pod pieszczotami i uściskiem dziecka, a dobrze w towarzystwie młodéj jego matki.

— Po co mi sklepy—pomyślał;—kłopoty, zabiegi i praca, dla *Neue-presistów*, po co rwanie się do walki. Nie lepiéj że zabrać dziecko, matkę i Sali, i jechać do Włoch, Hiszpanii, lub Ameryki, i cicho, szczęśliwie sobie z niemi żyć? Wschodnia jego natura rozkoszowała się myślą przyjemnego próżniactwa w gorącym klimacie. Rad był zwierzyć się pięknéj i młodéj kobiecie, lecz nie śmiał. Przeczuwał,

że ją może obrazić, a nawet skrzywdzić, lecz nie śmiał się oprzéć pokusie.

— Wiesz co, Stasiu — odezwał się cicho, — albo uciekajmy do Ameryki.

Dziecko się uśmiechnęło.

Młoda kobieta milczala, lecz była nadto spokojna, poważna i dumna, aby można było na seryo powtórzyć propozycyą.

Weszła Sali, niosąc zabawkę dla Stasia. Spotkała znajome i przyjaciółki, które nie śmialy jéj zaczepić, gdyż myślaly, że tak wielka pani nie będzie chciała z niemi rozmawiać; lecz ona je pierwsza zaczepiła i kupiła im w cukierni ciastek. Dziewczyna była wymowna i rozpromieniona, uśmiechnięta i szczęśliwa. Całowała w rękę „panią“, pieściła Stasia, a swém szczebiotaniem i naiwnością potrafiła nareszcie wywołać uśmiech na usta „pani“ i Zyzmy.

---

— Jeżeli inaczéj być nie może, niech losy idą swoją koleją— zawołał młody człowiek patetycznie w wagonie pociągu, pędzącego do Białéj.—Co za wpływ ta kobieta wywiera na mnie! Gdy jestem z nią razem, radbym uciec; czuje się w obec niéj niezgrabnym. Boję się mówić, żebym jakiego głupstwa nie powiedział, boję się śmiać, bym się nie śmiał za głośno. Nareszcie wszystkiego się boję, a jednak idę tam. Musi mi być potrzebna do życia i gdyby mi jéj zabrakło, uczułbym pustkę koło siebie.

## II.

Wieczorem w jednéj z wązkich ulic Lwowa, prowadzących do rynku, w domu o długiéj sieni a ciemnych schodach, na pierwszym piętrze, w obszernym pokoju, umeblowanym z pewnym komfortem, siedział na krześle sześćdziesięcio-letni mężczyzna, grając z wprawą i biegłością na skrzypcach. Przed nim stał pulpit o dwóch zapalonych świecach, oświecających rozłożone nuty. Mężczyzna grał z wzrastającym zapałem, a nawet z namiętnością. Powstał: rozbudzone nerwy nie pozwoliły mu usiedzieć, ręka wymagała większéj siły i pewności. Aksamitna, czarna czapeczka na jego głowie drżała; blada, matowa twarz pokryła się rumieńcem, oczy świeciły. Smyczek, prowadzony ręką pewną, przesuwał się po strunach, jęcząc pieśnią, lub w szalonym biegu wydobywał potoki harmonii. W każdém pociągnięciu smyczka o struny czuć było artystę, a ogień w oczach i rysy twarzy mówiły, że w téj chwili jego myśl weszła w skrzypce i z nich rozpływa się w tonach.

Do pokoju wszedł po cichu trzydziesto-pięcio-letni mężczyzna. Z podobieństwa rysów twarzy poznać było można, że syn. Oparł się o gzyms kominka i słuchał, gładząc, czarną jak heban, brodę, chociaż świecące jego oczy i drgające usta mówiły o niepokojach myśli. Widocznie nie śmiał przerywać. Ojciec go zobaczył, gdyż zwrócił się ku niemu, starając się z większą dokładnością i siłą wykonywać koncert Vieuxtemps'a.

Skończył i uśmiechnął się, patrząc na syna, jakby chciał wywołać z jego strony oklaski.

Syn uderzył z lekka parę razy w dłonie, wysuwając się na środek salonu.

— To zawsze wielki mistrz, prawda, Samuelu—odezwał się po niemiecku stary.

— Prawda, ojcze—odparł Samuel tym samym językiem.—Tém więcéj, że to nasz. Już to nasza rasa—mówił z dumą—wielkich ludzi w dziedzinie tonów wydała. Co gieniusz, to żyd.

— No, tak jeszcze nie jest—rzekł poważnie stary,—ale może być i... dla czegoby nie było?

— Byleby stać było dzieci Izraela na geniuszów wychowywać.

— Zaczekaj—mówił proroczo ojciec, podnosząc palec do góry,—zaczekaj. Tysiące lat mamy za sobą, a przed sobą wieki: zaczekaj, Samuelu.

Na ustach Samuela ukazał się ledwo dostrzegalny uśmiech i znikł. Chciał widocznie zwrócić rozmowę na rzeczy praktyczniejsze, a przedewszystkiem na sprawy dnia.

— Dobrze, będziemy czekać, a tymczasem przyjechał — odezwał się tajemniczo.

— Kto?—spytał z roztargnieniem ojciec.

— Korespondent, ajent dyplomatyczny, powiernik „Nowéj presy".

— Tak... i cóż?

— Przystojny, młody człowiek, konie ma rasowe, elegancki ekwipaż. Powozi jak fiakier wiedeński, a jeździ konno, jak gdyby był synem lorda.

— Widzisz, Nowa presa takich ma korespondentów. Był już gdzie, u kogo?

— Złożył wizytę doktorowi Fuchsowi.

— To nie dobrze. Dr. Fuchs podejrzana figura, strzyże i goli.

— Bawił u niego zaledwie kilka chwil. Musi znać formy i wié, że z pierwszą wizytą nie bawi się długo i nie rozmawia o interesach.

— Oni już wiedzieli kogo nam przysłać—dodał ojciec.

— Był i u Bluma.

Ojciec się skrzywił.

— Ma być i u nas.

— Ma być—pochwycił stary—to dobrze, to bardzo dobrze. Tak być powinno. Chciałbym, żeby i was zastał. Ciebie i Józefa. My go zatrzymamy dłużéj i powiemy to, co powinien wiedziéć. My się nie boimy, my nie siedzimy na dwóch stołkach, my nie schlebiamy jednym, nie oszczekujemy drugich. My wiemy czego chcemy i dokąd idziemy, nasze drogi są proste, prowadzące do celu—mówił ze wzrastającym zapałem.

Samuel słuchał go z powagą mędrca Wschodu—głaszcząc, białą, delikatną ręką, czarną swą brodę.

Drzwi się rozwarły, na progu ukazała się pokojówka, w biały fartuszek przybrana, prosząc na kolacyą.

— Zapracowałem na nią—rzekł ojciec, zmieniając ton mowy.

— Dziś dużo mieliśmy zajęcia w kantorze—dodał syn.

— Lecz tam geszeftsman pracował na dom, kawałek chleba, na artystę, i nic więcéj. Tu zaś artysta pracuje dla siebie, dla rozkoszy swego ducha i zapracowuje przyjemną, wesołą kolacyą. Dobrze, gdy w człowieku mogą się pomieścić dwie natury: nie zużywa się w jednym kierunku. Po artystycznie spędzonym wieczorze jestem rano lepszym geszeftsmanem, jak również po całodziennéj pracy z rozkoszą porywam za skrzypce. Samuelu, naśladuj mnie!

— Nie jestem ojcze artystą, interes pochłania wszystkie moje myśli, dla podrażnienia zaś nerwów zajmuje się nieco polityką.

— A ty je łagodzić powinieneś—dodał ojciec.

Weszli do jadalnego pokoju, oświeconego zawieszoną lampą nad zastawionym stołem.

Na kanapie przy oknie cicho rozmawiali matka i syn, dwudziestokilkoletni młodzieniec, o popielatych, kręconych włosach i niebieskich oczach. Szczupły i zgrabny, uśmiechnięty. Jedynie nos orli zdradzał w nim semickie pochodzenie. Na widok ojca powstał i pocałował go w rękę; powstała i żona, wpatrując się w rysy męża, jak wierna niewolnica w twarz swego pana: śmiejąca się jego uśmiechem, drżąca przed jego marsem.

— Co słychać—rzekł wesoło ojciec, zajmując pierwsze miejsce za stołem.—Rut, siadaj przy mnie. Dziś czuje się zupełnie zdrów, zboże idzie w górę, a my mamy własne zapasy. Koncert udał się świetnie, szkoda żeście go nie słyszeli.

— Najświeższa wiadomość—odezwał się Samuel.—Joachim zapowiedział swój przyjazd do Lwowa. Daje trzy koncerty.

— Trzy? — powtórzył ojciec. — Joachim,... musimy go przyjąć w naszym domu. Urządzę koncert dla niego. Grać przed takim mistrzem, to wielka przyjemność.

— Barcewicz przyjeżdża za tydzień,—rzekł młodszy syn po polsku.

— Co mi tam jakiś Barcewicz, polski skrzypek,—odparł szorstko ojciec po niemiecku.

— A jednak, ojcze, znawcy mówią, że Barcewicz ma pełniejszy ton aniżeli Sarasate.

— Co za znawcy,—zawołał ojciec,—polscy szowiniści względem swego rodaka.

— Marek, ojcze, a zdaje mi się, że i Mikuli.

— Barcewicz, Sarasate,—powtarzał stary z szyderstwem.

— Tak ojcze, Barcewicz,—potakiwał syn.

— A ty dlaczego do mnie i w moim domu mówisz po polsku?—zapytał ostro.

— Bom polak. Obowiązkiem moim używać języka méj ojczyzny.

— Ty nie masz ojczyzny,—przerwał stary.

— Nie pozbawiaj mnie, ojcze tego dobrodziejstwa.

— W ostateczności jesteś Austryakiem i niemiecka kultura jest twoją kulturą.

— Zapóźno zostałem Austryakiem, nie mogę przeto pięćsetletniéj polskiéj przeszłości swéj wydrapać z mego serca i mózgu.

— Cicho,—zawołał stary wzburzony.

— Jeżeli tak każesz, ojcze.

Przestraszona Rut pochwyciła rękę męża, niosąc ją do ust.

— Nie gniewaj się na biednego chłopca, prosiła. Niech on dziś będzie czem chce. Jak będzie starszym to i rozumu nabierze.

Młodzieniec się uśmiechnął.

— A ty—mówiła matka, zwracając się do syna,—nie draźnij ojca, który ciężko na ciebie pracuje.

— Nie draźnij,—dodał Samuel.—Za lat dziesięć będziesz patrzał naszemi oczami.

— Nie chcę, abyś w moim domu i przy mnie mówił po polsku,—rzekł z przyciskiem stary.

— Ponieważ ojciec należysz do liberalnego stronnictwa, nie zechcesz we własnéj rodzinie zaprowadzać najstraszniejszéj niewoli i nie będziesz mnie zmuszał, abym uciekał z domu dla przyjemności a nawet rozkoszy mówienia po polsku.

Młodzieniec był blady, głos jego drżał ze wzruszenia, lecz czuć w nim było pewną zaciętość, cechę wschodnich ras.

— Ojciec ci nie zabrania,—zawołała przelękniona matka,—tylko siedź tu z nami. Dawidzie, daj mu pokój, to przecię nasze dziecko,—prosiła męża, głaszcząc jego białą rękę.

— Ojciec nie jest tyranem, lecz ma prawo żądać pewnéj względności od własnego syna,—dodał Samuel.

— Ja prosiłem tylko o tolerancyą,—odparł poważnie młodzieniec.

Nastąpiła cisza. Matka przenosiła wzrok z ojca na syna. Ojciec zamyślony przebierał palcami po stole, Samuel gładził czarną swą brodę.

Wniesiono kolacyą. Pomimo chwilowéj burzy, sprawiającéj rozdrażnienie nerwów, apetyty nic na swéj dzielności nie straciły. Niezawodnie burze tego rodzaju musiały być na porządku dziennym.

Rut postawiła przed mężem butelkę wina. Stary wlewał je do szklanki i z niéj pił, delektując się i smakując głośno. Matka i synowie poprzestali na herbacie.

Po drugiéj szklance stary zaczął z zapałem i energią unosić się nad kulturą niemiecką, nad jéj sztuką i literaturą. Potakiwał mu cicho urywanemi wyrazami Samuel, matka i młodzieniec milczeli. Przemowa wyraźnie była skierowaną do młodszego syna, aby go otrzeźwić i nauczyć.

Gdy trzecią szklankę skończył:

— Idiotyzmem jest,—zawołał zarumieniony winem,—bawić się dziś w polaka. Cóż za przyszłość mogą mieć ci paryasy silniejszych i rozumniejszych ras. Eksploatować ich pracę, wzbogacać się ich kosztem, jest i powinno być naszą polityką. I dla tego, gdy tylko mogę, obdzieram ich z większą niż innych rozkoszą. Nie cierpię tego głupiego, leniwego, wypchanego szowinizmem szczepu. Czytam na ich czołach niewolę i zagładę.

Samuel uśmiechał się radośnie, potakując ojcu miarowym ruchem głowy. Młodzieniec milczał, mnąc w ręku serwetę. Matka wpatrywała się w niego, rada oczami przemówić i błagać go, aby panował nad sobą.

— Ma być w moim domu świeżo przybyły z Wiednia reprezentant Nowéj pressy. zaczął stary. Chcę aby was zastał, Samuel się dowie, kiedy nas odwiedzi.

— Jeżeli nie będę na kursach,—odparł młodzieniec.

— Przyjdzie wieczorem, bo i ja cały dzień pracuję. To powiedziawszy, dał znak starszemu synowi, aby mu towarzyszył do jego pokoju.

— Cóż myślisz, Samuelu, o tym głupim chłopcu, który nie może tego zrozumiéć, że im silniejszy i rozumniejszy będzie żywioł polski, tém trudniéj da się eksploatować.

— Zmądrzeje,—rzekł lakonicznie Samuel.—Wpływy uniwersyteckie, polskość chwilowo tryumfująca. I cóż się dziwić młodemu, gdy doktór Fuchs...

— Musi on wietrzyć jakiś dobry interes,—przerwał stary podniesionym głosem.—Wie on dobrze, że jedna jest kultura, która dziś odciska swe piętno na całéj ludzkości, a tą jest kultura niemiecka. I dziś być niemcem, to znaczy to samo co być silnym.

— Tak,—poświadczył Samuel,—prawa cywilizacyi są jedne.

— Prawda! I lepiéj, stokroć lepiéj należeć do téj, która stoi u szczytu, aniżeli cofać się do w połowie jeszcze dzikiéj, przesiąkniętéj barbarzyńskiemi przesądami i szowinizmem.

Stary się uśmiechnął, zadowolony ze swéj wymowy i swego wpływu na syna. Wziął w rękę skrzypce i stroić je zaczął, przygotowując się do nowego koncertu. Samuel usiadłszy w fotelu, zabrał się do czytania „Nowéj pressy.“

W pokoju jadalnym została matka i syn.

— No i znowu, mój Józiu, rozgniewałeś poczciwego ojca...

— Ależ mamo, przecież nie mogę się zapierać swoich zasad przed własnym ojcem.

— Może być, że to prawda co mówisz; ale po co go drażnić. Ty go nie przerobisz, moje dziecko, nie przerobisz i Samuela.

— Nie chcę, lecz i kłamać nie mogę.

— Nie, nie; ale ich nie drażnij,—głaskała go pieszczotliwie ręką po twarzy, ujęła za głowę i pocałowała.—Mój Józiu, o téj waszéj polityce nie gadaj ani z ojcem ani z Samuelem.

Józio się uśmiechnął, co widząc matka mówiła daléj, modulując swój głos na czuły i proszący ton.

— Biedne ojczysko napracuje się cały dzień, wieczorem radby odpocząć, zabawić się, pogadać, a ty, moje ukochane dziecko, nie pozwalasz mu i na tę odrobinę przyjemności.

— Przecież milczę—odpowiedział poważnie, – tylko niech nie wymagają odemnie, abym w ich obecności nie mówił po polsku. Tego zrobić nie mogę...

— A czy ja, moje dziecko, innym językiem do ciebie przemawiam. Wiem, że ty kochasz polaków.

— Ja polak jestem, matko. I mama jesteś polką.

— No dobrze, dobrze, kiedy tak chcesz—przerwała matka, łagodząc zapał syna;—tylko się ojcu nie sprzeciwiaj.

Już nie poraz pierwszy przekonał się młodzieniec, że matka go nie rozumiała.

— Zrobię jak chcesz — powiedział spokojnie i smutno. — Czy to ten korespondent ma być u ojca, co się rozbija powozami po Lwowie?

— Nie wiem, moje dziecko—odrzekła Rut.

— Niezawodnie ten sam; o kim innym nie może być mowy.

— Pewno, pewno—poświadczyła.

Syn pochwycił za kapelusz.

— Dokąd, moje dziecko?

— Koledzy czekają na mnie.

— Zawsze tylko do kolegów uciekasz.

— Nie kochają mnie tu,—odparł smutno.

— Strzeż się, bo Bóg cię skarze za niewdzięczność,—odezwała się matka a głos jéj drżał.

Drżenie głosu matki wzruszyło chlopca.

— Ależ mamo, przecie wierzę, że ty mnie kochasz i byłbym nikczemnikiem, gdybym inaczéj sądził.

Pocałował ją w rękę, i nie chcąc dłużéj przeciągać rozmowy, wyszedł. Rut stała we drzwiach, póki na zakręcie schodów nie zniknął.

— To dziecko każe się kochać, — szepnęła i zamknąwszy drzwi, przeszła do swego pokoju.

## III.

Młodzieniec przez wązką i długą sień dostał się na ulicę. Stanął, pomyślał chwilkę i pomknął żywo połacią rynku, ulicą Trybunalską na wały Hetmańskie. Ztamtąd w lewo skręcił na jedną z ulic prowadzących do dworca kolei żelaznéj, minął bramę wielkiéj kamienicy, dziedziniec i w oficynie, krętemi schodami wszedł na drugie piętro. Zastukał do małych niskich drzwi i nie czekając na odpowiedź, otworzył, wbiegając do izdebki oświeconéj lampą przysłoniętą zielonym papierem.

— Jesteś Danielu,—odezwał się.

— Jak mnie widzisz,—odparł poważnie gospodarz, wyciągając rękę do uścisku.

— Zawsze mnie trzeźwością swoją zadziwiasz.

— Najzwyklejszą loiką—odparł Daniel.—Siadaj.

— Ty jak zawsze, pracujesz.

— Raczéj się bawię.

— A tymczasem nieprzyjaciel stanął u bram miasta—zawołał młodzieniec.

Daniel z książki przeniósł wzrok na młodzieńca, a wtedy dały się widzieć jego duże, czarne oczy spokojnie patrzące.

— O kim mówisz?—zapytał łagodnie.

— O tylko co przybyłym ajencie Nowéj presy. Cała partya naszych starych zacofańców i zwolenników „Szomera“ uszczęśliwiona. Będą go świetnie przyjmować i razem z nim...

— A mimo to,—przerwał poważnie Daniel,—my zwyciężymy.

— My?

— Tak my, jeżeli tylko zdobędziemy się na wytrwałość, gdyż sprawa nasza jest sprawą cywilizacyi i naturalnego rozwoju ludzkości, przez swe organa narodowościowe.

— Wpadasz jak zwykle w filozoficzne wywody, gdy tu działać potrzeba, walczyć.

— Raczéj pracować na swoim gruncie, na swém stanowisku.

— Gdy nam wszystko z rąk wydzierają.

— Nic nie wydzierają, mój drogi; tylko my niewiele jeszcze co trzymamy. Pocieszam się tém, że jako początkujący, nie możemy.

— O bo ty jesteś zimny jak lód,—pochwycił młodzieniec.—Dla ciebie czas i przestrzeń nie egzystują. Czy twoja myśl oblecze się w ciało jutro, czy za tysiąc lat, wszystko ci jedno.

Oczy Daniela zaświeciły tajemniczym ogniem, usta jego zwykle szczelnie zamknięte wygięły się do uśmiechu. Milczał, patrząc na kolegę i przyjaciela z uczuciem sympatyi i wyrozumienia.

— I w tym wypadku się mylisz,—rzekł po chwili łagodnie.—Niestety, ja przeczuwam granicę podobieństw i nie łudzę się, lecz za to i nie ustanę: pójdę choćby sam jeden.

— Czyż mi wyrzucasz brak wytrwałości?—zapytał Józef.

— Nie; lecz przeczuwam, że się zrazić możesz, gdyż za dużo wymagasz od chwili obecnéj, oczekując natychmiastowych rezultatów naszych prac.

— Wolno mi mieć nadzieję—zawołał.

— Wolno, mój drogi. Ja mam nawet pewność, inaczéj nie podejmowałbym pracy.

— Danielu, twoja zimna loika często mnie drażni, lecz nareszcie pociąga ku tobie i podbija.—Wyciągnął rękę. Daniel podał mu swoję.

— Nie zapieram się, i ja często jestem pod czarem twego zapału, ognia i wymowy. Często i moja loika onieśmielona milczy i ustępuje ci.

— Niechajże i tym razem ustąpi,—zawołał z zapałem młodzieniec.—Należy się naradzić, jakim sposobem zgnieść nowego przybysza, tego Neue-presistę. Jest młody, ma pieniądze, rozbija się własnym ekwipażem po mieście, wystrojony podług ostatniéj mody.

— Widziałem go,—rzekł Daniel.

— I ja, u Grosa; wpatrywałem się w niego przez dziesięć minut. Zgadzasz się, że rysy ma regularne a całość sympatyczną?

— Zgadzam,—poświadczył Daniel.

— Albo go zjednać dla naszéj sprawy, albo mu wypowiedziéć walkę—a zawsze zetknąć się z nim należy.

— Jeżeli tego chcesz.

— Chcę, pragnę i proszę cię o to.

— Zgoda.

— Sprowadzam naszych przyjaciół, musimy się naradzić.

Daniel skinął głową.

— Czekaj na nas. Do widzenia.

Młodzieniec wybiegł. Daniel zagłębił wzrok w Etykę Spencera, oparłszy głowę na ręku. Jego czoło gładkie i szerokie, usta wąskie, szczelnie zamknięte, oczy duże przysłonięte długiemi rzęsami i spokój poważny nad jego wiek młodzieńczy, przy łagodnych rysach twarzy czyniły go podobnym do mędrca lub młodego proroka wschodu.

„Byłby z niego wielki rabi,“ zawołałby niejeden żyd, widząc go nieruchomie zapatrzonego w książkę. Byłby z niego wielki rabi, gdyby nie nauka, filozofia, miłość wolności, poszukiwanie prawdy, skryta namiętność do walki i zapał do szlachetnych ideałów ludzkości.

W pół godziny jednokonka zajechała przed wielką kamienicę, przywożąc czterech młodzieńców. Słychać było lekkie dudnienie po schodach oficyny i skrzyp drzwi na drugiém piętrze. Ucichło na obszernym dziedzińcu. W oświeconém tylko oknie widać było przesuwające się cienie. Czasem głos żywszy wydobył się na zewnątrz. I tyle było objawów rozpraw młodzieży, radzącéj u swego przywódcy.

— Nikt tylko Józef może iść w deputacyi od nas do Neuepresisty.

— Głosuję za Józefem,—dodał drugi,—on ma energią i wymowę. Ty kochany Danielu jesteś zbyt łagodnym, miękim, filozoficznym.

— I ja głosuję za Józefem,—odezwał się Daniel z uśmiechem,—albowiem ludzie tego pokroju, co ja, nie nadają się na posłów.

— Ludzie tacy, jak ty, powinni mieć swoich wykonawców,—zawołał z entuzyazmem Józef dumny, że koledzy jemu powierzyli misyą w tak ważnéj sprawie.

— O tak,—poparł Józefa kolega;—Daniel może być naczelnikiem partyi, uznanym i cenionym przez nas. On tu na drugiem piętrze w téj izdebce powinien grać partyą, a nas jak pionków po szachownicy posuwać.

Szmer uznania z trafnego określenia stanowiska Daniela wypełnił izdebkę.

— Mówicie, jak gdybyśmy byli strasznym komitetem wielkiego sprzysiężenia, mającego za zadanie jakiś wielki przewrót społeczny—odezwał się Daniel,—gdy tymczasem my chcemy polakom mojżeszowego wyznania dać ojczyznę.

— Ale jestto przecież walka, jak zawsze i wszędzie, światła z ciemnością, przesądów, zabobonów, reakcyi z postępem i cywilizacyą, niemoralności z moralnością. I my spotykamy na swéj drodze zapory i przeszkody, i my mamy nieprzyjaciół, i my walczyć musimy i znosić prześladowania w najbliższém otoczeniu, w rodzinie.

— Prawda,—poświadczyli młodzi ludzie z entuzyazmem.

— A zatém Józef idzie w deputacyi do Neue-presisty,—zdecydował jeden z towarzyszy.

— I to jak najśpieszniéj.

— Jutro—rzekł Józef z udaną powagą.

— Chodźmy więc. Daniel chce pracować.

— Jeżeli do naszéj cichéj pracy potrzeba nam wszystkich pozorów ostentacyjnych, walki, poświęceń, heroizmu i odwagi—idźmy. Sprawa na tém nic nie straci, a my w dodatku wyrobimy się... Tak myślał młody filozof nie znający świata, zamknięty w sobie i swych książkach, który ze swéj izdebki na drugiem piętrze miał, jak na szachownicy, kierować wielkiém dziełem odrodzenia żydów.

Powstał, zbliżył się do okna. Księżyc świecił, przesuwając się cicho wśród białych chmur rozrzuconych fantastycznie na niebieskiém sklepieniu.

Stał chwilę wpatrując się w białe chmurki, na których księżyc rozwieszał ledwo dostrzegalną tęczę łagodnych swych barw. Uśmiech zarysował się na jego ustach, na widok wysileń księżyca, który chciał naśladować słońce w rozwieszaniu tęcz. Usiłowania własne i swych kolegów porównywał z wysilkami księżyca, zwątpienie wciskało się do serca, strasząc go.

Przeląkł się téj wiedźmy i uciekał przed nią, zbiegając szybko ze schodów.

— Witaj mistrzu,—odezwał się wchodząc do niskiego pokoju na trzecim piętrze kamienicy w rynku.

Mistrz zapalał fajkę na długim cybuchu, i tak był zajęty tą czynnością, że się nawet nie odwrócił i nie odpowiedział, chcąc gwałtownie gasnący ogień w fajce rozdmuchać.

Daniel potarł zapałkę i gdy ogień zaświecił przytknął ją do fajki...

Mistrz wyciągnął rękę do uścisku, wyrzucając na pokój kłęby dymu.

— No cóż Spencer?—zapytał wesoło.

— Boski,—zawołał młodzieniec.

— O tak, to nie Büchner, Schopenhauer, Hartmann, Bismarck i całe stado niemców, tych indyan europejskich, wpadających z ostateczności w ostateczność, a zawsze potwornych rozmiarów. Ze Spencerem chce się żyć, co?—pytał uśmiechając się.

— I pracować,—dodał Daniel.

— Z pewnością,—poświadczył mistrz, rad że znalazł formę dla swego optymizmu.—Jakże tam u was?—zagadnął.

— Posuwamy się powoli, bardzo powoli,—odpowiedział smutno Daniel.

— Trudne macie zadanie. Niewola dwóch tysięcy lat porobiła odciski na mózgach i sercach żydowskich. Altruizm u was zaledwo dysze jeszcze w rodzinie. A jednak nie dawniéj jak blisko dwa tysiące lat temu chrystyanizm rozrastał się waszą pracą i męczeństwem.

— Nie dawniéj jak dwa tysiące lat,—powtórzył Daniel uśmiechając się.

— To chwila,—zawołał mistrz.—Siła dziedziczności jest tak wielka, że ty i twoi koledzy przyszliście gotowi. Jedno zdanie wystarczyło do zapłodnienia waszych myśli, do wydobycia z mózgu szeregu prawd wielkich i oświecających ludzkość.

Młody, zbudowany jak grecki posąg, mistrz zapalał się łatwo, mówił porywająco i dla tego panował nad cichym i zamyślonym młodzieńcem.

— Ciężka to praca,—zaczął po chwili,—ciężka to praca zdeprawowane natury uszlachetniać.

— Jeżeli tysiąc lat jest chwilką,—szepnął Daniel.

— Niezawodnie,—zawołał z entuzyazmem mistrz, lecz życie ludzkie jest długie i nie tracąc czasu dużo przez bieg jego zrobić można. Macie dziś jakie nowiny?

— Przyjechał do Lwowa ajent „Nowéj presy."

— Widziałem go. Może wam połamać szyki. I jeżeliby udało się wam zmiażdżyć go, zróbcie to koniecznie.

— Wysyłamy do niego deputacyą.

— To mało.

— Jeżeli nie ustąpi, wypowiemy mu wojnę.

— Wypowiadajcie zaraz. My z naszéj strony pragniemy wam pomagać całą siłą naszą, lecz wy najprzód sami musicie coś zrobić, przyznać się otwarcie do idei, ukochać ją, poświęcić coś nawet dla niéj. Wtedy my wyciągniemy do was ręce i razem z wami z rozkoszą, z uczuciem braterstwa pracować będziemy.

Strasznie nam dokuczają żydzi. Zamarcie w nich altruizmu, który już z po za rodziny do ludzi się uśmiecha, ciężko odczuwa spo-

łeczeństwo, w którém żyją. My w wielkich wstrząśnieniach oddajemy wszystko, mienie i życie, a wtedy żydzi zyski ciągną. My, w chwilach ciszy, bierzemy się do pracy a żydzi.....

Daniel smutny i blady pochylił głowę na piersi. Zobaczył to mistrz i mieniając ton głosu na serdeczny, mówił daléj:

— Wielkie by to było dla nas zwycięstwo zjednać sobie rasę mającą tyle sił żywotnych i tyle wytrwałości. I chociażby żydzi całego świata urągali wam, przeklinali, rzucili się na was, Danielu, wy się nie cofniecie i ja z wami.

Wzruszony młodzieniec uścisnął go za rękę.

— Cóż myślicie o dzienniku?

— Mamy pewne nadzieje.

— Głosu wam potrzeba do wypowiedzenia walki i możności obrony. Miejcie tylko organ, a przysięgam wam pomoc własną i kolegów... Altruizm—mówił cicho młody entuzyasta, trybun, dziennikarz i pedagog — uszlachetni ludzkość i nas uratuje.

## IV.

Świetne mieszkanie, elegancki ekwipaż, piękne konie, zrobiły z Zyzmy ciekawą osobistość w całém mieście. Przytém tytuł ajenta dyplomatycznego „Nowéj presy“, najlepszego i najbogatszego dziennika w państwie, dodawał mu uroku, nie tylko wśród żydów. Patryoci nienawidzili go, lecz dla tego przesądzali jego zdolności, spryt i rozum. Politycy i dyplomaci przypatrywali mu się z pewnym rodzajem łagodnego pobłażania. Gdy się ukazał w loży teatru, lornety pań i panów zwracały się ku niemu.

Czuł i rozumiał, że się nim zajmują, że mówią o nim, że wzbudza pewne zainteresowanie i ciekawość, nie tego rodzaju co w operze wiedeńskiéj. Bo téż dziś, chociaż zaledwie tydzień bawił we Lwowie, inaczéj się przedstawiał i inną rolę odgrywał. Widać na nim było, pod względem ogłady towarzyskiéj i stroju, wpływ młodéj kobiety. Młodzież jeszcze się do niego nie zbliżyła, lecz znała i wysoko ceniła jego konie. Panie mówiły o nim, jak o żydzie, lecz zajmowały się nim drobiazgowo. Był nowością, mówiąc parlamentarnie, na porządku dziennym stolicy, która jeszcze nie mogła się wydobyć z pod przyzwyczajeń małego miasteczka.

O godzinie dziesiątéj rano dyplomatyczny ajent „Nowéj presy“ siedział w jadalnym pokoju przy śniadaniu, czytając najświeższy numer organu swéj władzy. Usługiwał mu w milczeniu młody chłopiec, przybrany w liberyą.

Odgłos dzwonka przerwał ciszę, chłopiec pobiegł do przedpokoju, młody człowiek wstał, przejrzał się, poprawił ręką włosy i czekał.

Za chwilę wszedł chłopiec, podając na srebrnéj tacce bilet wizytowy.

Józef Topaz, pod spodem na bilecie było dopisano ołówkiem: „w deputacyi“.

— Jak wygląda ten pan, co ci oddał bilet—zapytał.

— Młody, nie ma jak dwadzieścia lat, w rękawiczkach, porządnie ubrany—odpowiedział chłopiec.

— Sam jeden?

— Sam.

— Proś do salonu.

— No, no, deputacye zaczynają się już schodzić — szepnął, uśmiechając się dumnie. Spójrzał przez szparę odchylonych drzwi.— Dla czegóż tylko jeden?—Wyprostował się, przybrał tajemniczo-dyplomatyczną postawę i wszedł.

Na środku salonu, w czarnym surducie, z kapeluszem w ręku czekał na niego młody delegat.

— Jeżeli się nie mylę — zaczął dyplomatycznie Zyzma po niemiecku—witam w moim domu słuchacza uniwersytetu.

Młodzieniec zmięszał się nieco, zarumienił i lekko skłonił się głową.

— Dowiedziałem się—odpowiedział po polsku—że łaskawy pan chociaż nie jesteś polakiem, władasz naszym językiem, pozwól więc i mnie nim mówić?

— Z przyjemnością—zaczął również po polsku Zyzma.—Zdawało mi się jednak.... zatrzymał się.

— Dokończ pan.

— Zdawało mi się, że pan jesteś delegatem, tak przeczytałem na bilecie, domyślam się młodzieży izraelskiéj, a zatém użyłem....

— W ostatnim razie mogłeś pan użyć żydowskiego szwargotu, a nie niemieckiego języka, o wiedeńskim akcencie.

Zyzma poczerwieniał.

— Tak pan mówisz—rzekł, marszcząc brwi.

— Gdyż tym sposobem możnaby choć w części się usprawiedliwić.

— Z czego?

— Z używania obcego języka.

— Pan jesteś żydem?

— Żydem, jeżeli pan chcesz.

— Ja nic nie chcę—zawołał rozdrażniony.

— Właściwiéj malowałoby rzecz, gdybyś pan mnie nazwał polakiem wyznania Mojżesza.

Zyzma milczał, patrząc na młodego człowieka poważnie i spokojnie. Zamilkł i młodzieniec, przygotowując się do walki.

— Przychodzisz pan w deputacyi—przerwał milczenie Zyzma.

— Od grona uniwersyteckiéj młodzieży naszego wyznania.

— Racz pan wyjaśnić powody i cel.

— Będę się starał krótko załatwić—zawołał, zrywając się.—„Nowa pressa“ jest pismem przez uczciwy ogół naszego społeczeństwa, i przez nas, jako polaków, znienawidzoném.

Zyzma pobladł.

— Pan, jak się dowiadujemy, jesteś wysłannikiem tego pisma, rzucającego na nas polaków potwarze, a wśród nas polaków wyznania Mojżesza—dodał z przyciskiem,—siejącego niezgodę i nienawiść, które wciskają się aż do naszych rodzin, kłócą ojca z synem. Skutkiem podszczuwań tego nędznego organu, wielu z nas obałamuconych nie spełnia obowiązków obywatelskich względem swego kraju i stają się niewdzięcznikami w obec społeczeństwa, które ich przyjęło, wśród którego żyją i bogacą się często jego kosztem. Skutkiem podszeptów tego pisma stajemy się egoistami, przerabiającemi żywotne soki Polski, w najlepszym razie, na kulturę i dla kultury niemieckiéj.

Ciężko odetchnął i blady patrzał się na Zyzmę, ręce mu nerwowo drżały. Ajent „Nowéj presy“ również był blady, lecz przez zaciśnięte jego usta nie wydobył się żaden głos.

Milczenie trwało długą chwilę, która dla młodzieńca była katuszą. Postanowił jednak wytrwać na stanowisku. Milczeniem i oczekiwaniem zmusił do odezwania się Zyzmę.

— Więc czegóż pan chcesz?— zapytał.

— Czego my chcemy — wybuchnął jak zerwane tamy.—Ponieważ jesteśmy polakami, chcemy nimi być z kości i krwi, z myśli i pragnień. Chcemy pracować dla cywilizacyi polskiéj, dla jéj przyszłości. Nasze zdolności, talenta, pracę—jéj poświęcić. Byłoby to nikczemnie dla tego, że dziś ten naród jest nieszczęśliwy, uciekać od niego, plwać mu w twarz, skrępowanego kopać nogą! I nie tylko, że sami chcemy pracować, lecz i naszych biednych, ciemnych braci, wydobyć z upodlenia nicości kosmopolitycznéj. Tego my chcemy, i dla tego zorganizowaliśmy się, aby wspólnie działać. Powodzenie byłoby zapewnione, gdyby nie przyjazd pański. Poruszyłeś uśpione namiętności, rozbudziłeś nadzieje, wywołałeś opozycyą przeciw nam, podsycasz łakomstwo i brudne instynkta.

— Prędzéj!—krzyknął drżący z gniewu i oburzenia Zyzma.

— Wypowiadamy panu walkę. Dowiemy się, kto jesteś, zkąd się wziąłeś, jakim sposobem zdobyłeś pieniądze, i jeśli nie ustąpisz, zdemaskujemy cię.

Wybiegł. Zyzma z wyciągniętą ręką szedł za nim. Drzwi jęknęły głucho, zatrzaśnięte z gwałtownością. Młodzieniec zbiegł ze schodów.

W bramie czekał na niego kolega.

— Cóż—pytał ciekawie, biegnąc do niego.

Zmiażdżyłem go — zaledwo mógł wymówić ze wzruszenia i biegu.

Wyszli na ulicę.

— Chodź do kawiarni, odpoczniesz. Boję się...

— Nie, nie; nic mi nie będzie.—Obtarł chustką pot z czoła.—Chodźmy do kolegów, Daniel czeka, muszę przecież raport złożyć.

— Opowiadaj, tylko wolno.

— Zmiażdżyłem go—powtórzył z dumą zwycięzcy.—Był blady, patrzał na mnie strasznie. Czułem, że gdy zostanę jeszcze minutę, udusi mnie. Ale powiedziałem wszystko i rzuciłem mu rękawicę.

Huk zatrzaśniętych drzwi oprzytomnił Zyzmę. Stanął, spójrzał do koła, jakby zbudzony ze snu. Wrócił do salonu, spójrzał w lustro, wyjrzał oknem na plac Maryjski i roześmiał się nerwowo.

— Grożą mi zdemaskowaniem. Mają mnie za łotra, oszusta, lub złodzieja! Ja was nauczę, błazny—zawołał. Rzucił się na kanapę i leżąc, rozważał. Lecz nerwy nim targały, gniew i wstyd wypiekały na policzkach gorączkowe rumieńce. Nie był zdolny uporządkować myśli, zdać sobie sprawy z zaszłych wypadków. Gniew i wstyd miotały nim naprzemian. Rozluźnione nerwy jak wiatr pędziły wzburzone jego myśli w jedną lub drugą stronę niepodobieństw i ostateczności.

Zerwał się, mierząc salon długiemi krokami. Uczuł się sam bez przyjaciela, rady, a nawet opieki. Powoli przychodził do przekonania, że nie zna dobrze gruntu, na którym mu działać kazano. Pogróżka z mózgu dostała się do serca, zagłębiła się na samo jego dno, szarpiąc nerwy.

A może się dowiedzą, że sprzedawał kości, łatał kożuchy chłopskie i faktorował na jarmarkach przy kupnie koni. W Wiedniu, zaraz po wygranéj, z przyjemnością opowiadałby dzieje swéj młodości. We Lwowie sztuczne jego stanowisko i atmosfera arystokratycznych przesądów opanowała go. Był pod jéj wpływem.

Wdział kapelusz i wyszedł pospiesznie.

Na jednéj z głównych ulic stolarze urządzali nową wystawę sklepową. Zyzma stanął, przypatrywał się, przywołał majstra, nalegając na pośpiech.

— Za trzy dni, panie baronie (nie śmiał powiedzieć: hrabio), za trzy dni, przysięgam panu baronowi, wszystko będzie gotowe — zaklinał się majster.

Na tytuł barona uśmiechnął się Zyzma, zaprzeczyć nie miał odwagi.

— Pamiętaj pan—rzekł poważnie.

— Jeżeli za trzy dni nie będzie wszystko gotowe, nie żądam od pana barona złamanego centa.

Domniemany baron, ugłaskany pochlebstwem, odszedł. Nareszcie jego samotność się skończy. Nie wiedząc o tém, tęsknił za młodą kobietą, jéj synem i Sali.

Po powrocie do domu napisał list do Sali, wzywając ją do Lwowa. Zajęcia i pisanie rozerwały na chwilę jego myśli. Lecz w samotności wracały wspomnienia stoczonéj walki. Wrażliwa jego natura wytwarzała rozliczne kombinacye, wspomnienia przeszłości wydobywały z głębi jego mózgu niezbyt dawne jego przekonania.

Przed zdobyciem na giełdzie pieniędzy, nie wiele co sobie robił z niemieckiéj kultury, sympatyzował z polakami, czuł nieprzeparty pociąg do kraju rodzinnego. W charakterze swoim posiadał jego narodowe cechy. Wrażenia młodzieńca, które mu się wpiły w mózg, zaczął przetrawiać. Nie był do tyla wykształcony, aby wszystkie frazesy, wypowiedziane przez młodziutkiego delegata odrazu zrozumiéć i zdać sobie z nich sprawę. Nareszcie nie pamiętał wszystkich. Jeden mu utkwił w pamięci: młodzież izraelska zorganizowała się, aby swych ciemnych braci wydobyć z upodlenia nicości kosmopolitycznéj.

— A więc dla moralności jednostek potrzeba, aby miały narodowość, którejby służyły, ojczyznę, którąby kochały...—Myślał o sobie. I on poczuwał się do pokrewieństwa z Polską, gdy się zbliżył do młodéj polki, zaopiekował się nią, wyratował ją z nędzy, a może i głodowéj śmierci.

— Ja byłem wtedy polakiem—pomyślał; zdawało mu się, że był lepszym, szlachetniejszym.—Gdym przysięgał umierającemu ojcu Sali opiekować się jego córką, byłem polakiem.—Przed oczami jego duszy przesuwały się roje żydostwa na *Judengasse* i szermierze na giełdzie wiedeńskiéj. Rozbierał ich rozmowy, przekonania, cele.... wszyscy byli kosmopolitami. Odtworzeni w jego wyobraźni, potwornie wyglądali. Czuł do nich wstręt i niechęć, i dla tego pewno pochwycił pierwszą sposobność, aby uciec przed nimi do Lwowa. — Lecz właśnie z powodu naszego kosmopolityzmu mamy zapewnione panowanie nad światem. Nas nic nie wiąże, nic nie krępuje, tylko nasza idea władzy—przypomniał sobie słowa redaktora.

Odgłos dzwonka, pociągniętego silną i pewną ręką, rozległ się po całém mieszkaniu. Za chwilę wszedł, w białym krawacie i fraku, uśmiechnięty, pewny siebie, z miną zuchwałą, doktór Blum, adwokat krajowy. Wyciągnął rękę do Zyzmy, wstrząsnął nią silnie i rzucił się na kanapę.

— Kochany przyjacielu — odezwał się po niemiecku,— proszę cię o najlepsze cygaro, jakie masz w swym bogatym zbiorze, i o filiżankę czarnéj, mocnéj kawy. Wracam z obiadu od hrabiego Pufa, tak go nazywamy w naszém kółku. Kobiety czarujące, wina podłe, kuchnia średnia. Spracowałem się, musiałem bawić kobiety odgrzewanemi konceptami niemieckiemi i dużo pić. Z rozkoszą odpocznę.

Zyzma mu podał najlepsze cygaro, po czarną kawę posłał do Grosa.

— Mówię ci, polki są czarujące. Dystyngowane, eleganckie, dowcipne i nawet inteligentne. Niemki ani się umywały do nich. Mam nadzieję, poznasz je niedługo; jużto ja jestem w tém.

— Jakże pogodzisz—przerwał mu Zyzma—zachwyt dla polek z uwielbieniem kultury niemieckiéj.

Blum spójrzał na niego ciekawie.

— Ależ, mój drogi—tłómaczył się—to co innego, a to co innego. Wdzięk należy do polek, kultura do niemców.

Rozłożył się wygodnie na sofie, zapalił cygaro, rzucając badawcze spójrzenia na Zyzmę, który zamyślony i roztargniony chodził po salonie.

— Jest cóś—pomyślał,—baczność, czekajmy.—Przyrzekł sobie nie zdradzić się więcéj ani jednym wyrazem.

— Mnie się zdaje, że ja tu jestem w fałszywém położeniu—odezwał się nareszcie młody człowiek.

Doktór Blum powstał, lecz w téj chwili opamiętał się i usiadł, uśmiechając się, choć mu wargi drżały z niecierpliwości.

— Mówisz dziś samemi zagadkami — odezwał się, siląc się na obojętność.

— A zatem powiem ci to, o czém pewno dowiedziałbyś się niedługo.

— Najniezawodniéj przy moich stosunkach, jeżeli to cóś nie jest twoją tajemnicą.

— O nie, gdyż to jest sprawa, która nas obydwóch powinna jednako obchodzić.

— Intrygujesz bez maski, domina i światła kinkietów.—Doktór Blum silił się na dowcip, chociaż mu wargi drżały. Czuć było, że grał, lecz Zyzma tego niewidział.

— Mówię poważnie, bez tajemnic i intryg. Wyobraź sobie, był tu dziś u mnie w deputacyi młodzieniec.—Wziął ze stolika bilet wizytowy i podał go Blumowi.

— Syn najgorliwszego naszego zwolennika—zawołał doktór.

— A mimo to groził mi i wypowiedział wojnę w imieniu swéj partyi.....

— Żartuj sobie z wykrzykników głupiego chłopca. Powiemy ojcu i sprawa zostanie załatwioną.

— Przepraszam cię—zawołał Zyzma—lecz żadnych skarg! Młody człowiek reprezentuje stronnictwo.

— Kilkunastu studentów.

— Musisz jednak przyznać, że zasady ich i tendencye są—zarumienił się, zatrzymał chwilę—szlachetne.

Po bladéj twarzy Bluma przemknęły również, ledwo dostrzegalne płomienie i natychmiast zgasły. Chciał coś powiedzieć, usta otworzył, lecz je zamknął szybko.

Zyzma uroczysty chodził po salonie. Przystąpił i spuszczając oczy, mówił daléj:

— Młodzież ta pragnie wydobyć żydów z upodlenia nicości kosmopolitycznéj.

Blum przygryzł wargi, serce mu biło, jednak milczał.

— Jakkolwiek walka o byt ma swoje prawa, jednak walczyć z tą młodzieżą... Doktorze, jak ci się zdaje?

Doktór wlepił wzrok w twarz Zyzmy. Młody człowiek nie mógł znieść téj milczącéj indagacyi. Odwrócił się, postąpił parę kroków i nareszcie dodał:

— Ja nie mam odwagi, wstydzę się i dla tego powtarzam: jestem w fałszywém położeniu.

Doktór Blum powstał uroczysty, ściskając rękę Zyzmy.

— Milczałem, aby nie wywierać najmniejszego nacisku na twą szlachetną naturę. Odgadłeś a raczéj przeczułeś nasze usiłowania. Od chwili gdym cię bliżéj poznał, byłem pewny, że pójdziesz z nami.

— Jakto,—pytał zdziwiony.

— Że pójdziesz z nami,—powtórzył z przyciskiem dr. Blum.—Byłem przy tobie, obserwowałem cię, nie drażniłem, lecz czekałem chwili, z upragnieniem czekałem chwili, w któréj wypowiesz to, coś nareszcie powiedział.

— I nie starałeś się....

— Nie chciałem cię teroryzować, nie chciałem narzucać ci swych opinij, nie chciałem prowadzić cię na pasku moich zasad, gdyż nie wątpiłem, że sam je w sobie wypracujesz; a to jest wielka różnica: zostać przekonanym, a samemu przyjść do przekonania.

— A więc to są poważne prace?

— Najpoważniejsze. Od czasu upadku lewicy... Ależ ty znasz lepiéj jak ja cały obecny kierunek polityki austryackiéj. Niepodobna więc, aby żydzi zostali nadal tém czém są. „Należy ich wydobyć z upodlenia nicości kosmopolitycznéj," inaczéj może z nami być źle. Zresztą, jest to nasz patryotyczny obowiązek. Młodzież jak młodzież gorączkowo, hałaśliwie idzie naprzód. My poważniejsi trzymamy się nieco zdala, lecz popieramy ich szlachetne usiłowania na każdém polu.

— W takim razie, muszę się zdecydować na coś stanowczego—rzekł poważnie Zyzma.

— Mój drogi, tyś już zdecydował,—odezwał się Blum modulując głos na ton serdeczny;—tyś już zdecydował—powtórzył biorąc go za ręce.—Przekonywam się, że jesteś dobry i szlachetny człowiek, musisz więc iść w dobrym i szlachetnym kierunku. Takie są już prawa. Chociażbyś się im opierał, nie zwyciężysz ich. Wszak prawda, że mówię dobrze. Pociesz mnie i powiedz, że tak.

Zyzma nie mógł się bronić i nie umiał, a nawet w głębi swego serca nie chciał. Uczuł sympatyą do Bluma i wdzięczny mu był za kierunek rozmowy, serdeczność i pewien rodzaj spowiedzi z jego strony.

— Lecz cóż się stanie z naszemi marzeniami a raczéj marzeniami redaktora „Nowéj presy,"—zaczął po polsku.

— Jakiemi?

— Panowania nad światem.

— Żydzi polscy mogą panować w Polsce, niemieccy w Niemczech a węgierscy w Węgrzech.

— Jakto?..—Na twarzy młodego człowieka malowało się zdziwienie.—A zatém narodowość miałaby być znowu nową komedyą?

Blum zrozumiał, że wziął fałszywą nutę, domyślał się, że podrapał po sercu towarzysza.

— Ależ żartuję, mój drogi. Powiem ci prawdę, nie mogę żyć bez dowcipu i dużo dla niego poświęcę. Jeżeli mówimy o narodowości, to rozumiemy zupełne zlanie się z żywiołem, pośród którego żyjemy, przyjęliśmy jego gościnę. To zupełne zlanie da nam moralność opartą na narodowości, wykształci w nas poczucie obywatelskie, nałoży na nas obowiązki społeczne szlachetne i uczciwe. Wszak prawda Zyzma—zaczął czule.—Wprowadzam cię w tajniki mych myśli i pragnień i nie zawiodę się na tobie, nie zdradzisz mnie, pójdziesz z nami.

Zyzma był przekonany i rad był, że może pozbyć się roli, do któréj wprawdzie zapalił się w pierwszéj chwili, lecz teraz zaczął rozumiéć jéj nicość.

— Cóż zrobię z moim dotychczasowem stanowiskiem?

— Zatrzymać je pozornie,—zawołał jakby w natchnieniu Blum. To twoja, to nasza siła, potęga!

Zyzma nie rozumiał. Domyślił się tego Blum z wyrazu jego twarzy.

— Potęga powtarzam,—dodał z patosem obrońcy stojącego przed kratkami.—Prawdziwym zwolennikom i przyjaciołom „Nowéj presy“ zaimponowałeś swemi końmi, mieszkaniem, elegancyą.

Zyzma się uśmiechnął.

— A nawet wytworną garderobą. Pochwalne listy o tobie posypały się od redakcyi. I ja nie zerwałem dotąd z tém pismem i ja napiszę. Każdy z przyjaciół myśli dla siebie wyzyskać twoję pozycyą, dla tego nie szczędzą ci pochwał. Stoisz więc silnie. Czyż godzi się schodzić ze stanowiska, nie wyciągnąwszy z niego korzyści, jeżeli nie dla siebie, to dla sprawy, którą mam nadzieję pokochasz i będziesz chciał coś dla niéj zrobić.

— Ale jak?—rzekł zafrasowany młody człowiek.

Blum się uśmiechnął.

— Jak, pytasz się, jak. Tysiące sposobności jedna po drugiéj przychodzić do nas będą i kłaniać się nisko. Sesya sejmowa za parę miesięcy otwarta... Pomówimy o tém obszernie, tymczasem trzeba się mieć na baczności, aby się niczém nie zdradzić. Doktór Fuchs widząc postępy polskości zaczyna się chwiać, umizga się do polaków, jednak jest pewny, że wcześniéj czy późniéj centraliści wrócą do władzy a z nimi i panowanie niemczyzny. Czeka więc, patrzy, slucha. Słuch ma sowy, a węch wyżła.

— Młodzież,—szepnął Zyzma.

— Żartuj sobie z niéj,—zawołał Blum, zapominając się.—Im więcéj będzie krzyczéć, tém więcéj będziesz popularny.

— Przyznam ci się, że nie chciałbym być maltretowany przez najszlachetniéjszą cząstkę naszego społeczeństwa.

Blum się zoryentował w téj chwili.

— Prawda, że to nieprzyjemnie,—pochwycił.—Szlachetna młodzież—dodał.—Pozwól, że ja tę sprawę wezmę na swe barki. Będziesz u starego Topaza?

— Jeżeli pozornie trzeba będzie zostać z „Nową presą,“ to muszę.

— Bądź grzecznym i uprzejmym dla jego syna, a nawet serdecznym. Dobry chłopak, gorączka, lecz serce złote. Do widzenia! I znowu ujął go za ręce.—Wiesz, przeczuwałem, że na dnie twego serca jesteś tym, jakim się przedstawiłeś dziś moim oczom. Pamiętaj, że masz we mnie przyjaciela.—Uścisnął go silnie, pożegnal i wyszedł.

Po schodach biegł szybko, lecz cicho, bramę przesadził w trzech susach, przez ulicę szedł poważnie, skręcając w pierwszą przecznicę. Tam dopiero odetchnął całą piersią i rozśmiał się głośno, szczerze i serdecznie. Przeląkł się jednak swego śmiechu i szybko się obejrzał. Ulica była prawie pusta, nikt za nim nie szedł i nikt go nie śledził.

-- A to ja nie wiedziałem,—mówił do siebie, żeś ty taki naiwny, wielki dyplomato „Nowéj presy.“ Teraz inaczéj ze sobą będziemy gadać. Głupcy ci ze swym delegatem nie mogli mi zrobić większéj przysługi. Ale, żeby się cofać przed pogróżkami pierwszego lepszego studenta, to już na to trzeba być osłem... Zdaje mi się, że w nim pokutowała zaklęta dusza patryotnika, rozbudzona do życia czarodziejskiemi wywoływaniami młodego Topaza. Dziwne i zabawne. Dość, że nie mogło lepiéj się stać, jak się stało.

„Bijcie w kotły, w trąby grajcie,
Patryotę powitajcie
Nowonarodzonego
Oj kolenda—kolenda.“

Nucił, idąc szybko w takt śpiewanego tempa.

Na rogu ulicy spojrzał na zegarek.

— Jeszcze czas,—szepnął uradowany. Zawołał na przejeżdżającą jednokonkę, wsiadł i kazał pędzić.

— Panie hrabio, połowa wygranéj: mamy go.

— Ajenta „Nowéj presy?“

— Patryotnik.

— Jak to szczęśliwie!.. nie tylko dla nas, ale i dla kraju.

— Zkaptowałem go.

— Ty doktorze? niepodobna.

— Panie hrabio, żyjemy w państwie niepodobieństw.

— Prawda.

— Rozczuliłem go wymową i łzami a przeraziłem dramatycznością.

Hrabia się uśmiechnął.

— Wierz mi, panie hrabio, umiem być dramatycznym.

Wieleż to ja razy, gdy sędziom nie mogłem wycisnąć łez, podnosiłem z przerażenia włosy na głowach.

— Gdy głowy były łyse.

Blum się rozśmiał.

— Mówmy poważnie,—rzekł hrabia uroczyście.

— Tak, panie hrabio, mówmy poważnie. Młody ajent „Nowéj presy“ jest nasz, na nasze usługi i na nasze rozkazy, albowiem jest zdecydowanym patryotą polskim.

— Jakże pogodzi patryotyzm z obowiązkami względem swego organu.

— A walenrodyzm od czego? Panie hrabio, dobry to wynalazek, proszę mi wierzyć na słowo.

— Kochany doktorze, ty nigdy nie tracisz fantazyi i humoru.

— Do usług pana hrabiego.

— Ręczysz słowem, że dygnitarz „Nowéj presy" da się użyć do spraw naszego kraju.

— Oświadczam i zeznaję pod przysięgą.

— Cóż na to lwowscy szomerzyści?

— Nic nie wiedzą i zostaną wyprowadzeni w pole.

— Wybornie.

— Młodego człowieka biorę pod opiekę, kieruję całą sprawą, piszę artykuły za niego do „Nowéj pressy."

— I w rezultacie zwyciężamy,—dodał hrabia.

— Że zwyciężamy, to nie ulega wątpliwości. Inaczéj, ja nie byłbym Blumem, hrabia hrabią.

Hrabia zrobił marsa i skrzywił się.

— Niech pan hrabia tak się nie krzywi z porównania, gdyż ja siebie uważam za sprytnego i zręcznego.

— Po za sprytem i zręcznością są jeszcze...

— Nie przeczę, panio hrabio,—przerwał Blum;—lecz w téj chwili mówimy tylko o interesach.

— Zawsze,—dodał hrabia.

— Prawda, gdyż ja z prawnikami lubię mówić o prawie, z literatami o literaturze, z artystami o sztuce.

Hrabia się nieco zmięszał: Blum się zemścił.

— Jesteś wszechstronny doktorze,—rzekł z ironicznym uśmiechem...

— Uczę się, panie hrabio, od specyalistów.

— Czegóżeś się nauczył od dygnitarza „Nowéj pressy?"

— Patryotyzmu.—To powiedziawszy rozśmiał się. — A jednak tak jest,—dodał poważnie.—Drzemała w nim zaklęta dusza patryotnika i ja ją wskrzesiłem.

— Zostałeś cudotwórcą, panie Blum.

— Łatwo mi to przyszło. Nie trudno z twardego krzemienia wykrzesać ogień.

— Tak jest twardym twój ziomek?—zapytał hrabia.

— Raczéj nasz ziomek, panie hrabio, gdyż Zyzma urodził się tu, chce być i jest polskim patryotą. Moim jest tylko współwyznawcą.

— Nie jesteś patryotą?

— Wyłączny to przywiléj naszych panów, —odpowiedział pochylając głowę.

Zdawało się hrabiemu, że usta Bluma wygięły się do uśmiechu. Lecz się pewno tylko zdawało.

Milczeli obaj chwilę. Nareszcie hrabiemu sprzykrzyła się szermierka na słowa, ciężyła obecność żyda, gdyż rzekł poważnie.

— A więc do rzeczy.

— Wybornie, a tą rzeczą jest dzisiejsza zdobycz z „Nowéj presy.“ A teraz należy być przygotowanym w najdrobniejszych szczegółach.

— Jużeśmy się zawiązali w konsorcyum.

— To jeszcze mało.

— Prawdopodobnie mamy rząd za sobą.

— Należy mieć pewność.

— Tę biorę na siebie.

— W takim razie jestem spokojny.

— Większość w sejmie będziemy mieć.

— Struna patryotyczna, stosownie nastrojona, powinna wdzięcznie rozbrzmiewać.

— Zrobi się wszystko, gdyż linja ta jest potrzebną..

— Dla Polski,—dokończył Blum.

— Tak jest, dla Polski,—poświadczył z powagą i godnością hrabia.

— A zatém, za trzy dni może się ukazać w „Nowéj presie“ artykuł o konieczności téj linii dla państwa.

— Lepiéj w wilią otwarcia sejmu.

— Zgoda. Mam oficera od inżynieryi, który będzie nam pisał o téj linii ze stanowiska strategii.

— Winszuję panu i cieszę się. My, jest nadzieja, zrobimy swoje.

— A ja swoje,—dokończył Blum.

— Pamiętaj pan. Na generalne posiedzenie konsorcyum otrzymasz pan zaproszenie.

— Stawię się.

— Ułożymy cały plan kampanii.—Hrabia spojrzał na zegarek, Blum wziął za kapelusz.

— Jeszcze jedno słowo.

— Słucham się, panie Blum.

— Dyplomatę „Nowéj presy.“

— Trzeba przyjąć,—dokończył hrabia;—myślałem o tém, tém więcéj że jest uczciwym człowiekiem. Przyprowadź go.

— Należałoby być dla niego bardzo grzecznym.

— Dostanie zaproszenie na raut. Sądzę, że jest możliwym w dobrém towarzystwie.

— Ma ładniejsze konie od Gucia.

— Ładniejsze,—powtórzył hrabia zdziwiony.

— Jest od Gucia trzy razy bogatszy i nie robi byków ani w ortografii niemieckiéj ani polskiéj.

— Krezus, filozof...

— I patryota,—dodał Blum, odchodząc.

— Nieznośny żyd,—zawołał hrabia, gdy się drzwi zamknęły.— Arogant, i cynik... Z chwilą ukończenia sprawy żyda tego nie puszczę do mego domu.

Hrabia był zirytowany, czuł się upokorzony zuchwałością Bluma. Chodził chmurny po swym gabinecie, narzekając na czasy, w których chcąc coś robić dla kraju, trzeba się ocierać o tak wstrętne figury.

— No, ale ma spryt, rozum, dowcip i dla tego można mu wiele przebaczyć...

— Z wami nie można inaczéj,—zawołał na ulicy Blum.—Niechbym tylko głowę pochylił, zarazbyście łapy swe zagłębili w moje skręcone kudły i targać zaczęli. Gdybym kark zgiął, położylibyście stopy swe na nim... Jużto w obec mnie nie możecie grać, ani na surmie patryotycznego zapału, ani na fujarce sentymentalizmu. Jestem wam niezbędnym, to cała moja potęga i tą niezbędnością trzymam was na musztuku. Gryziecie wędzidła ze złości, ale jesteście grzeczni i skromni. Mam ja na was ostrogi dowcipu i cynizmu. Ja nie gram z wami. Ja przestępując progi waszych domów, zdejmuję maskę i to mi daje przewagę.. Ja nie jestem Fuchsem, który oczekując przyjścia centralistów jak Mesyasza, nie umie zwietrzyć dobrego interesu choć za nim nieustannie myszkuje.

(*d. c. n.*) *Sewer.*

# Lauda połączonych województw Kaliskiego i Poznańskiego

## ZA PANOWANIA AUGUSTA II.

W jakże obszerne rozmiary wyrosłaby niniejsza rozprawa, gdybyśmy chcieli układać na podstawie naszego materyału mozajkę męczeńskiéj kroniki województw wielkopolskich, utrapień i kłopotów z postępem czasu potęgujących się do kwadratu! Lata 1711, 1712, 1713, 1714, lata odbywających się regularnie co kilka tygodni, czy miesięcy pod laską Ludwika Szółdrskiego, Jana Radomickiego, starosty osieckiego, Andrzeja Żychlińskiego, Stanisława Garczyńskiego, łowczego poznańskiego, Jana Zakrzewskiego, Stefana Garczyńskiego, późniejszego autora „Anatomii Rzeczypospolitéj“, Andrzeja Skórzewskiego, sejmików wojewódzkich, jakże dziwnie sobie pod temi wszystkiemi względami podobne! Wspomnijmy tylko niektóre szczegóły z kilku miesięcy, poprzedzających zawiązanie konfederacyi tarnogrodzkiéj w r. 1715. Naczelnie dowodzącym wojskami saskiemi w województwach wielkopolskich jest generał Jahnus von Eberstädt, poprzednio plackomendant Königsteinu i stróż wojewody ruskiego, Jana Jabłonowskiego, podczas jego tamże niewoli. Jahnus zawziął się na województwa wielkopolskie, popuścił wędzidła swoim i tak niekoniecznie skrupulatnym podkomendnym. Tak np. wydaje drukowane palety, nakazujące, aby z dymu dawano po dwadzieścia garncy żyta do magazynów saskich. Nie ograniczając się na tém żądaniu, które wywołuje naturalnie w téż tropy protesty szlacheckie, wydaje następnie zakaz wywozu zboża za granicę obu województw. Między innemi spotkał się z takim zakazem Krzysztof Mielżyński, starosta kcyński. Wzmagają się z każdym dniem skargi na dokazywania kwarcianych, na żołnierza feldmarszałka Flemminga, generała

Kawenhacka, majora Helbinga; bezprawne rekwizycye żywności i furażu na wszystkie strony, zabieranie gwałtowne chłopów do fortyfikacyi. Zasada *neminem captivabimus nisi iure victum* wychodzi wśród podobnego stanu rzeczy na pośmiewisko. Major Helbing najeżdża w 40 koni saskich włość Macieja Świnarskiego, niszczy ją i rabuje, właściciela samego, jako więźnia odprowadza do Poznania. Takiż sam najazd na Andrzeja Potockiego, pisarza grodzkiego gnieźnieńskiego, takiż sam na proboszcza w Winnogórze, dobrach biskupa poznańskiego. Płoną równocześnie miasta Złotów, Wronki, Sieraków, Margonin, Leszno, Rawicz, Rydzyna, Wieleń i Borek. Znikąd rady, znikąd pomocy, wszelkie instancye wojewódzkie u króla, u Flemminga, u hetmanów, u prymasa bezskuteczne. Na osobistości ogólnego zaufania, powszechną otoczone popularnością wychodzą wówczas znani nam już Frańciszek Poniński, starosta kopanicki i Andrzej Skórzewski, późniejszy marszałek konfederacyi województw wielkopolskich.

Grunt, przygotowany i w Wielkopolsce należycie, do dzieła konfederacyi, zawiązującéj się w jesieni roku 1715 w Tarnogrodzie. Przypatrzmy się jéj *wielkopolskiemu* przebiegowi. Że był w swoim rodzaju obfity w wypadki, pełen ciekawych szczegółów, nawet nie bez świetnych czynów oręża polskiego, wiadomo z ogólnéj historyi téj epoki. Szołdrscy i Radomiccy opierali się akcessowi dręczonéj, uciskanéj przez generałów saskich, szlachty wielkopolskiej do konfederacyi Tarnogrodzkiéj, mimo, że nadchodziły, jak widzimy z *laudum* średzkiego z dnia 12 listopada 1715 r. gorące ku temu listowne wezwania do marszałka związkowego Ledochowskiego, podkomorzego krzemienieckiego. Natomiast ów wierny Augustowi zastęp wielkopolski przeszkodzić nie mógł temu, że szlachta wśród i mimo frazesów uniżoności „dla królewskiego majestatu“ podnosiła śmieléj głos, że wyprawiwszy do królewskiego boku Adama Ponińskiego, starostę babimojskiego i Jana Zakrzewskiego, pisarza grodzkiego pyzdrskiego, domagała się zwołania pacyfikacyjnego sejmu, żądała uwolnienia znajdujących się ciągle jeszcze pod kluczem „elbląskich więźniów“. Odtąd długa przerwa w zwykłych szlacheckich zjazdach, przerwa przecież, podczas któréj, wywołane uciskiem saskim, rozdrażnienie domowe, w połączeniu z zewnętrznemi okolicznościami, składają się na wybuch powstania. Nadciąga w miesiącu kwietniu r. 1716 do wielkopolskich województw, z nielicznym, ale dzielnéj dłoni zastępem, regimentarz Jan Chryzostom Gniazdowski, zwołuje szlachtę pod Kościan, wzywa do akcesu do konfederacyi generalnéj „przy majestacie przeciw wojskom saskim“. Ostatni raz tu jeszcze odzywa się Augustowa opozycya i znajduje reprezentanta

w Wojciechu Sczanieckim, właścicielu wsi Łagowic. Energiczny Gniazdowski usuwa ową przeszkodę konfederacyi wielkopolskiéj sumarycznym środkiem. Kładzie Sczanieckiego trupem, wystrzałem z pistoletu. Argument ten okazuje się skutecznym. Drugi zjazd pod Kościanem d. 25 maja 1716 r., pod laską marszałkowską Andrzeja Skórzewskiego, „*in fundamento* konfederacyi", tchnie już wyraźnie marsowemi intencyami i wojenną gotowością. Początek spisanéj pod datą powyższą uchwały wyraża dziwną jakąś uroczystą otuchę pewności zwycięztwa. Obok wszelkiéj czci dla królewskiego majestatu, stanowcza decyzya zrzucenia jarzma wojsk saskich. Oświadcza szlachta, że przystępuje do generalnéj konfederacyi Rzeczypospolitéj, *ne quid Rex, lex et libertas detrimenti patiatur*", ale równocześnie powierza się dowództwu pana regimentarza Gniazdowskiego i marszałka Andrzeja Skórzewskiego, żąda ewakuacyi miasta Poznania, grozi Eckstetowi i Seidlitzowi, zapowiada im *naturalem defensionem* w razie nieprzyjacielskich czynów wojska saskiego, karę *infamii contra non comparentes*, wzywa kasztelanów „aby podnosili wojewódzkie chorągwie aż do przyszłych seymików", przedstawia w swéj uchwale konieczność „wojennéj wyprawy". Sekretarzem konfederacyi obrany pan Gostkowski. Sejmik późniejszy „w miejscu popisów" pod Kołem, dnia 29 czerwca 1716 r., uzupełnia dzieło poprzedniego. Po uroczystym wstępie, w którym znów mowa o zachowaniu praw majestatu, obronie zagrożonéj wolności i konieczności ochrony Rzeczypospolitéj, wyprawia szlachta posłów do innych wielkopolskich województw, „aby zaprosili *ad unanimem sensum et consensum* inne prześwietne województwa y ziemie, explikując *desideria nostra*". Upomina daléj zgromadzona pod Kołem szlachta, że jeszcze wielu braci nie połączyło się z konfederacyą i świecą „*absentia*"; zakazuje utrzymywania korespondencyi *cum exotico milite* pod groźbą zarzutu zdrady, pod karą uchodzenia *pro hoste patriae* i sądów obozowych, postanowionych *in excessivos*". Wyprawiona powtórna sommacya do generałów Ecksteta i Seidlitza o ewakuacyą Poznania, wytoczona do nich skarga o mord niewinnéj i bezbronnéj szlachty Gębickiego, Gostyńskiego i Kożuchowskiego, wyznaczeni rotmistrze z rzędu wojewódzkich posesyonatów i nałożona im uroczysta rota przysięgi; postanowiono szukać nieprzyjaciela, gdziekolwiek się znajdzie. Uchwały te nie pozostają martwą literą; przepisane przez województwa podatki wpływają szybko i bez zawodu do rąk wybranych poborców powiatowych; chorągwie wojewódzkie tworzą się pośpiesznie i gromadzą około regimentarza Gniazdowskiego i marszałka Andrzeja Skórzewskiego. Co 30 dymów w dobrach rycerskich, wystawią „jednego pacholka na dobrym koniu z munde-

runkiem do wojowania należytym, w barwie jednolitéj". Prócz tego mówi *laudum* z d. 29 czerwca 1716 r. o pospolitém ruszeniu w dobrach królewskich i duchownych: „Wyprawę z dóbr duchownych y królewskich miast, miasteczek *in toto secundum laudum Costense reassumimus*, to jest ze 20 dymów pacholka *adlatus* Imci Pana Marszałka Województw naszych, a kto się tylko w woiewództwach naszych bydź mianuie szlachcicicem *sive haereditarius*, *obligatorius*, *arendatorius possessor*, *vel simplicis debiti adesse* skonfederowanym województwom swoim *sub poenis de expeditione bellica sancitis* y naszemi laudami akceptowanych powinien *et praesenti laudo obligatur*. Tęż że wyprawę wdowy, sieroty y duchowni dobra dziedziczne maiące, y w innych woiewództwach mieszkaiący, tutecznych zaś *haeredes* dóbr *vel quocunque titulo Possessores* według prawa woiewództwom *in subsidium* bez odwłoki wydać powinni *salva legatione et necessitate*, zlecamy ktoby miał interess pilny odiechania, takowy pacholka z koniem y munderunkiem należytym zostawić ma przy opowiedzeniu się Imci Panu Marszałkowi, iednak z prędkim do Imci Pana Marszalka (gdzie natenczas *subsistet*) powrotem. Do wyżey zaś specyfikowaney wyprawy *tenentur etiam plebeiae personae iuxta laudum Costense*, którzy *in quantum* by *legi publicae recalcitrare* mieli *rigor eiusdem legis extendi* na nich *instantanee* powinien. *Co fidei et dexteritati* Pana marszałka *committimus*".

Otóż uchwały i postanowienia, które wprowadzone na ten raz z niezwykłą energią i szybkością w życie, poprzedzają zaledwie o cztery tygodnie zwycięzki czyn, jakim skonfederowane województwa poznańskie i kaliskie wieńczą swą działalność, odbierając szturmem na dniu 24 lipca 1716 r., pod dowództwem Gniazdowskiego i Skórzewskiego miasto Poznań Sasom i zagarniając w niewolę generała Seidlitza, wraz z całą załogą. Zwycięztwo to nie kończy przecież jeszcze ani wojny, ani ciężarów i kłopotów. Odebrany wprawdzie Sasom zniszczony i spļądrowany Poznań, rozrzucone, wzniesione przez załogę saską, ręką chłopa polskiego, szańce i palisady; wyznaczeni ze strony rad szlacheckich osobni komisarze wojewódzcy, którzy rozbrojonych Sasów wraz z Seidlitzem wyprowadzają po za granice Rzeczypospolitéj, ale „ponieważ", jak się następne *lauda* nakielskie (obozowe) i średzkie odzywają, „traktat uspokojenia jeszcze nie doszedł", nie przestają województwa do końca roku 1716 ściągać nadzwyczajnych podatków, utrzymywać w stanie zbrojnym chorągwi, czekać w pogotowiu wojennėm zmian, na wielkiéj widowni Rzeczypospolitéj. Zmianę tę pożądaną sprowadza nareszcie traktat pacyfikacyjny na tak zwanym niemym sejmie warszawskim z r. 1717. Odtąd przedstawiają oba województwa, aż do końca panowania

Augusta, widowisko pewnego wytchnienia i odpoczynku, a polityczna strona w *laudach* szlacheckich zstępuje na drugi plan, by pierwszego odstąpić ekonomicznéj i licznym interesom prywatnym. Rozpatrzmy się jednakże w owym, choć szczupłym materyale politycznym, by następnie zastanowić się nad zbiorem naszych *laudów*, jako nad nieocenioném źródłem do stosunków społecznych, obyczajowych i ekonomicznych ówczesnéj Wielkopolski.

Rok 1717 stanowi epokę w dziejach panowania króla Augusta, kopiec jakoby graniczny między dotychczasowemi jego burzami, a rozpoczynającym się odtąd sennym spokojem. Nie inaczéj przedstawia się ta zmiana i w krainie wielkopolskiéj. Nasamprzód wyraża się tém, że marszałkami zjazdów szlacheckich, coraz teraz rzadszych, w miarę powracającego spokoju, że postaciami, otoczonemi zaufaniem i popularnością, przestają powoli być wybitniejsze postacie, czy to jednego, czy, drugiego walczących dotąd z sobą, przeciwnych obozów. Przez niejaki czas, jest taką postacią po r. 1717 dzielny niegdyś, wypróbowany stronnik Leszczyńskiego, późniéj poseł Rzeczypospolitéj do cara Piotra, Frańciszek Poniński, starosta kopanicki. Następnie jednakże znika Poniński z widowni sejmikowych, a miejsce jego zajmują osobistości małoznane i bezbarwne, o których głucho w dotychczasowych dziejach. Daremnie chcielibyśmy dopytywać się i badać, jaką polityczną rolę, jakie polityczne stanowisko wśród minionéj, kilkunastuletniéj zaniewieruchy odgrywali i zajmowali marszałkowie późniejszych sejmików, czy-to p. Samuel Kierski, kasztelanic rogoziński, czy-to p. Aleksander Gorzeński, czy p. Łukasz na Kwilczu Kwilecki, czy p. Franciszek z Bruzdowa Mielżyński, kasztelan śremski, czy p. Kasper Miaskowski. Szlachta, jak powiedziano, oddaje się po r. 1716 wygodzie i rozkoszom długo wyczekiwanego, pokojowego wytchnienia. Zajmują ją sprawy domowe, zajmują liczne interesa prywatne, polityka odzywa się mniéj donośném echem, którego rzadkie pojawy zapiszmy przecież z należną troskliwością.

Kłopotem głównym województw wielkopolskich pozostaje, mimo pacyfikacyi Rzeczypospolitéj pobyt „wojsk auxyliarnych Carskich“. Misya Franciszka Ponińskiego do cara tyczy się w znacznéj części tego właśnie przedmiotu. Drugim takim kłopotem jest stosunek pograniczny z Brandeburgią. Nie zapominajmy, że naówczas zajmuje już tron pruski, słynny ze swego oryginalnego apetytu na olbrzymiego wzrostu rekrutów, ojciec Fryderyka II, Fryderyk-Wilhelm I. Pominąwszy różne, psujące wiele krwi szlachcie, przeszkody, stawiane wywozowi zboża i innych przedmiotów handlu polskiego ze strony Brandeburgii, pojawiają się na pograniczu od Marchii

co chwila werbownicy pruscy, by łowić gwałtem i podstępem na przemian poddanych Rzeczypospolitéj wysokiego wzrostu. Spotykamy się pod tym względem z częstemi skargami w sejmikowych *laudach*, z żądaniami do w. kanclerza koronnego, aby drażliwą tę dla honoru i bezpieczeństwa polskiego sprawę załatwił z dworem berlińskim przez jego „ablegata w Warszawie". Mniéj kłopotliwe są wprawdzie równoczesne stosunki na pograniczu szląskiém od Austryi, ale i tu nie zbywa na wypadkach wywracania granicznych słupów polskich, wdzierania się po za pas graniczny, uprowadzania poddanych, zajmowania bydła. Głównym przecież przedmiotem zatargu województw z sąsiadującą cesarską kamerą wrocławską, jest sprawa klasztoru Trzebnickiego panien cystersek. Według dawniejszych układów z książętami szląskiemi, miała połowa przynajmniéj zakonnic być rodu wielkopolskiego, uczestniczyć w wyborze i zajmować godność ksieni. Jeszcze za Jana-Kazimierza, podczas najazdu szwedzkiego, widzimy ksienią trzebnickiego klasztoru Dorotę Bnińską, ze szlachetnego w Wielkopolsce rodu. Późniéj nie dopuszcza rząd cesarski polek do grona zakonnic, usiłuje klasztor zniemczyć zupełnie, a ztąd powstają liczne zatargi między szlachtą wielkopolską, a kamerą we Wrocławiu, spory, które na drodze dyplomatycznéj nie mogą się doczekać ostatecznego załatwienia aż do okupacyi pruskiéj Szląska.

Prócz tego spotykamy się w *laudach* z owéj drugiéj połowy panowania Augustowego, z objawami szlacheckiéj opinii w różnych zagadnieniach ówczesnéj wielkiéj polityki, objawami na przemian zdrowemi i dodatniemi, niekiedy przewrotnemi i przesądnemi, w rodzaju dawniejszych z powodu następstwa księcia Condé po Janie-Kazimierzu. Tak np., jeżeli winniśmy przyznać szlachcie wielkopolskiéj słuszność, gdy wyprawionym na sejm warszawski r. 1720 posłom każe dbać o obronę kraju, o utrzymanie traktatu warszawskiego z r. 1717 i *polską* narodowość oficera i żołnierza wojska Rzeczypospolitéj; jeżeli daléj winniśmy jéj przyznać równą słuszność, gdy żąda, „aby agitujący się w Brunświku *Nordski* traktat nie dopuścił uszczuplenia granic Rzeczypospolitéj", a księstwo Kurlandzkie, aby po wygaśnieniu rodziny Kettlerów, stosownie do konstytucyi z roku 1589 było wcielone do Rzeczypospolitéj;—trudno nam się zgodzić na objawy sejmikowéj polityki, przez które przemawiają zadawnione zabobony obaw i ciemnoty szlacheckiéj. Jeżeli w ciągu długiego panowania Augusta II *jego* interes zszedł się kiedykolwiek z dobrem kraju naszego, była to z pewnością owa chwila z r. 1718 na 1719, kiedy chcąc się wyemancypować z pod przewagi Prus i Rosyi, wyprawił Flemminga i Dunina, regenta kancelaryi koronnéj do

Wiednia, w celu zawarcia traktatu zaczepnego i odpornego z Anglią, Hanowerem i Austryą. Intryga posła pruskiego Posadowskiego i księcia Dołgorukowa, w połączeniu z niecnotą magnacką, ciemnotą szlachecką, zniszczyła w zarodzie ten wielkie następstwa zapowiadający pomysł. Szlachta wielkopolska objawia tymczasem zadowolnienie, że „Rzeczpospolita uniknęła konflagracyi wojennéj“ i gotowa niemal wytaczać akt oskarżenia tym, co do podobnego dzieła przyłożyli rękę. Fanatyzm istny *pokoju* i wypoczynku, przeważa tu nad wszelkiemi innemi względami, a w podobny sposób składa wielkopolska szlachta królowi, po zatargach, wywołanych sprawą toruńską, bałwochwalcze niemal dzięki, iż ustrzegł Rzeczpospolitą od wojennego zamieszania.

Kończąc na tém zapiski nasze z materyału *politycznego*, jakiego barwna mozajka wielkopolskich *laudów* dostarcza, zwróćmy się teraz do ich niemniéj ważnéj, jeżeli nie ważniejszéj strony *administracyjnéj*, *ekonomicznéj* i *społecznéj*. Zadanie to wcale nie łatwe, z powodu obfitości i rozmaitości materyału. Wprowadzić tu pewien ład i szyk organiczny, wskazać pewne wytyczne tém trudniéj, że przychodzi łamać pierwsze lody, że jeżeli prawo publiczne Rzeczypospolitéj znalazło swoich Skrzetuskich, Bielskich, Lengnichów, Helclów,—owa machina administracyjno-ekonomiczna, którą Rzeczpospolita w powszedniém swém, wojewódzkiém i ziemskiém życiu stała, a któréj szczegóły odsłaniają dopiero w najznaczniejszéj części archiwa grodzkie, miejskie i *lauda* sejmikowe, stanowi jeszcze dziedzinę mało i powierzchownie tkniętą. Jakiekolwiek możebyć nasze przekonanie o charakterze politycznym, o stanie zewnętrznéj siły i potęgi Rzeczypospolitéj, w owéj smutnéj i tragicznéj nad wszelki wyraz epoce, winniśmy przecież wyznać, że nawet wtedy, że nawet w téj epoce moralnego i politycznego upadku, że nawet w owych czasach wojny, pożogi, dżumy, najazdów obcego żołnierza, przedstawia nam się, z dziwnie dodatniéj strony, ów funkcyonujący nieprzerwanie, wśród wszystkich klęsk, administracyjny, domowy mechanizm, który tylko długiemi wiekami uświęcona praktyka samorządcza wykształcić i wychować była zdolna. Nie jesteśmy zbyt pobłażliwymi dla ówczesnéj szlachty, nie zamykamy oczu na jéj słabości i grzechy, ale cokolwiekbądź, nie możemy się oprzéć uczuciu pewnego podziwu na widok téjże saméj szlachty, która mając rozlicznego i groźnego nieprzyjaciela w kraju, która patrząc codziennie niemal na pożogę własnych wsi i miasteczek, często własnego domowego gniazda, która zbiedzona i zniszczona wojennemi kontrybucyami, dziesiątkowana dżumą, nie wypuszcza przecież wśród wszystkich tych klęsk ani na chwilę z ręki *publicznego* gospodarstwa własnego wojewódz-

kiego domu, zjeżdża się co kilka tygodni, co kilka miesięcy do Środy, do Miłosławia, do Kościana czy Nakla,—gdzie można i jak można, czy to na cmentarz kolegiaty średzkiéj, czy na „wolne pole dla powietrza“, aby radzić nad miejscową, codzienną potrzebą, aby nie pozwolić runąć w chaos i ruinę „dobra województw“. Innemu społeczeństwu byłyby wśród podobnych klęsk opadły najprawdopodobniéj ręce; zwycięzki chwilowo nieprzyjaciel byłby objął rządy wewnętrzne kraju, zamienił jego mieszkańców, ich mienia i osoby jedynie tylko na przedmiót wyzyskiwania. Gminowładztwo i samorząd, owe dwa podstawne przymioty charakteru publicznego polskiego i słowiańskiego, ocalą nawet w głębiach podobnéj „lwiéj jamy“ organizm i regularny bieg narodowego, powszedniego życia. Zdrowym tym i cennym instynktom samorządnéj administracyi trzeba było tylko czasu, trzeba było pogody zewnętrznéj, trzeba było światła i nauki, jakie zapanowały w téj dziedzinie za naszych dni, aby doskonałością swą, swobodą i prostotą razem, przelicytować wszystkie inne dzisiejsze systemy administracyjne, pasożyt potrzeb militaryzmu, posiłkowany przez centralistyczną biórokracyą. Nie przesądzając o *przyszłości*, któréj się niestety nie doczekał, przypatrzmy się niektórym przynajmniéj szczegółom owego samorządu, jakim był i jak się przedstawia w najsmutniejszéj właśnie chwili przeszłości naszéj. Zacznijmy od *skarbowości*, od przedmiotu podatków wojewódzkich, których ustanawianiem, rozkładem, ściąganiem zajmują się sejmiki wojewódzkie, ponieważ stale i trwale w dziedzinie téj funkcyonujących władz nie ma.

Jako stałe podatki figurują tu czopowe, szelężne, pogłówne i podymne, według tak zwanych taryf, czyli spisów wsi i dymów, sporządzanych dawniejszemi laty. Sejmiki obierają poborców, z pomiędzy szlachty posesyonatów, obierają nadto z pośród tegoż samego grona tak zwaną „komisyą skarbową poznańską“, któréj termin rozpoczęcia czynności wyznaczają z góry, a któréj obowiązkiem poodbierać od poborców pościągane pieniądze, sprawdzić rachunki, udzielać odpowiednio do tego pokwitowania, lub zakomunikować przeciwnie następnemu sejmikowi, że poborca taki a taki jest jeszcze „retentorem“ publicznych podatków, a że nie zwracając ich, wystawia się na upomnienia, grożące karą egzekucyi i infamią. Takich „retentorów“ podatków, prawdopodobnie z powodu zamieszania panującego w kraju, jest naówczas wielu, upomnienia, wystosowywane do nich ze strony sejmików, rzeczą bardzo częstą. Ostatecznie jednakże jest wśród tego nieładu, istotnych *przeniewierstw* bardzo mało, a zdarza się nierzadko, że po upływie lat kilku sejmiki udzielają pokwitowania niepunktualnym, uiszczającym się późniéj dopiero,

poborcom. Taka komisya skarbowa wojewódzka ma nadto zadanie rozpoznawczéj i sądowéj jakoby instancyi. Odbiera zażalenia i pretensye z powodu rozmaitych szkód i pokrzywdzeń, bądź to przez urzędników wojewódzkich, bądź przez swego i zagranicznego żołnierza, orzeka o tych pretensyach, reguluje i załatwia tego rodzaju sprawy. Administruje nadto komisya skarbowa skarbem wojewódzkim, wypłaca zeń pieniądze różnym osobom prywatnym, korporacyom, instytucyom za asygnacyami marszałka sejmiku połączonych województw. Rozumie się, że z działalnością tą podatkową jest ściśle połączona kontrola nad wspomnianemi wyżéj taryfami, nad młynami i browarami, zakładanemi np. we Wschowie i Poznaniu, których właściciele, korzystając z zaniewieruchy wojennéj, chcą się uchylić od opłaty czopowego czy szelężnego, nad różnego rodzaju ludnością, starającą się w podobnyż sposób uniknąć pogłównego. Burmistrze po miastach, proboszczowie i zarządzcy dóbr duchownych odbierają w przedmiocie kontroli nad tak zwaną ludnością luźną ze strony sejmików bardzo surowe przykazy. Zbyteczną naturalnie byłoby powiadać rzeczą, że czasy tak nadzwyczaj ciężkie i opłakane, jakie przedstawia pierwsza połowa panowania Augusta II, nadzwyczajnych też wymagają materyalnych wysileń. Co chwila trzeba pieniędzy, pieniędzy nadzwyczajnych na utrzymanie wojska saskiego, na podnoszenie chorągwi własnych, na pokrywanie najrozmaitszych potrzeb wojewódzkich. Wtedy to uchwalają sejmiki nadzwyczajne podatki, potrójne i poczwórne pogłówne, dodatkowe podymne, dodatkowe pogłówne żydowskie. Ściągają je osobno wybrani poborcy, oddają komisyi skarbowéj, która znów wypłaca pieniądze w sposób wyżéj wskazany. Ciężary te, powtarzające się co chwila, dają się srogo we znaki uciemiężonym i pustoszonym od lat wielu województwom wielkopolskim. Rozpatrzmy się w szczegółach choć jednego takiego nadzwyczajnego podatku. Tak np. mamy uchwałę sejmiku średzkiego z dnia 20 sierpnia 1711 r., w któréj czytamy: „Wyprawę woyska, tak *resolvimus*, obliguiąc Ichmościów dóbr J. K. Mości, duchownych y ziemskich possessorów, ażeby się *indilate* do exekucyi tym a nie inszym sposobem przywodzili, to jest ze dwudziestego iednego dymów według taryffy *anni* 1661 dwieście czterdzieści złotych *contribuendo*, co na dym jeden wyniesie złotych 11 groszy 13 bez pieniążków *circiter* trzech, który podatek do rąk Ichmciów P.P. poborców *anteriori laudo*, uproszonych, jako to w województwie poznańskiém Imci Panu Wojciechowi Szczanieckiemu, w województwie kaliskiém Imci Panu Janowi Kurnatowskiemu opłacać do rąk obliguiemy się na raty, to iest pierwszą ratę *ultimis diebus Septembris in anno praesenti*, drugą zaś *primis diebus Januarii in anno*

1712 odwieść deklarując, *salvis* jednak *quietationibus* rękami tychże Imci P.P. Poborców podpisanych, które w likwidacyą regimentów nie weszły; tych tedy podatków *modo et fine et praecautione* przedsiębierzemy, żeby nas nikt *in posterum* nie ważył się aggrawować paletami, ani téż po dobrach ziemskich konsystencyami, żeby zaś jakiekolwiek *alleviamentum* w zwyż wyrażonéj kontrybucyi domowéj stać się nam mogło, na wszystkich luźnych i parobków, którzy się od gód nie rządzą, chcąc ich mieć *pro personis vagabundis*, po złotych dziesięciu pogłównego, na parobków od gód się rządzących, owczarzy, owczarków, owce swoie własne w najem mających, młynarczyków, czeladź księżą prócz sług kościelnych, po złotych sześć od głowy każdego uchwalamy. Ci zaś owczarkowie, którzy owiec swoich w najem nie mają, *per medium*, to jest po złotych trzy dadzą, do którego pogłównego wszyscy lub Ichmciów duchownych juryzdykcyą zaszczycających się należeć będą, który podatek *in supplementum* podymnego *dispositioni* dóbr Ichmciów Panów possessorów *subiacebit*. Ponieważ niektóre miasta, miasteczka, *ad rationem* uchwalonych Radą Warszawską podatków, wydały *certam quantitatem* postawów sukna, tedy *injungimus* burmistrzom, ażeby na Komissyą skarbową Poznańską nazajutrz po Św. Michale roku teraźniejszego przypadającą, *comportent* kwity, aby to wszystko, co *indebiti* wybrano, *in commodum cedat* województw... Sluszny wielce żal w koło nasze wzniesiony J. W. M. Xiędza Biskupa Poznańskiego (Tarły), znajdzie w sercach wszystkich nas *singularem compassionem*, którego dobra do Biskupstwa y Ichmciów kapituły należące, zasłaniając dobra ziemskie, iednę Hibernę Sasom wydały, drugą tegoż roku, według prawa woysku kwarcianemu należącą wypłacić musialy, *injungimus* komissyi skarbowéj województw naszych, ażeby *praevia liquidatione* w teraźniejszych dziesiątego szeląga podatkach, taż Hiberna *pro persoluto* wytrącona była".

W podobny sposób odzywa się *laudum* z gorącéj w owéj epoce chwili 10 września 1716: „Publiczne województw naszych potrzeby *pro primo* teraźniejszéj obrady naszéj *fundamento* mając y onym *efficaciter* chcąc *authoritate* koła naszego *subvenire*, czworo pogłównego uchwalamy, które w ręku każdego tak królewskich, duchownych, jako y ziemskich dóbr possessora *ad ulteriorem* obrad naszych *dispositionem* bydź powinno, do którego to pogłównego płacenia uważając *publicas necessitates* ludzie Ichmciów księży Plebanów, jako to służebni, komornicy, chałupnicy, luźni, *et quocunque titulo* na ich lub kościelnym gruncie mieszkający należéć, oraz y xięża inszéj religii także z służebną czeladzią *obligantur*. Potażnicy zaś y ludzie luźni tak w miastach y w miasteczkach, jako i we wsiach bez służby będący,

owczarze, owczarkowie, mielcarze y młynarze po złotych ośmnastu *pracvio* w miastach burmistrzów, we wsiach starszych chłopów *iuramento de quantitate* luźnych ludzi *pro primis diebus mensis Octobris* wyliczyć *tenentur* do rąk swoich possessorów *sive* dziedziców."

Przytoczyliśmy umyślnie długie te ustępy z uchwał podatkowych ówczesnych sejmików wielkopolskich, aby przekonać naszych czytelników, nasamprzód jak ów system podatkowy, jeżeli tak wolno powiedzieć, nie oszczędzał nikogo, jak owo pogłówne w razach potrzeby ogarniało zarówno „posesora dóbr ziemskich," jak parobka i owczarka, daléj, jak głęboko umiał tenże system sięgnąć w kieszeń choćby ubogiego człowieka, nakładając nań po trzy, niekiedy po ośmnaście złotych podatku. Uderzającym, zastanowienia godnym pojawem pozostanie, że mimo wszelkich klęsk, ruin, dżumy, nieszczęść, kraj przecież ubogim nie był widocznie, że podatki wpływały, że komisya skarbowa poznańska, pominąwszy inne bieżące potrzeby, wypłaca naówczas ze skarbu wojewódzkiego za asygnacyą marszałków sejmikowych znaczne sumy, np. 30,000 złotych na ufortyfikowanie Kamieńca, niewiele mniejszą sumę na fortyfiacyą Częstochowy, 12,000 złotych na utrzymanie tak zwanych „więźniów elbląskich," 60,000 złotych sukcesorom „sławnéj niegdyś pamięci Stanisława Jablonowskiego kasztelana krakowskiego, w. hetmana koronnego." Owe taryfy znajdujące się jeszcze w archiwach wielkopolskich grodów, owe akta komisyi skarbowych znajdujące się tamże równie najprawdopodobniéj, złożyły się w połączeniu z *laudami* wszechstronnie zbadanemi, na drogocenny materyał statystyczny ówczesnego zaludnienia i stanu krajowéj zamożności.

Po powyższym, pobieżnym w co najgłówniejszych zarysach przeglądzie systemu i mechanizmu podatkowości wojewódzkiéj, nasuwa się naturalną koleją rzeczy pytanie, na jakie cele owe podatki się obracały, jakie ostatecznie przeznaczenie miały? Odpowiedź na to pytanie rzuca charakterystyczne światło na stosunki polityczne, obyczajowe, społeczne wojewódzkiego wnętrza a wychodzi znów na najwyższy zaszczyt domowego samorządu. Jest tedy pieniądz zebrany, gotowy; rozporządza nim nie jakaś skryta, uchylająca się z pod wszelkiéj kontroli instancya biurokratyczna, ale rada wojewódzka na sejmiku wśród białego dnia z przyzwoleniem i zgodą wszystkich obradujących. Rozczytując się zaś w uchwałach sejmikowych, trudno zaprzeczyć, że przeznaczenie owego krwawo i z trudem zebranego publicznego grosza jest wszelkiego uznania i pochwały godne. Nasamprzód „podnoszą się", mówiąc ówczesnym terminem technicznym, i utrzymują z owego grosza chorągwie wojewódzkie, płacą się żołnierz, rotmistrzowie, pułkownicy, wyświadczają tak zwane *largicye.*

Przedmiot owych largicyi wymaga krótkiego objaśnienia, które zarazem niechaj będzie obaleniem zakorzenionego dość powszechnie w naszéj przeszłości o służbie publicznéj przesądu. Przesąd ten utrzymujący się tradycyjnie twierdzi, jakoby wszelkie nasze usługi publiczne były wynikiem gotowéj bezinteresowności, nie pytającéj o żadną nagrodę ofiarności. *Lauda* są nam przekonywającym dowodem, że było wręcz inaczéj, że mogli się zdarzać ofiarni synowie ojczyzny przynoszący jéj własne mienie i usługi w bezinteresownym darze, ale że reguła i praktyka powszednia była inną a że przeciwnie, każda usługa publiczna na rzecz województw była wynagradzaną przez uchwały sejmikowe, jak na owe czasy, jak na wartość ówczesną pieniądza, dość hojnie nawet. Czy to poborcy, czy to członkowie komisyi skarbowéj wojewódzkiéj, czy deputaci do boku królewskiego, czy posłowie wyprawiani do hetmanów, prymasa, generałów saskich,—wszyscy dostają za uchwałą sejmików mniéj lub więcéj obfitą ze skarbu wojewódzkiego largicyą za swe usługi, czasem 5,000, niekiedy 2,000 i 1,000 złotych. Pod tym względem nie zawodzi nigdy szlachecka słowność, wymienia w każdém niemal *laudum* usługę, nazwisko zasługującego, sumę, jaka mu się naznacza. Prócz owych largicyi za usługi publiczne, jest jeszcze ich inny, więcéj może uznania godny rodzaj, *largicye* ku wynagrodzeniu poniesionéj klęski lub ku wsparciu publicznéj potrzeby. Nie istnieją naówczas naturalnie dzisiejsze stowarzyszenia zabezpieczeń, kiedy wydarzają się w stokrotnie częstszy i sroższy, aniżeli dzisiaj sposób pożary i inne klęski.

Rozpusta grasującego po kraju żołnierza, własna nieostrożność, niedostateczność środków ratunku,—wszystko to razem składa się na smutną prawdę, że oba województwa pokrywają się zgliszczami, że nie ma prawie na caléj przestrzeni miasta i miasteczka, któreby nie było przez ten czas spłonęło, że w dodatku, jak widzimy z *laudów*, pożary niszczą nie mniéj liczne wsie prywatnych właścicieli. Pustoszą np. Szwedzi lub Sasi kamienicę browarową kanonika katedralnego i proboszcza farnego poznańskiego ks. Wojciecha Waśniewicza na ulicy Wrocławskiéj, obywateli Schönknechta lub Helbinga na ulicy Wronieckiéj; płonie pod Kościanem wieś Rąbin pana starosty kopanickiego. Cóż się dzieje w takich razach? Dotknięci pożogą nie żądają żadnéj jakiejś nadzwyczajnéj łaski, ale powołują się na uświęcone praktyką, tak zwane *jus conflagratorum* a województwa uwalniają bądź to na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, zwykle na cztery, czasem na siedm lat takich pogorzelców od wszelkiego podatku, bądź też przeznaczają im ze skarbu swego mniejsze lub większe zasiłki. Nie inaczéj dzieje się z zakładami pu-

blicznego użytku, z kościołami i klasztorami. Tak np. potrzebuje restauracyi most na Warcie pod Śremem; województwa przeznaczają na nią mieszczanom śremskim pewną sumę z czopowego i szelężnego i wydają odpowiednią asygnacyą do skarbowéj komisyi poznańskiéj. Katedra poznańska zniszczona w skutek wypadków wojennych, kilkokrotnego oblężenia miasta, zaniedbanéj nad gmachami jéj troskliwości; uchwała sejmiku średzkiego przeznacza trzechletnie czopowe i szelężne miast Buku, Słupcy i Chwaliszewa na jéj naprawę. Co chwila spotykamy się z takiemiż, „largicyami,“ z takiemi mniéj lub więcéj hojnemi asygnacyami na rzecz klasztoru Kamedułów w Biniszewie, Cystersek w Owińskach, Bernardynów w Poznaniu. Jeżeli w szereg tego rodzaju largicyi zaliczają się kilkokrotnie pewne sumy na koszta kanonizacyi św. Stanisława Kostki, nie zapominajmy, że równocześnie a w hojniejszéj mierze wchodzą w nie asygnacye na rzecz tak dotykalnéj potrzeby, jaką przedstawiają koszta fortyfikacyi Kamieńca Podolskiego i Częstochowy.

Largicye takie mają także między innemi za przedmiot *zewnętrzne* ubezpieczenie gmachów sądowych, zabudowań, zachowanie ksiąg i akt grodzkich. Województwa uchwalają i asygnują do komisyi skarbowéj mniéj lub więcéj znaczne sumy na reparacyą sklepów i miejsc depozytowych dokumentów i papierów, nakazują sporządzać troskliwe ich spisy, zalecają regentom ziemskim poznańskim pp. Tomickiemu i Łebińskiemu foliować i oprawiać księgi. Nie dość na tém, przekonywamy się, że równocześnie pamiętają sejmiki o biegu sądownictwa i wymiarze sprawiedliwości. Przepisują wyraźnie, w czyjém posiadaniu mają się znajdować klucze depozytów grodzkich, wyznaczają sądom wojewódzkim miejsce w miasteczku Buku, gdy dżuma i pobyt załogi obcéj nie pozwalają na ich odbywanie się w Poznaniu. Niesprawiedliwością ze strony późniejszych czasów byłoby zapominać, jak owa wyniszczona kontrybucyami, zagrożona we własnym domu, niepewna życia i bezpieczeństwa od rozpusty obcego żołnierza szlachta nie skąpi largicyi ze skarbu wojewódzkiego i na potrzeby oświaty krajowéj niekiedy. Rok 1711, rok inwazyi Śmigielskiego z Pomorza we wielkopolskie kraje, rok ciężkiego pobytu wojsk saskich i carskich w Wielkopolsce, jest jedną z najopłakańszych dat w kronice ówczesnéj jéj martyrologii. Między innymi wyprawiają naówczas województwa wielkopolskie p. Samuela Kierskiego kasztelanica rogozińskiego do carewicza Aleksego „o allewiacyą w nieznośnych ciężarach.“ Mimo to czytamy w *laudum* średzkiem z dnia 20 sierpnia 1711 dosłownie, co następuje: „Widząc znaczną ruinę *Akademii Poznańskiéj*, oney że *in subsidium* dwa tysiące złotych polskich naznaczamy, dając na to komisyi Poznańskiéj

*in manus*, ażeby téj sumy exsolucyę jako najprędszą obmyśliła.“ W rok późniéj, w *laudum* średzkiem z dnia 13 września 1712, znów w ciężkiéj chwili po inwazyi Grudzińskiego z Wołoszczyzny, po pożodze Pyżdr, Krotoszyna, Międzychoda, Skwierzyny, znajdujemy następną uchwałę: „Bacząc znaczny upadek pana Kielera, mieszczanina y *Bibliopoli* Poznańskiego przez rozbieranie dworca jego y insze ruiny, pozwalamy mu piwowara jednego (to jest należne odeń skarbowi wojewódzkiemu czopowe i szelężne) z cechu poznańskiego do lat dwóch, nagradzając szkody jego.“

Dowiadujemy się w ten sposób o ówczesnéj egzystencyi księgarni Kielera w Poznaniu i o troskliwości, jaką szlachta wielkopolska dla dobra i powodzenia jego objawia. W témże samém *laudum* znajdujemy następną zajmującéj treści uchwałę: „Oycom Jezuitom *Missionariis* do Persyi Imci księdzu Krasimskiemu *in vim elemosinae* na Tysiąc Tynfów Imci Panu Marszałkowi Koła naszego z czopowego i szelężnego podatku zleciliśmy dać asygnacyą.“

Otóż w najkrótszych, najgłówniejszych zarysach system, jeżeli tak wolno powiedzieć, podatkowości wojewódzkiéj a równocześnie krótka, charakterystyczna, o ile możności, specyfikacya rozmaitych celów i przeznaczeń, na jakie się dochody płynące z owych regularnych częścią, częścią nadzwyczajnych podatków obracały. Pozwalamy sobie wyrzec przekonanie, że jeżeli niekiedy poborcy owych podatków, jak widzimy z naszego źródła, nie są regularni i punktualni w oddawaniu pościąganego grosza do rąk obranych komisyi, że jeżeli *lauda* grożą podobnym „retentorom“ publicznych pieniędzy egzekucyą „dragonii Pana Generała Wielkopolskiego“ i innemi karami,—właściwéj nieuczciwości przykładów przecież *mało* a sejmiki, jak już powiedziano, po upływie *lat* często, udzielają pokwitowania osobom, czasem spadkobiercom takich poborców. Również, widzieliśmy, że obraca się ów grosz publiczny za uchwałą powziętą wśród białego dnia przez wszystkich, na cele niesłychanéj rozmaitości, ale wszystkie niezaprzeczonéj użyteczności.

Zwróćmy się teraz od sprawy i szczegółów *skarbowości* w inne dziedziny wewnętrznego życia wojewódzkiego, o ile nam na to wzgląd na treściwość sprawozdania z bardzo bogatego, materyału pozwala. Wspomnieliśmy już o uchwałach mających za przedmiot bieg sprawiedliwości, wspomnieliśmy o kosztownych a przezornych staraniach około całości sądowych, grodzkich gmachów, około zabezpieczenia dokumentów, depozytów, około przechowania i uporządkowania akt sądowych. Nie mniejsza troskliwość, o ile naturalnie dopuszczają tego niespokojne czasy i wieczna w kraju zawierucha, o urządzenie w Poznaniu komunikacyi *pocztowéj*. Powierzają

województwa troskliwe i sumienne zawiadowanie urzędem pocztowym poznańskim raz wdowie p. Barczewskiéj inny raz mieszczaninowi poznańskiemu p. Winklerowi. *Handel* znajduje tu podobnież swoję osobną stronnicę. Łatwo pojąć, że tamte czasy nie sprzyjają swobodzie i bezpieczeństwu handlu surowemi płodami, na jakie się ówczesna Polska zdobyć jedynie mogła. Wśród ciągłéj wojny, nieustannych pożarów, włóczęgi obcego żołnierstwa i „kup swawolnych“ po kraju, wśród zakazów wywozu zboża przez generała Janusa von Eberstädt, nie mogło być naturalnie mowy o regularnym i normalnym biegu stosunków handlowych. Dodajmy do tego rozliczne przeszkody innego rodzaju. Co chwila skargi na postępowanie władz cesarskich szląskich; co chwila zażalenia na władze brandenburskie, zatrzymujące czy to w Landsbergu, czy w Cylichowie wozy ze zbożem polskiem, łowiące sobie według upodobania podstarościch lub woźniców polskich, gdy mieli przypadkowo nieszczęście cieszyć się wysokim wzrostem i zapowiadać pożądany materyał do poczdamskiéj gwardyi olbrzymów. Popsute nadto były tu i owdzie mosty na Warcie, niemożliwy spław na rzece przez pozakładane młyny i jazy. *Lauda* z poza roku 1717 zapobiegają przynajmniéj *téj* potrzebie, uchwalają naprawę mostów, zarządzają usunienie przeszkód tamujących wolność spławu na Warcie. Jak widzimy, ciążyły téż na wywozie wielkopolskich województw z rozporządzenia podskarbiego koronnego Jana Przebendowskiego, który na pogranicznych komorach, jak np. w Wieruszowie, Bolesławcu, Wschowie, Międzyrzecu utrzymywał tak zwanych „superintendentów celnych,“ rozmaite zakazy, które szlachcie wiele krwi psują. Tak np. istnieje zakaz wywozu za granicę wielkopolskiéj wełny, kiedy przeciwnie istnieje pozwolenie wywozu skór. Szlachcie nie idzie w smak ani podobny zakaz, ani podobna swoboda. Zakaz ma chronić od strat i obracać się na korzyść niemieckich i protestanckich sukienników pogranicza szląskiego w Zaborowie, Bojanowie, Rawiczu, Sarnowie, Lesznie i Kościanie, swoboda zaś owa wywozu skór wychodzi na szkodę biednych szewców, zwykle katolików i Polaków. Posłuchajmy, jak szlachta pragnie pod tym względem zmiany. Dzieje się to już po uspokojeniu kraju przez traktat warszawski z r. 1717. „Punkt w instrukcyi I. K. Mci P. N. Miłościwego,“ mówi *laudum* z dnia 19 sierpnia 1720, „*ratione* nie wywożenia wełny za granicę y taxy teyże wełny uczynienia zalecony, ponieważ *tollit libertatem commerciorum*, stanowi szlacheckiemu *competentem*, prawem pozwoloną, a na zmocnieniu dysydentów nad granicą w miastach y miasteczkach mieszkających *collimat*, tedy obligujemy Ichmciów Posłów naszych, aby na ten punkt *ullatenus* nie pozwalali y zwyczaiów w wywożeniu za gra-

nicę wełen y zkór *infringere* nie dali.“ Równocześnie posłuchajmy dowodu opieki nad przemysłem szewckim w *laudum* średzkiem z dnia 22 lutego 1723: „A że skóry przeciw prawu wyraźnie napisanemu za granicę wywożą y nasi szewcy aż z Wrocławia skóry muszą sprowadzać, więc reasumujemy konstytucye o nie wywożenie skór za granicę, obliguiąc Ichmciów Panów starostów pogranicznych, aby ich wywozić nie pozwalali.“ Często powtarzające się żądania o naprawę monety, skargi na przywożenie złych pieniędzy z zagranicy, zaliczmy również do kategoryi szlacheckich usiłowań około przyjścia w pomoc krajowemu handlowi. Zresztą przestrzegała szlachta, aby kupcy i przemysłowcy nie stawiali przesadzonych żądań za sprzedawane swym odbiorcom wszelkiego rodzaju przedmioty i wyroby a nakazywała w swych *laudach* podwojewodzym ustanawiać od czasu do czasu i ogłaszać ich ceny.

Przedmiotem sąsiadującym pono najbliżéj z handlem wojewódzkim, figurującym nieprzerwanie na porządku dziennym sejmikowych obrad i postulatów, jest żywo każdy dom szlachecki z osobna obchodząca sprawa tak zwanéj *soli suchedniowéj*. Sól ta, mająca swą nazwę i przeznaczenie od *suchych dni*, stanowi istotnie jeden z najwymowniéjszych dowodów publicznéj dobroczynności i troskliwości dla mieszkańców kraju. Stosownie do kompaktacyi między podskarbim koronnym a delegatami województwa, przeznaczono z kopalni soli w Samborze, Bochni, Wieliczce pewną liczbę beczek na każde województwo. Sól tę spławiano lub zwożono na oznaczone miejsce składu, oddawano pod rozporządzenie osobno ustanowionego żupnika, który się zajmował dystrybucyą jej na szczególne posiadłości ziemskie. Takiém miejscem składu suchedniowéj soli dla województwa Poznańskiego i Kaliskiego było miasto Bydgoszcz. Sól spławiona Wisłą do Torunia, była następnie przewożona na kołach do Bydgoszczy, gdzie się znajdowały umyślnie na ten cel zbudowane szopy żupnicze. Żupnik obu województw, w naszéj epoce Borucki podczaszy Brzesko-Kujawski, wydawał, zjechawszy na miejsce przybywającym z różnych dóbr szlacheckich furmankom asygnacye na pewną liczbę beczek soli. Miasto Bydgoszcz dostawało za każdą taką dystrybutę soli po 200 złotych ze skarbu województw, za co miało obowiązek utrzymywać w dobrym stanie miejscowe żupnicze zabudowania. O ile można wnosić z brzmienia *laudów*, dostawały oba województwa wielkopolskie dziesięć tysięcy beczek soli, kiedy tak zwana *„dosypka“* jedenastego tysiąca opłacała się przez nabywców po trzy złote od beczki. Szczegóły znajdujące się w *laudach* co do dystrybucyi owéj soli, są tak liczne, a tak drobiazgowéj natury, że wchodzić w nie tutaj rzeczą niepodobieństwa. Dość po-

wiedziéć, że sól suchedniowa, że jéj dystrybucya, są przedmiotem ciągłych, nigdy nie ustających skarg i zażaleń przeciw żupnikom, czy to p. Lipnickiemu, czy p. Boruckiemu. Sól nie jest regularnie, ani w zupełności rozdawaną. Pokazuje się, że są na prywatnych składach u żupników znaczne jej remanenty; pojawiają się skargi, że szlachta soli nie dostała wcale, albo ją ponad trzech złotową normę za „*dosypkową*" opłacać była zmuszoną. Najbezceremonialniej przecież, jak widzimy, postępował sobie z dystrybucyą owej soli niejaki p. Blumenthal, który wbrew prawom województw postawiony przez króla Augusta żupnikiem aż do roku 1717, dopuszczał się licznych nadużyć i przeniewierstw. Jeżeli szlachta już nieszczególnie łaskawa na *swoich*, na pp. Lipnickiego i Boruckiego, zaszczyca przez długie lata Niemca Blumenthala wyjątkową nienawiścią. *Laudum* z dnia 22 Lutego 1723 mówi między innemi: „że Imci Pan Blumenthal soli naszej Suchodniowej teraźniejszej dystrybuty do tejże żupy nie składał, nietylko z wielką szkodą województw naszych, ale żupy skarbowe z wielką pomienionego miasta (Bydgoszczy) krzywdą na insze z miasta miejsca przeniósł, jako nam to miasto w suplice wyraziło, o co mają proces w sądach J. K. Mości assessorskich z Imci Panem Blumenthalem, upraszamy Imci Pana Marszałka naszego, aby napisał list do Imci Pana Kanclerza Koronnego o manutencyę tej sprawy przy prawie i zwyczajach dawnych."

A teraz, zdążając ku końcowi naszego sprawozdania, nie od rzeczy, ku charakterystyce strony obyczajowej ówczesnego społeczeństwa, przypatrzéć się stosunkowi jego do *dwóch* żywiołów, o których prześladowanie i niesprawiedliwy ucisk obwiniać je się przyzwyczajono, stosunkowi do *żydów* i *dysydentów*. Co się tyczy nasamprzód *żydów*, podlegają oni wprawdzie, jak widzimy, podatkowi pogłównego i podymnego a ile razy nadarzy się ogólna wojewódzka potrzeba, nie zapominają sejmiki średzkie o pociąganiu i żydów do uczestniczenia we wspólnych wszystkim ciężarach. Niechaj nikt jednakże nie zechce przypuszczać nadzwyczajnego jakiegoś uciemiężenia czy przeciążenia żydów poznańskich. Przeciwnie, obchodzi się z nimi szlachta grzecznie, troskliwie, istnie jak z kurą złote jaja znoszącą. Przyczyna podobnéj względności bardzo łatwa do wytłómaczenia. Nie było wówczas papierów procent przynoszących, nie było banków depozytowych, nie było hipotek. Szlachta tedy, jak widzimy z akt archiwum synagogi żydowskiéj w Poznaniu, lokowała różne swe oszczędności, kapitaliki, posagi córek płatne w dniu zaślubin, po 7½% na kahale żydowskim poznańskim. Ztąd tłómaczy się, że Wielkopolska szlachta obchodzi się bardzo względnie z żydami a wydaje uchwały następnie np. brzmiące: (*Laudum* z dnia 16

kwietnia 1716 r.): „Napisze list pan Marszałek (rycerskiego koła) do Ichmciów Panów Komisarzów od J. K. Mości naznaczonych na komissyą między miastem Poznaniem J. K. Mości y Żydami, upraszając, aby osobliwą mieli animadwersyą *in conservatione* Żydów tamecznych, respektem, że siła Ichmciów Fortun swoich konkredytowało na synagogę poznańską, aby *ex aliqua decisione* na fortunach swoich *creditores* nie szwankowali".

Dysydenci nie znajdują się również w stanie takiego ucisku, jak się przyzwyczajono wierzyć, jakby np. z przebiegu współczesnéj, a tak blizkiéj widownią Wielkopolsce, sprawy Toruńskiéj wnosić można. Jedną z najwięcéj wpływowych, najpopularniejszych pomiędzy obywatelstwem szlacheckiém Wielkopolski postaci, jest naówczas wspominany tylokrotnie, w powyższém opowiadaniu, Franciszek Poniński, starosta kopanicki. W papierach po nim znajdujemy następny, świadczący charakterystycznie o usposobieniu jego względem dysydentów zapisek (w liście do biskupa poznańskiego, Bartłomieja Tarły, z dnia 10 grudnia 1724 r.): „Już daléj niźli dwadzieścia lat w Kopanicy gospodaruję, nie jednego przeżywszy plebana, a podobno żarliwszych, niżeli teraźniejszy o wiarę świętą plebanów, a przecież nie miałem téj noty. Nigdym dyssydentom, pod moją juryzdykcyom mieszkającym, nie pozwalał tego, coby było nad prawo i jeżeli się co między nimi *extra orbitam* znajdowało, zarazem predykanta relegował, ale téż tego, co przez prawo pospolite tymże dyssydentom jest pozwolono, zabronić *ullo iure* nie mogę i nie powinienem; ile *subalternam* tylko nad nimi mając *potestatem*". Z tych słów dostojnika wielkopolskiego przekonywamy się, co najmniéj, że w nim żadnéj jakiéjś fantastycznéj zawziętości przeciw dysydentom nie ma, jak jéj téż istotnie nie było w sercu szlachty wielkopolskiéj wogóle. Jest w prawdzie z powodu zakazu wywożenia wełny za granicę niechęcią nacechowana wzmianka o nadgranicznych sukiennikach, innowiercach, których się podobnym zakazem, ze szkodą prawowiernéj polskiéj szlachty bogaci. W innèm miejscu (*laudum* średzkie z d. 7 stycznia 1710 r., po ustąpieniu Szwedów na Pomorze) czytamy: „Ponieważ mieszczanie poznańscy *dissidentes*, *locum publicum* miasta tegoż łaźnią, *in suum* odebrali *usum*, y w kościół swój obrócili, tedy miastu Poznaniowi dajemy moc doskonałą *locum hunc rehabendi*". Uchwała ta brzmi może twardo i bezwzględnie, chociaż widzimy w niej raczéj chęć wprowadzenia miasta Poznania w posiadanie należnego mu prawa, aniżeli czyn religijnéj prześladowczości. Mniemamy zaś do podobnéj, korzystnéj dla tolerancyi przodków naszych, interpretacyi mieć tém większe prawo, że w późniejszém *laudum* z dnia 19 sierpnia 1720, zapadłem pod laską zacnego Francisz-

ka Ponińskiego, czytamy jako punkt instrukcyi dla posłów, wyprawionych na sejm, co następuje: „Obligujemy Ichmciów Panów Posłów naszych, aby się o to *serio* starali y to utrzymywali, żeby bracia nasi Ichmci Panowie Dissidenci *in religione christiana* przy dawnych prawach byli *inviolabilites* konserwowani“. Było to tuż prawie po wykluczeniu Piotrowskiego, posła wieluńskiego, starosty buczniowskiego, z grona posłów sejmowych r. 1718, jako dyssydenta. Niechaj nam w powyższym punkcie udzielonéj posłom obu województw instrukcyi, będzie wolno widziéć uczciwy protest przeciw czynowi podobnéj wyłączności religijnéj, piękny i zasługujący na ocalenie od niepamięci akt tolerancyi.

Kończymy na tém sprawozdawczą pracę naszą z *laudów* obu wielkopolskich województw za panowania Augusta II. Bogactwo najrozmaitszych szczegółów tak tu wielkie, że ułożona z nich mozajka dałaby się rozszerzyć do nierównie rozleglejszych rozmiarów. Poprzestajemy wszakże na tém, cośmy dali powyżéj, w przekonaniu, że wystarczy ku stwierdzeniu wyrzeczonéj na wstępie prawdy o ważności *laudów* sejmikowych, jako materyału do *wewnętrznych* dziejów Polski. *Zewnętrzny* ich obraz, choćby najtroskliwszy i najdokładniejszy, nigdy nam ich nie odsłoni; najdokładniejsza znajomość walnych sejmów, ich głównych aktorów, rozgrywających się nawet na nich zakulisowych sztuk i intryg politycznych nie rozjaśni nam ich również. *Lauda* dopiero odzwierciadlające życie dnia powszedniego, potrzeby jego i kłopoty, zmysł zbiorowy i publiczny, starający się im według środków i możności zadosyć uczynić, pozwalają z wszelką dokładnością rozpatrzéć się po gruncie, na którym się cała suma zewnętrznych wypadków odbywa, zrozumiéć bardzo często, dla czego owe wypadki biorą obrót, jaki wzięły, dla czego często społeczność ówczesna nie idzie, iść nie może drogami, jakie się podobają, jakieby jéj przepisać rada nasza aposteriorystyczna racya, nasza nieznajomość ówczesnych bied, kłopotów, niedostatków i dolegliwości. A mimo to wszystko, niechaj nam będzie wolno wypowiedziéć dalsze jeszcze przekonanie, że ostateczny sens moralny owych *laudów*, z najtragiczniejszéj epoki całéj naszéj przeszłości, nie obraca się na jéj niekorzyść. Gminowladczy ów samorząd, nie rozpaczający o sobie i o dobru publiczném, nie porzucający steru ojczystéj nawy wśród dżumy, głodu i wojny na łaskę opatrzności, radzący nad swém dobrem, obmyślający mu środki, opędzający się biedzie, utrzymujący, czy-to więźniów jęczących w niewoli u jakiegobądź nieprzyjaciela, czy karmiący głodnych i dający pomoc pogorzelcom, czy „podnoszący chorągwie ku powstrzymaniu kup swawolnych“, czy wznoszący z gruzów kościoły i gmachy grodzkie, czy wspierający podupadłą

akademią, czy budujący mosty na Warcie,—wzbudza w nas mimowolne poszanowanie. Trzeba mu tylko czasu i wywczasu, trzeba mu pogody pokoju, dobrodziejstwa oświaty, pomocy całego ogromnego zasobu środków nowoczesnéj cywilizacyi, aby się wyleczyć z nieodłącznych od wieku właściwego niedomagań, aby się wyrobić i wykształcić na ideał samorządnéj swobody administracyi, jaki sobie zaledwie nie przestannéj swobody używające, społeczeństwa wypracować zdołały. Nie wszystko złe, chwała Bogu, było w Polsce, choćby nawet w Polsce ponuréj epoki Sasów! Otóż promienne przeświadczenie, jakie nam jaśnieje ze źródła spleśniałych, pożółkłych ksiąg *laudowych* wielkopolskich, otóż pociecha, która, choćby sama przez się, stanowi nie dość wysokiego uznania nagrodę trudu, jaki łamanie pierwszych w téj dziedzinie lodów przedstawia!

*Kazimierz Jarochowski.*

# O WZRASTANIU LUDNOŚCI.

§ 1. Kwestyą ludnościową, dopóki nie zostanie ona ostatecznie załatwioną, uważać musimy za najdonioślejszy przedmiot badań socyologicznych. Czy wzrost ludności odbywa się w harmonii ze wzrostem środków do jéj utrzymania? Lub czy uzasadnioną jest obawa, że według nieubłaganego prawa przyrody, ludzkość zawsze pomnażać się będzie w postępie szybszym, aniżeli potrzebna dla niéj żywność, i że skutkiem tego zawsze narażoną będzie na najokropniejsze klęski? Lub wreszcie, czy klęski te, dziś jeszcze widoczne, nie wypływają z prawidła niezmiennego, lecz pochodzą z czasowych tylko dysharmonii?

Daremnie filozofią, biologia i medycyna, ekonomia i statystyka matematyczna ubiegały się o rozwiązanie tych zagadnień. Usiłowania nauk muszą pozostać bezowocnemi, dopóki każda z nich uważać się będzie za wyłącznie kompetentną w powyższych kwestyach. Dopiero kiedy połączymy wyniki badań wszystkich tych nauk, zdołamy zgłębić wszystkie strony, właściwe temu przedmiotowi; oceniając człowieka zarówno, jako organizm zwierzęcy i jako samowiedną istotę, uwzględniając właściwą mu zdolność wytwarzania stosunków społecznych, a nie zapominając nigdy o najwyższych prawach, rządzących ludzkością niezawiśle od jéj woli, zbliżymy się w kwestyi ludnościowéj do pewniejszych wyników.

Praca niniejsza zawierać ma zastosowanie metody powyższéj, zwanéj *fizykalną*, czyli *konkretną*, do badań nad ludnością. Zanim jednak badania te rozpoczniemy, mamy prawo zwrócić się do czytelnika z prożbą o pobłażliwość. Kwestya ludności, stanowiąc jeden z najważniejszych przedmiotów ludzkiego badania, jest oraz jednym z najtrudniejszych i najbardziéj złożonych.

## I.

## Analiza teoryj ludnościowych.

§ 2. Posąg Wenery, przygniatającéj nogą płód ludzki, maluje nam poglądy starożytnych na sprawę przeludnienia; tém bardziéj, że i pomniki pisane, żadnych systematycznych w tym względzie nie zawierają rozumowań, a natomiast z równą niedwuznacznością zalecają spędzanie płodów, jako środek do uwolnienia się od trudności ludnościowych. Czyni to mianowicie *Arystoteles* (1), którego wywodów o ludności streszczać tu nie zamierzamy, gdyż nie zdradzają one głębszego wniknięcia w istotę sprawy przez nas traktowanéj. Starożytni ograniczali się na podniesieniu momentu indywidualnego; nie sięgając myślą aż do skutków przeludnienia, pragnęli oni zabezpieczyć swobodę życia indywidualnego; poznali skutki nadmiernego rozpłodu dla jednostki, ale nie zrozumieli znaczenia ruchu ludnościowego dla całego społeczeństwa. Dopiero na wstępie do epoki nowożytnéj zaczęto się nad tém zastanawiać. Tomasz Hobbes, myśliciel angielski (2), formułował pierwszy wyobrażenie „walki wszystkich przeciw wszystkim", na którém filozofia przyrody oparła swoję „walkę o byt", a nauki społeczne „wojnę konkurencyjną"; tém samém dał on podstawę wszelkim późniejszym teoryom ludnościowym, rozbierającym stosunek społeczeństwa do środków utrzymania. Myśl Hobbesa rozwinął daléj Spinoza (3); wykazując powstanie państwa z téj walki powszechnéj na drodze częściowego poświęcenia nieograniczonéj swobody jednostki, wprowadza on do rozumowania społecznego pojęcia dobrowolnego ograniczenia, zastosowane przez późniejszych pisarzy do teoryj ludnościowych. Jednak dopiero spostrzeżenia Franklina (4) rozpoczynają szereg prac, poświęconych wyłącznie badaniom nad ludnością. Z jego „Observations" zaczerpnął Malthus wyobrażenie olbrzymiéj tendencyi rozrodczéj, właściwéj istotom organicznym, uzdalniającéj każdy rodzaj roślinny, lub zwierzęcy, przy swobodném rozmnażaniu się, w stosunkowo krótkim czasie do pokrycia całéj kuli ziemskiéj; Franklin téż wykazał różnicę, zachodzącą pomiędzy *możebną*, czyli potencyalną ilością przyszłych istot, a liczbą zarodków rzeczywiście do pełni życia się rozwijających.

---

(1) Poglądy Arystotelesa ob. Polit.: II, 3, 7; II, 9, 7; II, 4, 3; III, 14, 10.

(2) Leviathan. (3) Tract. theol.-polit. (4) Observations conc. increase of mankind.

Pierwsze systemata ekonomiczne stały się naukową podstawą dla teoryj ludnościowych. Zwłaszcza zaś pojęcie wartości, produkcyjności przyrody i pracy, były punktami oparcia dla tych teoryj. Rzut oka na zasadnicze poglądy Quesnay'a, mistrza szkoły fizyokratów, objaśni nam znakomicie późniejsze pomysły o sprawie ludności. Punktem wyjścia dla Quesnay'a (1) było jego pojęcie „czystego dochodu“ (produit net). Zna on tylko jednę klasę wytwórczą: ludzi uprawiających rolę. Zwie ich wytwórczymi dla tego, że produkują więcéj aniżeli spożywają podczas pracy. Owa nadwyżka stanowi właśnie jego „produit net“, który idąc w obieg służy ku użyciu klas nieprodukcyjnych. *Przyroda jest jedynym producentem*, gdyż wydaje nadwyżkę; *przemysł jest niewytwórczy*, gdyż przetwarza jedynie spożytą żywność. Nie zatrzymując się nad oceną tego paradoksu, podnosimy tylko samo pojęcie produkcyjności, niezawiśle od pracy. Najbliższy rozdział pouczy nas, jakie znaczenie do pojęcia tego umiano przywiązać w zakresie teoryj ludnościowych. Przedtém jednak winniśmy przedstawić poglądy założyciela ekonomii nowoczesnéj, Adama Smitha i poprzednika jego, Dawida Hume'a.

Hume (2) w rozprawie swéj o ludności za czasów starożytnych, upatruje we wzroście jéj przyczynę pomyślnego rozwoju. Rozsądny ustawodawca, zdaniem Home'a, powinien badać starannie przeszkody rozmnażania się ludności i usuwać je. Według niego, wszystkie prawie moralne i fizyczne dolegliwości rodzaju ludzkiego płyną z próżniactwa. Od człowieka samego zatém zależy usunięcie ich. Filozof szkocki wypowiedział był prawie wszystko to, co uczeń jego, prześcigający go w sławie ekonomisty, obszerniéj rozwinął. W kwestyi ludnościowéj Smith (3) stoi na tym samym punkcie co Hume. Wskazując wyraźnie *pracę* jako główne źródło bogactwa i sposób jedyny zabezpieczenia sobie środków bytu i tworząc tém samém podstawę nowoczesnéj nauki gospodarstwa, rozwija on w ustępie o płacy to, co późniéj Ricardo nazwał żelaznėm prawem: że popyt za pracą reguluje rozmnażanie się ludności. Ta sama myśl, obszerniéj rozwinięta, dała podstawę teoryom ludnościowym Lista i Carey'a. Nie badając głębiéj sprzeczności, wikłających kwestyą ludnościową w późniejszém jéj rozumieniu, Smith, równie jak Hume, nie widzi niebezpieczeństwa we wzroście ludności. Żalić się, powiada on, że powiększenie płacy potęguje szybkość rozmnażania się lud-

(1) Tableau économique.
(2) Of the populousness of ancient nations. Essays, t. II.
(3) Inquiry into the Nature & Causes of the Wealth of Nations.

ności, to znaczy żalić się nad przyczyną największéj pomyślności kraju...

Przekonajmy się, o ile następcy Smitha skorzystali ze zdobyczy jego, polegającéj na poznaniu znaczenia pracy, w odniesieniu jéj do ruchu ludności.

§ 3. Pomiędzy dziełami Quesnay'a, Hume'a, Smitha, a dziełem T. R. Malthusa (1), leży rewolucya francuzka. Zrozumimy lepiéj stanowisko kapłana angielskiego, jeśli porównamy go ze współczesnymi ekonomistami. W ekonomii porewolucyjnéj dwa kierunki się uwydatniają: pierwszy reprezentuje szkoła socyalistyczna francuzka, datująca się od Babeufa, która trzymając się tradycyj wielkiéj rewolucyi, rządom i formie społecznego ustroju przypisywała winę braków i cierpień ekonomicznych; drugi widzimy w reakcyjnéj ekonomii angielskiéj, broniącéj rządów, a winę wszelką zwalającéj na przyrodę i rzekomo niezmienne jéj prawa. Ten to kierunek inauguruje rozprawa Malthusa o ludności. Zanim przedstawienie jéj rozpoczniemy, winniśmy nadmienić, że na parę lat przed jego wystąpieniem Wenecyanin Ortes, również duchowny, ogłosił rozprawę podobnéj treści, w któréj używa już obrazu „postępu geometrycznego". Rozprawa ta, znana niezawodnie Malthusowi, nie zwróciła jednak na siebie uwagi (2) publiczności.

Malthus, opierając się na spostrzeżeniach Franklina, rozpoczyna twierdzeniem, że każdéj istocie organicznéj właściwą jest dążność do rozmnażania się po nad ilość żywności przygotowanéj. Rośliny i zwierzęta, idąc za tym popędem rozrodczym, giną po wielkiéj części, dla braku przestrzeni i żywności.

U człowieka, obok instynktu rozrodczego, występuje drugi czynnik, rozum, który każe mu hamować swe popędy. Jednak tendencya przyrodzona i u człowieka jest tak potężną, że ludność, któréj wzrost nie napotyka na żadne przeszkody, podwaja się co 25 lat (3). Wzrasta ona zatém w postępie geometrycznym, podczas gdy żywność, uwzględniając wynalazki i ulepszenia techniczne, powiększa się co najwięcéj w postępie arytmetycznym. Stosunek ten uwydatnia następujący szemat:

*Wzrost ludności*: 1, 2, 4, 8, 16, 32, 64, 128, 256...
*Wzrost żywności*: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9..

---

(1) An inquiry into the principle of population. 1798.

(2) Wspomina o niéj Dühring w swéj „Geschichte der Nationalökonomie und des Socialismus", cytując niemiecki jéj napis „Reflexionen über die Bevölkerung in Bezug auf Nationalökonomie", 1790. Dühring podnosi zamiłowanie duchownych do zajmowania się kwestyami płciowemi.

(3) Twierdzenia tego starał się Malthus dowieść w kilkanaście lat po wydaniu swéj rozprawy w artykule „O ludności", wcielonym do „Encyclopaedia Britannica",

Muszą zatém istniéć przyczyny, tamujące niepohamowany rozrost ludności: są niemi moralne i fizyczne cierpienia, niszczące organizm ludzki. W ogólności dzieli Malthus przeszkody nadmiernego wzrostu ludności, jak następuje:

1. *Zapobiegające*: a) dobrowolne (wstrzemięźliwość płciowa, „moral restreint"), b) występne (prostytucya i wszelkie nadużycia płciowe).

2. *Represyjne*, czyli *pozytywne*, skracające długość życia, jako to: ubóstwo, niezdrowe zajęcia, choroby, zarazy, wojny i głody.

Wszystkie te przeszkody redukują się do trzech następujących: *Przymus moralny*, *występek* i *nędza*.

Z powyższego przedstawienia wypływają zatém następujące trzy twierdzenia:

1) Liczba ludności jest ograniczona środkami utrzymania.
2) Ludność wzrasta *niezmiennie*, kiedy środki powiększają się.
3) Przeszkody, utrzymujące ludność na poziomie środków utrzymania, są: przymus moralny, występek i nędza.

Oto krótki wykład prawa Malthusowego. Malthus bada, w dalszym toku swéj rozprawy, sposoby, jakiemi wspomniane przeszkody działały u poszczególnych społeczeństw. Znajduje, że u dzikich, rozmnażających się ślepo, występują głównie przeszkody represyjne: ludożerstwo, kastracya, infibulacya, wszeteczność i dzieciobójstwo. W Europie natomiast przeważają przeszkody zapobiegające. Wojny, częstsze u ludów dzikich, pociągają za sobą szybkie odnowienie się dotkniętych ludności, podobnie jak zarazy i głody. W porównaniu z elementarnemi temi siłami, wpływ rządów i instytucyj ludzkich wydaje się Malthusowi znikomym, a w przecenianiu tego wpływu upatruje on główny błąd reformatorów.

Skutkiem prawa ludności nie jest głód zupełny, ale ubóstwo. Środki, jakiemi starają się zaradzić ubóstwu, są następujące: *wychodztwo*, które, zdaniem Malthusa, daje tylko pomoc krótkotrwałą i połączone jest z okrucieństwami przeciw mieszkańcom krajów nowozajmowanych; *prawa o ubogich i zapewnienie pracy przez państwo*, które, według Malthusa, powodują pogorszenie położenia robotników, umożliwiając ich szybsze rozradzanie się. Żywność, udzielana w domach ubogich, uszczupla ogólną masę żywności dla reszty społeczeństwa. Podniesienie uprawy roli, również, zdaniem jego, nie usunie skutków prawa ludnościowego, gdyż nie oto idzie, czy kraj pewien, mniéj czy więcéj, może produkować, ale o to, aby wzrost żywności zawsze dotrzymywał kroku ruchowi ludności.

Ludzkość nie uwolni się od klęski ubóstwa pierwéj, nim się nie uda przekonać robotników, że oni sami są przyczyną swego

ubóstwa. Wykonywając wówczas na sobie *przymus moralny*, zmniejszą oni podaż roboty i polepszą swe położenie. Dla osiągnięcia tego celu proponuje Malthus: stopniową reformę praw o ubogich, wpływanie pismem i słowem na robotników, udzielanie ludowi nauki zasad ekonomicznych, wreszcie rozległy system wychowania narodowego.

Wszystkie te środki tak mało zadowolniły samego Malthusa, że uczynił on przy końcu uwagę: smutno, że kiedy nauki fizyczne z dniem każdym rozszerzają swój horyzont znakomitemi wynalazkami, nauki ekonomiczne, moralne i polityczne nie są w stanie wpływać na usunięcie przeszkód szczęścia ludzkiego, płynących z jednéj przyczyny.

Rozbierając teoryą Malthusa, zbadamy najsamprzód metodę, jaką się posługuje i jego ekonomiczny punkt wyjścia, następnie prawdziwość i doniosłość poszczególnych jego twierdzeń, wreszcie istotę środków zaradczych, jakie zaleca.

Metodę i stanowisko ekonomiczne Malthusa poznajemy ze sposobu, w jaki grupuje przedmioty swego badania. Po jednéj stronie stawia on człowieka i jego tendencyą rozrodczą, po drugiéj—ziemię i jéj siłę produkcyjną. Pojęcia te odosobnił, nie uznając wzajemnego wpływu między człowiekiem a gruntem. Ztąd łatwo mu dedukować prosty wzór matematyczny, jaki, między innemi jego zwolennikami, przyjął był także J. St. Mill. Jednak znakomity ten myśliciel, który tak jasno i trafnie wyłożył różnice pomiędzy poszczególnemi metodami socyologii (1), uznając metodę fizykalną za jedynie odpowiednią, gdyż ona jedynie zastosowaną być może do zjawisk złożonych, Stuart Mill, powiadamy, przeoczył był, że mistrz jego całą swą teoryą oparł na błędnéj metodzie geometrycznéj. Metoda ta operuje zawsze jedną tylko przyczyną, fizykalnie każdy rezultat bada, jako średni skutek przyczyn licznych, wpływających wzajemnie na siebie, i uwzględnia nie mniéj reakcyą skutków na swe przyczyny; mechanizm zjawisk społecznych zaś wyjaśni nam tylko ta ostatnia metoda.

Rachunek Malthusa musiał zatém wypaść błędnie, gdyż nie zastosowano w nim prawideł właściwych. Ale w ułożeniu zagadnienia przebija się téż zasadniczy ekonomiczny pogląd Malthusa. Do niedawna przyjmowano powszechnie, że Malthus, jako następca Smitha, przyswoił sobie punkt wyjścia tegoż. W najnowszych dopiero czasach wykazał Dühring, że Malthus nie pojął był idei Smithowskich, gdyż opierając się na wyobrażeniu produkcyjności przyrody, nie uwzględnia on znaczenia pracy. Postaramy się o dowód, że Malthus,

---

(1) System logiki racyonatywnéj i induktywnéj.

*jako ekonomista, był czystym fizyokratą.* Teoryą socyologicznąo piera on na prawidle przyrodniczém, tak samo, jak to czynili fizyokraci. Oni to, przejęci wyobrażeniami z dziedziny nauk przyrodzonych, siłami przyrodzonemi objaśniali porządek społeczny. Oni téż, z Quesnay'em na czele, bronili twierdzenia, że przyroda przedstawia jedyny czynnik rzeczywiście wytwórczy. Zasadnicze pojęcia Malthusa zatém nie tylko, że nie były umiejętnemi, ale brak im nawet było oryginalności. Podobnie jego szemat matematyczny, wspólny mu z Ortesem, przypomina fantazye matematyczne Quesnay'a. Miał on, w obec szerszych kół ukryć niepewność wyobrażeń Malthusa. Postępom swym Malthus nie zaznaczył żadnych granic; nie zna on rozwoju i upadku społeczeństw, ale prawo swe o wzroście ludności uznaje za działające wszędzie i zawsze. Prawo to stoi i upada, wraz z powszechném swém zastosowaniem; bo jeśli niektóre społeczeństwa wyjęte są z pod niego, natenczas przestaje ono być prawem przyrodzoném, nieodłącznie związaném z naturą człowieka. Jednak Malthus sam nadwątlił doniosłość swego prawa, czyniąc w rozprawie swéj różnicę między staremi a nowemi ludnościami. Okoliczność, że ludność, rozmnażając się swobodnie, podwaja się w przeciągu lat 25, oparł on na jedynym przykładzie stanów zjednoczonych północnéj Ameryki. Późniejsze tablice statystyczne nigdzie nie wykazują takich stosunków. Quetelet, którego teoryą ludnościową niebawem obszerniéj przedstawimy, przeczy w tym względzie stanowczo twierdzeniom Malthusa (1). Trudno dziś zawierzyć danym statystycznym;

(1) Quetelet przytacza następującą tablicę, uwydatniającą wzrost ludności i okres podwojenia się jéj:

| KRAJE: | Według prof. Rau'a. | | Według M Ch. Dupin'a. | |
|---|---|---|---|---|
| | Przyrost roczny. | Okres podwajania. | Przyrost roczny. | Okres podwajania. |
| Irlandya . . . . . . | 2,45 | 28,6, lat | " | " |
| Węgry . . . . . . . | 2,4 | 20,2, — | " | " |
| Hiszpania . . . . . | 1,66 | 41,9 — | " | " |
| Anglia . . . . . . . | 1,65 | 42,3 — | 1,67 | 42,0 |
| Prusy . . . . . . . | " | " | 2,70 | 26,0 |
| Prusy nadreńskie . . . | 1,33 | 52,33 — | " | " |
| Austrya . . . . . . | 1,3 | 53,6 — | 1,01, | 69,0 |
| Bawarya. . . . . . | 1,08 | 64,6 — | " | " |
| Niderlandy . . . . . | 0,94 | 74,8 — | 1,24 | 56,5 |
| Królestwo Neapolu . . | 0,83 | 83,5 — | 1,11 | 63,0 |
| Francya . . . . . . | 0,63 | 110,3 — | 0,65 | 105,0 |
| Szwecya. . . . . . | 0,58 | 118,0 — | " | " |
| Lombardya . . . . . | 0,45 | 152,8 — | " | " |
| Rosya. . . . . . . | " | " | 1,05 | 66,0 |

według teoryi prawdopodobieństwa Laplace'a i Herschla, zdaniem Queteleta, obliczenia okresów podwojenia ludności narażone są na znaczne szanse pomyłek. Okres lat, używanych do obliczenia tego, zbyt jest krótkim, aby należycie mogło być uwzględnione to, co Quetelet nazywa „causes accidentelles", a na co i Mill zwraca uwagę, żądając „eliminacyi przypadku".

Aparat statystyczny, jakim posługuje się Malthus, nie umożliwił mu zatém umiejętnego dowodu. Zgodnie twierdzą Carey i dzisiejsi statystycy niemieccy, że ani stosunku podwajania się ludności, ani stopnia wytwórczości ziemi, statystyka w dzisiejszym swym stanie wykazać nie może. Jednak i bez pomocy ze strony statystyki dziś już stanowczo zarzucić można wzór geometrycznego postępu, obrazujący nam niezmienne prawo wzrostu ludności, przyjmując natomiast istotne przyrodzone prawa rozmnażania się, wykryte przez biologią. Prawa te orzekają, że płodność ludności nie jest niezmienną i tą samą zawsze i wszędzie, ale zależy od przyrodzonych warunków, wśród których żyją poszczególne ludności, od ich fizyologicznego i cywilizacyjno-umysłowego rozwoju. Postęp, z jakim pomnaża się żywność, również błędnie został przyjęty przez Malthusa. Kwestya ta, w ścisłym stoi związku z nowoczesnemi poglądami ekonomicznemi, na stosunek pracy do stanu wytwórczości; obszerniéj zastanowimy się nad nią w rozdziałach, zawierających teorye Lista, Carey'a i Dühringa. Nie chąc antycypować tego przedstawienia, wskazujemy na odnośne ustępy.

Według Malthusa, wzrost ludności, jeżeli dobrowolnie nie bywa hamowany, napotyka na t. z. represyjne, czyli pozytywne przeszkody, utrzymujące go na poziomie środków utrzymania. Wybitne wśród przeszkód tych miejsce zajmują: wojny, głody i zarazy. Nowsza nauka wykazała, że rzekome te przeszkody rozrostu ludności, bynajmniéj nie działają w sposób przez Malthusa określony. I tak wojny wiele bardziéj stosunkowo wpływają na zmniejszenie produkcyi, aniżeli na uszczuplenie ludności; bezpośrednim ich skutkiem jest zatém owszem powiększenie dysproporcyi pomiędzy ludnością. a środkami utrzymania (1). Podobnie zarazy i głody, krępując producentów, nie tyle wpływają na zmniejszenie się ludności, w porównaniu do ogólnego funduszu żywności, ile raczéj fundusz ten nadwerężają (2). Nadto trzy te katastrofy powodują spotęgowanie tempa

---

(1) Dühring „Cursus der Nationalökonomie einschl. der Hauptpunkte der Finanzpolitik".

(2) Villermé „O zarazach pod względem statystycznym, lekarskim i ekonomiczno-społecznym".

wzrostu ludności. W saméj rozprawie Malthusa znajdujemy wzmiankę, ogólnie późniéj potwierdzoną, że nawet stare społeczeństwa po wojnach nader rychło się odradzają.

Rozbiór nasz przyprowadza nas tedy do następujących wyników:

ad 1) Ogólne twierdzenie, że ludność zależną jest od środków utrzymania, w brzmieniu powyższém niezawodnie jest prawdziwe, ale wyraża ono stosunek naturalny, dawno przed Malthusem stwierdzony, a nie uprawniający bynajmniéj do dalszych wniosków tego pisarza.

ad 2) Zdanie, że ludność, znajdująca obfite środki utrzymania, wzrasta *niezmiennie*, podwajając się w tym samym zawsze okresie czasowym, jest stanowczo błędném, i w stosunkach rzeczywistych zastosowania nie znajduje.

ad 3) Również błędną jest konstrukcya sposobu, w jaki odbywać się ma regulacya wzrostu ludności; czynniki, które według prawa Malthusa hamować mają rozrost ludności, nie ograniczającéj się dobrowolnie, wojny, zarazy i głody, wywołują przeciwnie spotęgowanie szybkości rozrodczéj.

Teorya Malthusa wiedzie do wyobrażenia, że małżeństwo, jako legalną formę rozpłodu, zaliczyć poniekąd należy do przedmiotów zbytku, dostępnych tylko ludziom zamożniejszym. Od klas uboższych żąda Malthus surowéj wstrzemięźliwości płciowéj, grzesząc tém samém zarówno w obec prawdziwéj, przyrodzonéj moralności, jak przeciw potędze i przyszłości ludności. Doświadczenia medycyny i badania biologiczne każą nam stanowczo potępić środek, zalecany przez Malthusa. Po obszernych pracach Huxley'a i Spencera, normalną czynność rozpłodową uważać musimy jako istotną i niezbędną funkcyą organizmu ludzkiego, przeciwstawioną dyametralnie funkcyi odżywiania, ale równie jak ta konieczną dla zdrowia i normalnego życia organizmu. Malthus żąda od ubogich robotników podobnego występku przeciw prawom przyrody, powołując się na przezorność, która powinna wstrzymywać ich przed wydawaniem na świat dzieci, dla których nie mają zapewnionego utrzymania. Tego zapewnienia nie ma robotnik nigdy, zawisły od woli i szans zysku przedsiębiercy, najprzezorniejszy nawet pod tym względem robotnik nie jest pewnym, czy i na jak długo znajdzie utrzymanie dla siebie i rodziny swojéj. Wreszcie postępowanie, zalecane przez Malthusa, osłabiłoby siłę ludności w samym jéj zarodku: w prących się masach leży żywotna siła ludności i rękojmia jéj rozwoju, na mocy uszlachetnionéj walki o byt.

W całéj pełni tedy zastosować musimy słowa Dühringa, że teorya Malthusa dąży do uświęcenia braków i smutnych stron ekonomicznych, spowodowanych przez obecną formę ustroju ekonomicznego.

Bronią niektórzy poglądu Malthusa, wskazując na okoliczność, że Darwin uznał go i oparł nawet poniekąd na nim wielką swą teoryą ustrojów organicznych. Zapominają oni, że najczęściéj wielkie i trafne hipotezy powstały z pomysłów błędnych i niemogących się utrzymać. Kopernik utworzył był teoryą heliocentryczną, zatrzymując epicykle i koło ekscentryczne Hipparcha i Ptolomeusza. Teorya Darwina o świecie ustrojowym jest prawdziwą i wieczną, jak teza Kopernika; prawo Malthusa zaś upada tak samo, jak upadły epicykle astronomów greckich.

§ 4. Przechodzimy obecnie do poglądów szkoły racyonalistycznéj. Zamierzamy poprzestać na krótkiéj o nich wzmiance, gdyż brak im podstawy umiejętnéj, a nadto trudno w nich dopatrzyć oryginalności. Odznaczają się jednak po większéj części zdrowym rozsądkiem i pewnym taktem społecznym, płynącym niezawodnie z czynnego zainteresowania się zagadnieniami społecznemi. Szkoła socyalistów, począwszy od Babeuf'a, stała w opozycyi przeciw Malthusowi i jego prawu ludnościowemu. Pomijamy tu bałamutne wywody Fourier'a, zaznaczamy natomiast, że St. Simon i wielki jego uczeń Auguste Comte nie uznawali istnienia przyrodzonego prawa o ludności. Gęsta ludność, powiada Comte w swéj dynamice społecznéj, wpływa na podniesienie postępu, jednak stopień gęstości ludności po dziś dzień jeszcze nie jest zadawalniający, mimo przesadnych obaw Malthusa. Proudhon nie mniéj zwraca się przeciw obawie przeludnienia, i chociaż uległ był wpływowi Ricarda, opierającego spiżowe swe prawo o najmniejszéj ilości środków utrzymania, na teoryi Malthusa, mimo to, powiadamy, Proudhon stanowczo stoi po stronie tych, którzy kwestyą ludnościową traktują ze społecznego punktu widzenia. Niezawodnie i ci byli jednostronnymi, zapominali bowiem zupełnie o fizyologicznéj stronie ludności. Lassalle, również przeciwnik Malthusa, zbliża się bardziéj do teoryj przyrodniczych. Chociaż nie uznaje prawa Malthusowego, przypuszcza on jednak możność przeludnienia, jako skutek pewnéj formy układu społecznego. Wskazuje on na zjawisko, stwierdzone już przez Hobbesa, mianując je „wojną konkurencyjną“. Według niego, dobrowolna wstrzemięźliwość płciowa sprzeciwia się taktyce konkurencyjnéj, gdyż spowodowałaby tylko zasilenie konkurentów, co do liczby egzystencyj, mogących znaleźć utrzymanie. Na takie ustąpie-

nie miejsca u stołu życia potomkom innych, nikt zdecydować się nie może.

Jeden tylko pisarz, należący do szkoły omawianéj, oświadczył się za Malthusem. Karol Marlo (Winkelblech) (1), który w swym systemie ekonomii powszechnéj tworzy rodzaj konserwatywnego socyalizmu, przyjmuje wprawdzie istotę prawa Malthusowego, jednak okazuje wyraźnie sympatyą swą dla klas ubogich i pracujących. Proponuje on, aby ze strony państwa zarządzono, iż każde dziecko, wydane na świat, otrzymać musi od rodziców swych odpowiednie zabezpieczenie materyalne („Kindergut"). Przy czwartém dziecku wolno wykazać się choćby $^1/_3$ takiéj summy, na rzecz tego dziecka ulokowaną, w razie zaś, gdyby nie umiano wykazać dla dziecka nowonarodzonego podobnego ubezpieczenia, spotyka ojca praca w domu karnym. Prócz tego radzi Marlo, aby zawiązywano religijne zakony dla mężczyzn i kobiet, które trudniąc się pielęgnowaniem i wychowaniem dziatwy, sztucznie zaspokajałyby popędy rozpłodowe. Na pierwszy rzut oka pozna tu każdy nieuprzedzony, że rzekome, zaradne środki Marlo'a przyczyniłyby się tylko do powiększenia ilości dzieci nieprawych i do spotęgowania zepsucia i degeneracyi płynącéj z celibatu. Tak tedy, jedyny, socyalistyczny zwolennik Malthusa, postępując konsekwentnie, ujawnił tylko głęboką korupcyą i sprzeczność z prawami przyrody, ukryte na dnie malthuzianizmu.

§ 5. Od poglądów szkoły socyalistycznéj przechodzimy do badań ściśle umiejętnych nauki, która powinna-by podać nam najpewniejsze wyniki. Nauką tą jest statystyka, a zadaniem jéj w zakresie naszego zagadnienia, postawienie matematycznéj teoryi ludności. Quetelet musiał mieć przed oczyma proces poznawania praw rządzących ciałami niebieskiemi, kiedy pragnął prawa społecznego układu oprzéć na formalnéj matematyce, zanim konkretna jego istota dokładnie została zbadaną. Oto teorya Queteleta (2):

1. Ludność posiada dążność do wzrastania w postępie geometrycznym; ponieważ jednak wzrost ten napotyka na przeszkody (3), przeto dąży ona do stanu równowagi (4).

---

(1) „Untersuchungen über die Organisation der Arbeit oder System der Weltökonomie".

(2) „Sur l'homme et le développement de ses facultés, ou essai de Physique sociale" i „Du System social et des lois, qui le regissent".

(3) „L'obstacle destructiv-forces naturelles", i: „l'obstacle privativ-forces perturbatrices de l'homme".

(4) Stan ten polega na równości ilości urodzin i zejść u danego społeczeństwa.

2. Przeszkody wspomniane, rosną w stosunku prostym do kwadratów prędkości, z jaką ludność dąży do pomnażania się (1).

Prawo to objaśnia Quetelet analogią oporu, jaki stawiają środowiska ciałom, przerzynającym je. Myśl Queteleta, obrana z matematycznego swego rynsztunku, wyraża, że ruch ludności dąży do stanu równowagi, w którym-by spożycie równało się wytwarzaniu, po czém chyli się ludność ku swemu upadkowi; jednak wzrost jéj jeszcze przed ową granicą słabnie, gdyż przeszkody, hamujące wzrost, wzmagają się o wiele szybciéj, aniżeli przyrost ludności.

Quetelet wprowadza następnie nader płodne wyobrażenie podziału lat życia ludzkiego na lata wytwórcze i niewytwórcze. Te ostatnie sięgają, według niego, aż po rok 15-ty. Ustanowiwszy ten podział, wykazuje on znaczenie liczby średniéj długości życia, dla danéj ludności. Uwzględniając bowiem ów podział na lata produkcyjne i nieprodukcyjne, z cyfry, wyrażającéj średnią długość życia, wnioskować możemy o stopniu produkcyjności społeczeństwa. Produkcyjność zaś reguluje granice ilości mieszkańców w danym kraju.

Społeczeństwa winne się zatém starać o powiększenie liczby przeciętnéj długości życia. Sztuka lekarska, przedłużając życie, zwiększa liczbę lat produkcyjnych w stosunku do nieprodukcyjnych, oddaje zatém ważną usługę. Nie należy jednak zapominać, jak zauważył Villermé, że lekarze ocalają życie głównie ludziom bogatszym, tym, co „wyciągnęli najpierwsze losy na loteryi życia". Ztąd bierze swój początek t. z. *chów medyczny*, który polega na tém, że ludziom chorowitym, a zamożnym, przez przedłużanie życia daje się sposobność do rozpłodu i do przeszkadzania obecnością swą innym osobnikom zdrowszym, ale nie zamożnym. Dla tego Quetelet widzi najskuteczniejszy środek do podniesienia średniéj długości życia w podniesieniu *ogólnéj hygieny*, która zniweczyła-by szkodliwe skutki chowu medycznego.

Poglądy Queteleta, streszczone tu tylko o tyle, o ile są oryginalnemi, stanowią znakomity postęp od Malthusa. Ekonomiści mało się nimi zajmowali i mało je sobie przyswoili. Matematyczne sformułowanie jego prawa jest pięknóm i ponętném—ale niestety, tylko marzeniem ponętném i pięknóm. Duch ludzki ujął w krótką formułę

---

(1) To samo twierdzenie postawił baron Fourier, w jednym ze wstępów do „Recherches statistiques sur Paris". Verhulst, badając prawo Queteleta (Memoires de l'Academie royale de Bruxelles, t. XX) twierdzi, że przeszkody, wzrastają proporcyonalnie do stosunku między nadmiarem ludności, a jéj liczbą normalną. Quetelet na obronę swego zdania, słusznie przytacza, że ludność wzrasta przez dzieci, które z jednéj strony narażone są na znaczną śmiertelność, z drugiéj zaś nie produkują, lecz uszczuplają środki do utrzymania.

matematyczną głębokie prawa, na których opiera się budowa wszechświata; dla układu społecznego przy dzisiejszym stanie wiedzy naszéj wzór tak ścisły wyprowadzić się nie da. Stosunek kwadratowy, jaki Quetelet przyjął, może być prawdopodobnym, ale faktyczności jego Quetelet nie udowodnił i udowodnić nie mógł.

Jednak matematyczny sposób myślenia, który na każdém polu nauki wiedzie do świetnych wyników, uzdolnił Queteleta do wynalezienia dwóch momentów, które ostać się muszą nawet wobec krytyki przyszłości. Pierwszym z nich jest pojęcie rozwoju, kwitnącego stanu i upadku ludności, oznaczające granice, w których odbywać się muszą wszelkie badania ludnościowe; drugim wskazówka, że dany stan hygieny ogólnéj jest jednym z czynników normujących dla każdego kraju możebną ilość mieszkańców. Podniesienie hygieny ogólnéj wpływa na przedłużenie cyfry średniéj trwałości życia, powiększenie téj cyfry na spotęgowanie produkcyjności, a ta ostatnia bezpośrednio daje miarę granic ludności.

Quetelet był mistrzem sztuki, którą utworzył. Jego następcy uprawiali ją wszyscy prawie po rzemieślniczemu. Nie znajdujemy u nich ani jednéj teoryi cennéj. Z pomiędzy niemieckich statystyków Haushoffer (1) odznacza się sumiennością w traktowaniu przedmiotu. Wyznając, że porównanie produkcyjności różnych krajów jest dziś niemożliwém, gdyż nie ma statystycznéj miary dla niéj, skłania on się do przyjęcia poglądów Malthusa. Sam jednak wykazuje, że podczas gdy dwoje ludzi w przeciągu 2 lat co najwięcéj wzrastają o podwójną swą liczbę (jeśli wydadzą bliźnięta), to ziarnko pszenicy w czasie tym pomnaża się tysiąckrotnie.

Czyż więc rzeczywiście istnieje w przyrodzie dążność do powolniéjszego rozmnażania płodów służących za żywność organizmowi ludzkiemu, aniżeli tych organizmów?

Pouczającemi są wyniki, jakie anglik Bourne (2) ogłosił o stosunku ludności angielskiéj do produkcyjności jéj, a które kazały mu potępić stanowczo teoryą Malthusa.

1) $^1/_3$ część ludności może zapracować i pracuje w saméj rzeczy na swoje utrzymanie i na utrzymanie pozostałych $^2/_3$ części.

2) Z odłamu ogółu, który produkuje, około 40 na stu zajmuje się bezpośrednio lub pośrednio produkcyą środków do utrzymania, 25 — 30 produkcyą innych potrzeb życiowych, tak, że 30 — 35 na

---

(1) „Lehr- und Handbuch der Statistik."

(2) „De l'accroissement de la population dans ses rapports avec les moyens de subsistance". (Annales de démographie internationale 1877).

100 przez produkcyą przedmiotów zbytku przyczynia się do podniesienia ogólnego bogactwa.

3) Zatém przyrost ludności w Anglii po dziś dzień nie wywierał niekorzystnego parcia na środki utrzymania i nie prześcignął ich (1).

Do tych wyników, wyjaśniających stosunki jednego społeczeństwa, dodajemy, na zakończenie relacyi naszéj o poglądach statystyków, dwa prawa postawione przez nich, które jednak roszczą sobie pretensye tylko do znaczenia rezultatów prawdopodobnych.

Sadler (2) przyszedł do następującego wyniku: — Kraje, w których corocznie najwięcéj zawiera się związków małżeńskich, są oraz temi, w których płodność małżeństw jest najmniéjszą.

Legoyt i Guillard zaś ogłosili prawo następujące: —Płodność ludności znajduje się w odwrotnym stosunku do jéj gęstości.

Nie możemy się na tém miejscu wdawać w ocenienie obu tych praw, które, jak powtarzamy, nie opierają się na niezbitych dowodach. Jednak w toku pracy naszéj na prawa te jeszcze się powołamy.

§ 6. W ustępie niniéjszym pragniemy podać poglądy przyrodników, o ile pośrednio lub bezpośrednio dadzą się zastosować do wzrostu ludności a środków utrzymania. Karol Darwin (3) wyprowadza ogólną walkę o byt z dążności wszystkich rodzajów do bezgra-

---

(1) W r. 1871 ludność Anglii, Szkocyi i Irlandyi wynosiła społem 31.484.661 „Registrars-General“ podzielili ją na 6 klas następujących:

| | | |
|---|---|---|
| 1-a | kl. rzemieślnicza | 891.160 |
| 2-a | „ służąca | 6 804.769 |
| 3-a | „ handlująca | 1.035.737 |
| 4-a | „ uprawiająca rolę | 2.989.154 |
| 5-a | „ przemysłowa | 6.425.137 |
| 6-a | „ bez oznaczonego zawodu | 13.338.704 |
| | razem | 31.484.661 |

Wszystkie te klasy są konsumującemi, bezpośrednio produkującemi zaś tylko 3, 4 i 5. W liczbach zaokrąglonych trzy te klasy dzielą się jak następuje:

| | |
|---|---|
| Produkujących środki do utrzymania | 4.250.000 |
| „ inne potrzeby życiowe | 3.250.000 |
| „ przedmioty zbytkowe | 3.000.000 |
| | 10.500.000 produkujących |
| | 21.000.000 nieprodukujących |
| razem | 31.000.000 |

(2) „The law of population.“

(3) „Powstanie gatunków.“

nicznego mnożenia się, napotykającéj na wpływy niszczące i ograniczające. W miarę wzrostu przyczyn niszczących, wzmaga się płodność rodzaju; z ich zmniejszeniem się, redukuje się téż potęga rozpłodna, życie jednak wszystkich osobników jest bezpieczniejsze. Co do rodzaju tych przeszkód rozrostu, wiedza nasza bardzo jest niepewną; zamiast na wzór Malthusa ugrupować je w trzy niezmienne kategorye, światły umysł Darwina odsuwa podobną ponętę. Przytacza Darwin: wrogów wytępiających, współzawodników uszczuplających żywność, żywioły przyrody, zarazy; jednak wyraźnie stwierdza, że sposób działania tych czynników, tajemny związek procesów przyrodniczych, dziś dla nas jest niejasnym. Z walki o byt wywodzi on konieczność rozwoju organizmu, gdyż te tylko osobniki pozostają przy życiu i rozmnażają się, które uległy korzystnéj jakiejś odmianie przez zastosowanie się do warunków otoczenia (dobór przyrodniczy) lub téż te, które pochodzą od rodziców wyposażonych w niezwykłe zalety (dobór płciowy). Tém więcéj zaś istniéć może osobników tego samego gatunku, obok siebie, im bardziéj między sobą są zróżniczkowane.

Darwin nie był socyologiem, a w teoryi Malthusa upatrzył moment oderwany rzeczywistych zjawisk przyrodniczych; dla tego uznał ją w zupełności. Jednak poglądy Darwina nastręczają nam niektóre znakomite wskazówki dla prawdziwego postępu ludności. W ogólnéj swéj walce o byt odrzuca on pojęcie niezmienności czynników, według niego *płodność zmniejsza się lub zwiększa się w miarę ubytku lub wzrostu przeszkód.* Następnie widzi on *ciągłe rozszerzanie się granic ilościowych* dla osobników pewnego i tego samego rodzaju *na mocy różniczkowania*, płynącego z przeżycia jednostek uległych odmianie. Stąd dla nauki o ludności wyrasta wniosek, że w miarę podniesienia dobrobytu ogólnego, zatém w miarę złagodzenia najprzykrzejszéj walki o byt, zmniejsza się potęga rozpłodowa ludności; a postęp w kulturze, sprowadzający coraz to większe zróżniczkowanie zawodów, wpływa oraz na rozszerzenie granic ludności.

Ernest Haeckel (1), stojący zupełnie na gruncie Darwinowskim, rozważa dwa doniosłe czynniki w zakresie kwestyi ludnościowéj: *chów medyczny* i *chów wojskowy.* Pierwszy działa szkodliwie, przedłużając okres rozpłodowy jednostek niezdrowych, drugi ogranicza mocno czynność rozrodczą najsilniejszych i najzdrowszych jednostek w czasie najobfitszego ich rozkwitu fizycznego, i przeznacza je na śmierć. Jest to chów sztuczny a szkodliwy dla ludzkości, który wprawdzie ustępuje co do siły i znaczenia korzystnemu chowowi

(1) „Dzieje utworzenia świata."

przyrodniczemu, jednak na fizyognomii dzisiejszych społeczeństw pozostawia swe ślady.

Najobszerniejszą teoryą o ludności postawił między przyrodnikami Herbert Spencer (1), pisząc o mnożeniu się i przyszłości rodzaju ludzkiego ze stanowiska biologii.

Każdy organizm, według Spencera, wystawiony jest na działanie dwóch grup czynników: 1) *niszczących* (śmierć naturalna, brak żywności, zmiany atmosferyczne, nieprzyjaciele) 2) *zachowawczych* (trwałość członków, siła, obfitość, przemyślność, płodność).

Siła rozpłodowa zależy od następujących czynników: wiek rozpłodu, jego częstość, liczba osobników każdego aktu porodzenia, trwałość płodności.

Stąd płyną dwa wnioski: *a*) Jeśli gatunek nie przestaje istnieć, to siły zachowawcze równoważą niszczącym. *b*) W miarę zwiększenia lub zmniejszenia środków do utrzymania, płodność rośnie lub upada.

Pomiędzy rozwojem osobnika (indiwidualizacyą) a rozmnażaniem się (genezą) istnieje antagonizm. Materyał zużyty na indiwidualizacyą, nie może być użytym dla rozpłodu, gdy przeciwnie czynność rozpłodowa uszczupla materyał mogący być obróconym na indiwidualizacyą. Antagonizm ten każe nam wnioskować: 1) Czém mniejszy jest organizm, (tj. czém mniéj materyału obróconém jest na indiwidualizacyą) tém silniejszy rozpłód jego. 2) Czém mniéj organizm złożony i zróżniczkowany, tém większa jego płodność. 3) Czém mniéj ruchliwém i czynném jest zwierzę, tém większa jego płodność (tém mniéj bowiem materyału zużywa na ruch).

Znaczenie wyboru przyrodniczego dla rozmnażania się gatunków okazuje się w tém, że typy lepiéj zastosowane do otoczenia mają wyznacznik rozmnażania się większy, niż typy bardziéj upośledzone. *Najbardziéj rozwinięty i zróżniczkowany gatunek zatém ma płodność absolutnie najmniejszą, względnie największą.*

Takie są prawa rozmnażania się dla organizmów zwierzęcych. Z nich możemy jedynie drogą dedukcyi odkryć prawa normujące rozpłód człowieka, zwłaszcza trudno oznaczyć wpływ, jaki na płodność człowieka wywierają wewnętrzne zmiany organizmu. Rozwój organizmu polega na zastosowaniu ruchoméj równowagi jego akcyi żywotnych do stosunków zewnętrznych. Cały postęp zatém może tu polegać tylko na doskonalszém uporządkowaniu stanów i czynności organizmu. Siła mięśniowa w przyszłości wzrastać nie będzie, prędzéj już zręczność mechaniczna. Głównie atoli okaże się postęp

---

(1) "A system of Philosophy. 2. Principles of Biology"

w spotęgowaniu umysłu, powodującego wzrost oświaty i moralności. Warunki zewnętrzne, podbudzające organizm ludzki do rozwoju, będą polegały mniéj na niebezpieczeństwie zewnętrzném, a natomiast głównie na braku żywności. Walka o środki utrzymania pobudza do większéj zręczności, panowania nad sobą samym i kształcenia umysłu. Wybór przyrodniczy przenosić będzie własności celniejszych jednostek na potomstwo,—tak tedy nadmiar płodności wiedzie do rozwoju ludzkości, jak opiewała już teorya Darwina. Nawzajem jednak rozwój ludzkości, spowodowany przez bystrą płodność, wpłynie na zmniejszenie płodności. Wśród spokojnéj walki o byt, rosnąć muszą nerwowe ośrodki co do masy, złożoności i dzielności. Zauważono jednak, że rozwój mózgowia opóźnia dojrzałość płciową, a wydatek sił umysłowych celem nabycia wykształcenia zmniejsza płodność.

Postęp taki odbywać się powinien tak długo, aż ludzkość dojdzie do równowagi, tj. do stanu, w którym każda para przeciętnie wydaje dwoje dzieci. Równowaga taka jednak nigdy nie nastąpi, gdyż zakłócać ją będą czynniki astronomiczne i geologiczne, działające powolnie, ale stale. Zdaje się jednak, że owa idealna cyfra potomstwa każdéj pary leżyć będzie na pośrodku pomiędzy 2 a 4.

Po postępie, o którym mówimy, w każdym razie na pewne spodziewać się należy usunięcia nadmiaru ludności i cierpień przezeń spowodowanych. Każdy przydzieloną sobie będzie miał pracę normalną i przyjemną, zgodną z jego władzami, potrzebną dla utrzymania zdrowia, nie zaś niszczącą zdrowie i szczęście.

Teorya Spencera zawierałaby świetne rozwiązanie trudności ludnościowych na mocy koniecznego działania sił przyrodzonych, gdyby działanie to skutki swe ujawniało w krótszych odstępach czasowych. Atoli perspektywa wskazana przez Spencera, (1) odnosi się do tak długich okresów, że socyologia postarać się musi także o inne sposoby rozwiązania zajmującego nas zagadnienia. Twierdzenie Spencera, że skomplikowanie systemu nerwowego i praca umysłowa pociąga za sobą zmniejszenie płodności, uznaném zostało w biologii i medycynie, i możemy je przyjąć jako prawdziwe. Zapomniał jednak Spencer, że nawet najmniejsza płodność mężczyzn przy normalnéj płodności kobiet, wystarcza do sprowadzenia wszystkich skutków przeludnienia. Przy dzisiejszym ustroju publicznego wychowania i wobec stanowiska, jakie kobieta dziś zajmuje we wszystkich

(1) Podobną jest teorya Dubleday'a; R. Trall ogłosił niedawno w języku niemieckim rozprawkę, zawierającą też same poglądy, p. t. „Eine neue Bevölkerungstheorie, hergeleitet aus den Gesetzen der thierischen Fruchtbarkeit."

prawie społeczeństwach, teorya Spencera bynajmniéj nie może zadowolić umysłu nieuprzedzonego. Zawiera ona bezsprzecznie moment prawdziwy, na którym oprzéć by się mogły zamysły i kroki reformatorów społecznych, ale grzeszy tą jednostronnością, o jakiéj wspomnieliśmy we wstępie do niniejszéj pracy: pragnie najbardziéj skomplikowane zagadnienie socyologii rozwiązać wyłącznie na podstawie czynnika biologicznego.

Z wywodów Spencera wyjmujemy, z naszego stanowiska się zapatrując, ten wniosek, że praca umysłowa ogółu, jeżeli równomiernie się dzielić będzie na płcie i stany, wpłynąć może częściowo na usunięcie cierpień społecznych, spowodowanych przez dysharmonią między ilością konsumentów a ogólnym zasobem żywności.

§ 7. Kiedy nauki przyrodnicze objaśniały zalety i wady teoryi Malthusa z obszerniejszego punktu widzenia, lub téż sprawę ludnościową swobodniéj i bardziéj naturalnemu porządkowi odpowiednio pragnęły rozwiązać, w nauce ekonomii społecznéj wytworzyła się szkoła t. zw. neomalthuzyańska, która na podstawie prawa ludnościowego Malthusa, budowała systemata ekonomiczne. Najpoważniejszym przedstawicielem téj szkoły jest Jan Stuart Mill (1). Popierał on teoryą Malthusa swemi twierdzeniami o przemyśle rolnym, które opiewały, że kiedy kultura rolnicza dosięgnie pewnego szczebla, podwojona praca nie wyda już podwójnych rezultatów, tak iż, w analogii do wielkiéj dysharmonii płynącéj z prawa Malthusowego, przyrost ludności zajmującéj się uprawą roli, nie stoi w prostym stosunku do produkcyjności roli. Mill był głęboko przejęty prawdą teoryi Malthusa, jednak sprzyjał on klasom pracującym i pragnął szczerze polepszyć ich dolę. Zwraca się do nich z wezwaniem do wstrzemięźliwości; od kobiet żąda usuwania się od obowiązku nadmiernego rodzenia, przypominając im cierpienia i bóle fizyczne połączone z porodem. Oprócz wstrzemięźliwości zaleca Mill także wychodźtwo, szerzenie znajomości prawa ludnościowego, głównie jednak pozbycie się obecnego systemu pracy i zrzeszony przemysł.

Mill, dbały o szczęście i postęp klas roboczych, wskazywał na niektóre z tych środków, któremi Malthus pragnął był powstrzymać naturalny rozwój ludności, aby rządy kapitału i szczupłéj klasy wybranych utrwalić na wieki. Druga część jego planu reformatorskiego okazuje nam, że nie znał on właściwego sposobu działania owego zalecanego przymusu moralnego, dążącego do zdziesiątkowania robotników i pozbawienia ich jedynéj ich potęgi, liczebności. Widzi

(1) „Zasady ekonomii społecznéj."

on bowiem braki obecnego ustroju ekonomicznego, nieproporcyą między zyskiem przedsiębiercy a płacą robotnika i wskazuje na przemysł zrzeszony jako na drogę wybawienia z cierpień ekonomicznych. Tém samém oddala on się od Malthusa o całą przestrzeń, dzielącą zachowawczość od postępowości. Jego zaś prawo o rolnictwie nie orzeka nic więcéj, jak tylko, że istnieje pewna granica produkcyjności ziemi, któréj żadne ulepszenia techniczne odsunąć już nie zdołają; czyli innemi słowy, że ludność, oparta wyłącznie na uprawie roli, znajduje również pewne granice rozmnażania się,— a wnioskując daléj, że pragnąc granice te rozszerzyć, musi wydźwignąć się na nowe pole produkcyi.

Kierunek neomalthuzyański reprezentuje téż dzieło lekarza angielskiego (1) wydane bezimiennie, a przełożone na wszystkie prawie języki. Znakomity filantrop, który dzieło to napisał, podobnie jak Mill głęboko był przejętym prawdą teoryi Malthusa, którego zwie bezwarunkowo największym dobroczyńcą ludzkości jako tego, który odkrył prawdziwą przyczynę nieszczęść ludzkości. Moralność, medycyna, kazania, prawo i polityka, powiada on, są to tylko wieczyste komedye, odgrywane przed ludzkością, których wystawność urzędowa i olśniewające ceremonie służą do tego, aby odwrócić ogólną uwagę od okropnych tragedyj, odbywających się po za sceną. Klęski, trapiące ludzkość wskutek nieoglądania się na prawo ludnościowe, wtedy dopiero zostaną usunięte, gdy prawo to zostanie powszechnie przyjęte jako podstawa prawodawstwa i moralności. Przyjmując za prawdziwe teorye ekonomiczne Milla o granicy wydajności ziemi, które formułuje jako *„prawo zmniejszającego się dochodu gruntowego,“* stawia on na mocy wiedzy swéj lekarskiéj drugie prawo, zwane *„prawem czynnego używania.“* Nieświadomość, że obcowanie płciowe *niezbędném* jest dla zdrowia i cnotliwości, stanowi według niego błąd zasadniczy filozofii, medycyny i moralności. Nieświadomość ta jest też powodem, że Malthus zalecał przymus moralny. Przymus taki jest o wiele szkodliwszym, aniżeli ślepe rozmnażanie się. Gdyby nie było innego sposobu, aby klasom pracującym zabezpieczyć więcéj żywności i wczasu, jak zmuszając je do zrezygnowania z miłości fizycznéj, natenczas położenie ludzkości byłoby rozpaczliwém. Jeżeli nie możemy mieć obojga: środków utrzymania i miłości, natenczas nie ma szczęścia i moralności dla ludzi. „Dzisiaj ograniczona liczba funkcyj rozrodczych jest zmonopolizowaną, reszta zaś

(1) „Zasady nauki społecznéj, czyli religia fizyczna, płciowa i przyrodzona. Rozprawa o prawdziwéj przyczynie trzech głównych społecznych klęsk: ubóstwa, nierządu i bezżenności, oraz o środku zaradczym na nie.“

ludzi zmuszoną jest bądź to wcale nie wydawać dzieci na świat, bądź też wydając je, sprowadzić przeludnienie, ubóstwo i śmiertelność przedwczesną.“ Całą winę zwala społeczeństwo na nieszczęśliwych, którzy stali się przez monopol zaślubionych ofiarą hańbiących cierpień: na samogwałcących się, hypochondrystów itd. *Posiadanie potomstwa nie powinno się, jak powiada Malthus, uważać jako zbytek, ale jako zasadniczy warunek zdrowia, z którego każdemu równa część się należy.* Ponieważ jednak każda kobieta zrodzić może około 15-rga dzieci („*prawo płodności*“) nieznajdujących dostatecznéj ilości przygotowanéj żywności, przeto powstaje owa wielka dysharmonja, która znaną jest jako „*prawo ludnościowe Malthusa.*“

Ludzkość widzi się wobec kolizyi: prawo Malthusa nakazuje jéj ograniczenie w rozmnażaniu się, zaś prawo czynnego używania niepozwala jéj wstrzymywać się od obcowania płciowego. Jedyną drogę wyjścia z okropnéj téj kolizyi widzi autor w *zapobiegającém obcowaniu płciowém*, głównym i prawie wyłącznym środku do osiągnięcia dobrobytu, miłości i wczasu. Wprawdzie przyznaje on sam, że środek ten nie jest zupełnie zadowalniającym pod wszystkiemi względami, ale mając wybór pomiędzy nim, przymusem moralnym, prostytucyą i ubóstwem, należy obrać zarówno ze stanowiska umiejętnego jak z pospolitego punktu widzenia prewencyą.

Powszechne przyjęcie środków prewencyjnych nie wydaje się atoli autorowi wystarczającém. Dzisiejsze społeczeństwa grzeszą przez nieuwzględnianie prawa czynnego używania; cały ich kodeks moralny zbudowany jest na pojęciach pseudo-idealnych, bynajmniéj nie odpowiadających prawdziwéj naturze ludzkiéj. Miłość, naturalna funkcya organizmu ludzkiego, stoi pod klątwą opinii ogólnéj a uznaną jest jedna tylko ograniczona jéj forma: małżeństwo. Tymczasem wzmagająca się bezustannie prostytucya i ilość dzieci spładzanych po za małżeństwem, dowodzą jasno, że t. z. miłość dozwolona, i uświęcona dziś przez kościół i państwo nie wystarcza do zaspokojenia potrzeb ludzkości. Nadto należy pamiętać, że kobiety, obdarzone niemniejszemi niż mężczyzni popędami płciowemi, przez dzisiejszy kodeks moralności w straszliwy sposób są upośledzone, i wprost popychane na drogę samogwałtu, hypochondryi i wielu innych cierpień płciowych. Mężczyzni wyłącznie dyskutują o kwestyi ludnościowéj; a kobiety które stanowią ważniejszą może połowę ludzkości w tym względzie, nie mają prawa zabierać głosu w sprawie najbardziéj je obchodzącéj lub przeprowadzić odpowiednie reformy.

Autor bezimienny żąda zatém reformy obecnego kodeksu moralnego, polegającéj na uznaniu prawa Malthusowego, a właściwie,

jak z naszéj strony dodajemy, prawa czynnego używania,—na zniesieniu nierozerwalnego małżeństwa, i na swobodniejszém uregulowaniu stosunków płciowych. Przedewszystkiém zaś dążyć do tego należy przez zupełną emancypacyą kobiet, które by nadal same mieć mogły prawo decyzyi co do swych czynności rozrodczych.

Prawo Malthusowe i środki zaradcze zalecane przez jego zwolenników należą już poniekąd do historyi ekonomii społecznéj. Nie uznając tego prawa, nie możemy zgodzić się z twierdzeniem bezimiennego autora, jakoby od prewencyi zależało szczęście ludzkości. Środek ten bezsprzecznie jest bardziéj ludzkim, aniżeli przymus moralny, ale przemawia przeciw niemu niebezpieczeństwo użycia go nie dla pohamowania wzrostu ludności, ale dla dogodzenia wyuzdanym popędom, oraz okoliczność, że łatwo sprowadzić może osłabienie siły ludności. Ze stanowiska nauki ewolucyjnéj Darwina, środek ten musi być potępiony; ale rozpowszechnienie jego we wszystkich prawie społeczeństwach dowodzi, że wśród dzisiejszych stosunków przejściowych jest on poniekąd najodpowiedniejszym (1).

Ale zapalony Malthuzyańczyk, o którym mowa, bezwiednie sprostował teoryą swego nauczyciela; jego „prawo czynnego używania,“ stwierdzone przez biologią, orzeka, że właściwą skłonnością wrodzoną organizmowi ludzkiemu, jest pragnienie zaspokojenia popędów płciowych; nie ma zaś *tendencyi* do mnożenia się ponad ilość środków do utrzymania, chociaż ewentualność podobnéj hypertrofii organizmu społecznego nie jest wykluczoną. Kodeks moralny i panujące formy obcowania płciowego mają donośny wpływ na rozwój kwestyi ludnościowéj; postępując w tych kierunkach, ulepszając przepisy moralności i urządzając racyonalniéj stosunek między-płciowy, ludzkość zdoła wpłynąć zbawiennie na ruch ludnościowy.

§ 8. W niniejszym ustępie wolno nam przystąpić do rozbioru najnowszych teoryj ludnościowych, postawionych przez znakomitych ekonomistów, a przewyższających poprzednie umiejętnością. Jako takie teorye uważać musimy poglądy Fryderyka Lista, (2) Carey'a (3) i Dühringa (4). Stanowią one, razem wzięte, pewną organiczną całość, i jako taką rozwiniemy je na tém miejscu, trzyma-

---

(1) Pisarze socyalistyczni występowali przeciw niemu. Proudhon (Oevres compl. t. XXIV) zwie go „onanisme conjugal“ i stanowczo go potępia. Praktyka powszechna która go przyjęła, dowodzi jasno całéj chorobliwości naszych stosunków.

(2) „Nationales System der politischen Oekonomie.“

(3) „Principien der politischen Oekonomie“ (tłóm. z angielskiego).

(4) Ob. cytowane już „Geschichte der Nationalökonomie“, „Cursus der Nationalökonomie,“ także w „Kritische Geschichte der Philosophie“ krytykę teoryi Malthusa i Darwina.

jąc się ugrupowania Dühringa. Pragniemy jednak z góry wypowiedzieć, do którego z pisarzy wyż wymienionych należy ten lub ów pogląd fundamentalny; zaznaczamy tedy, że List rozwinął pojęcie możności utrzymania dla poszczególnych ustrojów ekonomicznych, Carey wskazał na prawo, że potrzeby ludzkie rosną w prostym stosunku do liczby jednostek, podczas gdy siła produkcyjna połączonéj pracy ludzkiéj wzrasta o wiele szybciéj, wreszcie Dühring rozebrał najumiejętniéj sprawę wyczerpania siły gruntu rolnego.

Ekonomiści wspomnieni wychodzą z poglądu zasadniczego, że *pomnożenie ludności powoduje spotęgowanie sił wytwórczych.* Jeśli człowiek odosobniony połączy się z drugim, potrzeby ich tylko się zesumują, zaś wytwórczość ich pracy w wynikach swych przewyższy dawniejsze wyniki zesumowane z sobą. Spółka taka jest typem dla obszerniejszych spółek, w których wzmaga się jeszcze siła organizacyi. Dochodzimy zatém do prawa głoszącego, że przy łączeniu się ludzi potrzeby ich wzrastają w prostym stosunku do ich liczby, podczas gdy wytwórczość ich rośnie szybciéj. Wraz z gęstością ludności musi zatém wzrastać dobre jéj położenie. Prawo to nie traci nic ze swego znaczenia, jakąkolwiek byłaby forma połączenia się ludzi; typem teoretycznym jest spółka oparta na zupełném równouprawnieniu; typem dziejowym zaś stosunek pana do niewolnika, na którym oparł się cały rozwój dzisiejszych społeczeństw.

Osiedliwszy się stale, tworzy człowiek obszar, na którym rozwinie się kultura. Na obszarze tym panuje stała organizacya, polegająca na pewnym punkcie środkowym, z którego rozchodzą się promienie wokoło. Niebawem występuje na jaw prawo oddalenia i transportu. Prawo to orzeka, że transport zastosowanym być może tylko w obrębie pewnego oddalenia, gdyż koszta jego w razie, gdyby odległość jeszcze przedłużono, przekraczałyby wartość samego przedmiotu i żadną miarą nie mogłyby być odbitymi na targu. Chociaż więc źródła przyrody obficie są rozmieszczone, jednak ludność stale osiedlona doznaje sztucznego ograniczenia, gdyż z jednéj strony tylko pewna ilość naturalnych źródeł dochodu dla niéj jest dostępną, z drugiéj znowu trudno jéj opuścić miejsce, do którego kultura jéj jest przywiązaną. Zbadajmy teraz, jakie są granice ludności na jakimkolwiek danym obszarze kulturalnym, czyli innemi słowy, jaką jest jego potęga pojemna względem ludności. Przypuśćmy, że dana organizacya pracy i źródła naturalne dostarczają już maximum tego co dać mogą: natenczas rozszerzenie granic zaludnienia zależyć będzie od zastosowania ulepszeń technicznych, któreby przy tych samych warunkach przyrodzonych powiększały dochody. Ulepszenia podobne wymagają jednak odpowiedniéj zmiany ustroju go-

spodarstwa narodowego. Jeżeli pierwéj, przy przykładzie dwóch ludzi z sobą połączonych, należało zwrócić uwagę na formę ich połączenia, to tém bardziéj czynić to należy wobec spółki tak obszernéj, jaką jest ludność tworząca społeczeństwo. Ustrój ekonomiczny stanowi niejako sieć kanałów, wypełnionych elastycznėm środowiskiem ludności; jeśli środowisko to poczyna wywierać ciśnienie na ściany kanałów, wówczas ściany te muszą być przestawione, lub nastąpi wyparcie ich gwałtowne. Przemiany danego *ustroju ekonomicznego*, w postaci spokojnéj reformy lub rewolucyi ekonomicznéj, ważniejsze są poniekąd, aniżeli ruchy polityczne.

Zasługą Lista jest dokładne zbadanie różnicy zachodzącéj pomiędzy rolniczym a przemysłowym ustrojem gospodarczym w odniesieniu do granic zaludnienia. W państwie *rolniczém*, tj. takiém, gdzie przeważa pierwiastek rolniczy, maszyny i inne produkty fabryczne, przedmioty zbytku i towary kolonialne muszą być sprowadzane z zagranicy w zamian za środki pożywienia i wytwory surowe. Kosztowny ten sposób nabywania powyższych przedmiotów znajduje ograniczenie w oddaleniu i kosztach transportu. Gospodarstwo w kraju takim rozwinąć się może tylko ekstensyjnie; wielkie obszary z wielkim trudem muszą być uprawiane. Ale jeśli ten rodzaj produkcyi zupełnie nasyconym jest pracą, przybytek sił roboczych gospodarstwa podnieść już nie może; nadmiar siły roboczéj musi zatém zwrócić się na nowe pole produkcyi. Przez podniesienie *fabrykacyi krajowéj* wzmaga się popyt za pracą, a w zamian za żywność i wytwory surowe otrzymać można więcéj wytworów fabrycznych, gdyż odpadają koszta transportu. Opuszczając drogę kosztownego nabywania pośredniego, produkcya wstępuje *na tor najmniejszego oporu.* Zamiast dawnego targu oddalonego i niekorzystnego, płody krajowe znajdują targ nowy o wiele przystępniejszy. Państwo przemysłowe objąć zatém może liczniejszą ludność, aniżeli rolnicze, i to właśnie wyraża się przez *„prawo o możności utrzymania“* („Capacitäts-Gesetz“).

To, co powiedziano o przemyśle w ogóle, odnosi się też, do każdéj nowéj gałęzi przemysłu. Zazwyczaj jako wyższy stopień przytaczaném bywa państwo *handlowe.* Jeżeli handel stanowi spotęgowaną formę przemysłu (handel wywozowy), natenczas bezsprzecznie wzmaga on możność utrzymania. Jeżeli opiera się tylko na koloniach, lub w razie gdy państwo handlowe przedstawia tylko stacyą obrotu światowego, natenczas zazwyczaj wytwarza się arystokracya kupiecka. Czysty handel nie stanowi zatém właściwego systemu gospodarczego, a granice ludności rozszerza on tylko w razie, gdy w kraju obok produktów własnych, przetwarzają się téż su-

rowe wytwory importowane, aby je następnie w postaci fabrykatów wywieść za granicę (1).

Prawo o możności utrzymania pozwala nam atoli na pewniejszéj podstawie ustalić przyszłość kwestyi ludnościowéj. Niezaprzeczenie rozszerzyły się granice ludności, kiedy w miejsce systemu pańszczyźnianego wstąpił system płacy robotniczéj; niezaprzeczenie też dążenie do podniesienia płacy na drodze koalicyi robotników i zmów ich, jest walką o ilość i jakość egzystencyi robotniczych, zatém walką o powiększenie potęgi pojemnéj dzisiejszego ustroju ekonomicznego. Podwyższenie płacy powoduje wytwarzanie się obszerniejszego targu wśród ludności krajowéj, popyt za przedmiotami potrzebniejszemi wzmaga się w stosunku do popytu za wytworami zbytkowemi. Zmieniają się zatém popyt i produkcya; swobodniejsze uregulowanie płacy robotniczéj wpływa na ulepszenie cyrkulacyi gospodarczéj, na sprostowanie stosunku konsumpcyi do produkcyi, każe bowiem pracy mieć za cel siebie samę. To, do czego się dąży przez podwyższanie płacy i skracanie godzin pracy dziennéj, dokonaném zostanie przez autonomiczne urządzenie pracy. Uregulowanie konsumpcyi zbawiennie wpłynąć musi na ilość i jakość bytów. W dzisiejszych stosunkach robotnicy łatwo utracić mogą zajęcie, zawiśli są od szans zysku, a renty są zmonopolizowane. Nie dziw tedy, że ludność rychło zaczyna wywierać parcie na ustrój ekonomiczny. Tam, gdzie życie robotników jest głównym punktem wyjścia przy wszystkich krokach regulacyjnych, tam gdzie celem jest ilościowe rozszerzenie i uszlachetnienie bytu mas, możność do utrzymania dla ludności znacznie musi się powiększyć. Wtedy bowiem dopiero gospodarstwo narodowe weźmie swój początek, kiedy tymczasem teraz istnieje tylko ograniczone gospodarstwo klasowe.

Wzorowi Malthusa, obrazującemu wzrost ludności przez postęp geometryczny, przeciwstawić należy szemat kapitału i procentu składanego; ludność bowiem jest ilością, któréj przyrost sam staje się przyczyną nowego przyrostu. W rzeczywistości jednak siła rozrodcza zmniejsza się, i dlatego prosty wzór matematyczny zawsze będzie niedokładnym; wzrost ludności odbywa się w złożonéj proporcyi, któréj czynniki są zmienne. Prawdziwy zaś stosunek przyczynowy pomiędzy ludnością a środkami do utrzymania, opierającemi się na skombinowanéj sile przemysłowéj, wyrażonym jest w prawie potęgi pojemnéj tj. w prawie o możności utrzymania.

---

(1) Przykład takiego ustroju znajdujemy w Anglii.

Przyjmijmy jednak wypadek, gdzie wskutek rozwoju społeczeństwa źródła naturalne istotnie dochodu swego spotęgować już nie mogą; jeśli stan taki zapanuje na całéj kuli ziemskiéj, natenczas postęp dalszy odbywać się może tylko w kierunkach niezawisłych od warunków przyrodzonych; i wówczas człowiek najbardziéj na własnych silach oprzéć by się musiał i własną organizacyą będzie ulepszał. Słuszniejszém jednak jest wyobrażenie upadania i powstawania bytów społecznych, falowania narodów następujących po sobie. Dla oddalonéj przyszłości w każdym razie liczyć należy na zupełną emancypacyą ludzkości, na równościową organizacyą społeczeństw. O ile jednak doświadczenie dziejowe nas poucza, nie nastąpiło nigdy pogorszenie udziałów życiowych wskutek wzrostu ludności; przeciwnie porcye przydzielane każdemu ciągle się polepszają; gdyby zaś rzeczywiście ilość egzystencyj rozstrzygała o ukształtowaniu się używania, natenczas porcye powinne powszechnie się pomniejszać. Wyczerpanie źródeł dochodu może być dwojakiem: *a*) Wyczerpanie przedmiotów niedających się zastąpić nowymi wytworami, jak np. pokładów mineralnych. Jednak oszacowanie pokładów węgla w Anglii w stosunku do potrzeb okazało, jak próżne są obawy pod tym względem. *b*) Nasycenie produkcyi pracą,—w takim wypadku pomnożenie urządzeń gospodarczych rozszerzyć może granice ludności.

Przesiedlanie zaś (kolonizacya) wtedy dopiero jest niezbędne, kiedy nastąpiło intensyjne wyczerpanie. Jednak kolonizacya w stosunkach normalnych nie jest oznaką schyłku i więdnięcia społeczeństwa, ale aktem płodzenia.

Poszczególnym rodzajem wyczerpania źródeł jest bezpłodność ziemi ornéj, spowodowana przez zużycie cząstek mineralnych, stanowiących pożywienie dla roślin. T. z. teorya mineralna jasne rzuciła światło na to zagadnienie. Właściwém pożywieniem dla roślin nie są okruszyny organiczne, ale mineralne. Gnojenie dlatego tylko sprowadza skutki pożądane, że z zawartych w gnoju resztek organicznych wywiązują się odpowiednie cząstki mineralne. Chemia rolnicza wykazała dokładnie proces zwany eksportem ziemi. Aby uchylić niebezpieczeństwo wyczerpania pierwiastków mineralnych, należy wynagrodzić ziemi przez gnojenie to, co zabrano jéj przy żniwach. Sprowadzanie zaś nawozu ograniczoném jest przez prawo oddalenia i transportu. Dlatego stały wywóz zboża sprawić musi osłabienie gruntu, gdyż w kraju zbyt mało zboża się konsumuje, a nawóz sprowadzany zbyt jest kosztownym. Gęste zaludnienie, wytwarzające gospodarstwo intensyjne, tę jeszcze korzyść przynosi, że obfita konsumpcya umożliwia dostateczne nawożenie gruntów i uchy-

la w ten sposób niebezpieczeństwo wyczerpania ich cząstek mineralnych.

Oto w krótkim zarysie teorya ludnościowa znakomitych nowszych ekonomistów. Jest ona na wskróś teoryą społeczną, i jeżeli z jednéj strony ulepszyły się przez nią wielce poglądy na ludność, spaczone niegdyś przez nieumiejętny fizyokratyzm Malthusa, to z drugiéj strony nie należy przeoczyć, że podobnie jak teorye przyrodników, pragnie ona rozwiązać zagadnienie ludnościowe, operując jednym tylko czynnikiem w grę wchodzącym. Nie daje nam ona zatém całkowitego rozwiązania, ale zawdzięczamy jéj szereg znakomitych spostrzeżeń, opartych na stosunkach realnych. Wszystkie one odnoszą się do człowieka i produkcyjności jego pracy,—przyroda i naturalne źródła dochodu uwzględnione są w drugim rzędzie. Carey wykazuje wzrost produkcyjności pracy, opierający się na jéj organizacyi; List wyjaśnia stosunek ruchu ludnościowego do ekonomicznego ustroju, Dühring wreszcie rozbiera związek pomiędzy środkami utrzymania, wzrostem ludności a jéj *społeczną* organizacyą; badania ich dają ten ostateczny wynik, że parcie wzrastającéj ludności nie pochodzi z braku środków do utrzymania, że nie jest to walka o ograniczoną porcyą z ograniczonego zasobu żywności, ale że jest ono raczéj *rozpieraniem granic każdoczesnego ustroju ekonomiczno-społecznego.*

Poszczególne poglądy, rozebrane powyżéj, uznać musimy za słuszne; odnosi się to także do sprawy utrzymania siły gruntu. Moglibyśmy wprawdzie zastanawiać się nad szczegółami teoryi powyższych i nad związkiem poszczególnych wniosków, przyczém dałyby się zarzucić niektóre braki.

Nie idzie nam atoli o szczegóły, których przedyskutowanie należy do zakresu ścisłéj nauki o gospodarstwie; naszém zadaniem jest zbadanie istoty syntezy, jéj przedmiotowéj i logicznéj trwałości. Teoryom ekonomicznym, o których mówimy, przyznać należy tę samę cenność umiejętną, jaką przywiązywaliśmy do poglądów Darwina i Spencera; są one niejako społeczną teoryą ewolucyjną, uzupełniającą naukę o rozwoju przyrodniczym. Socyologia przyjmuje wyniki badań ekonomicznych zarówno jak poglądy przyrodnicze; pierwszeństwa ani jednéj, ani drugiéj stronie przyznać nie może; dlatego uogólnienia obustronne wyklucza (1).

---

(1) W kilku słowach wspomnieć chcemy jeszcze o „teoryi ludnościowéj ze stanowiska nauki ewolucyjnéj," zawartéj w encyklopedyczném dziele Schäffle'go p. t. „Bau und Leben des socialen Körpers." Schäffle opiera się na Malthusie, Spencerze i bezimiennym autorze „zasad nauki społecznéj." Postulatowi tego ostatniego, aby zniesiono nie-

II.

## Próba syntezy.

§ 9. Proces analityczny, odbyty w pierwszéj części pracy naszéj, dał nam jako rezultat pewne wnioski, zdolne wejść z sobą w połączenie trwałe; one to stanowić będą materyał dla dalszych wywodów, które doprowadzą nas do najwyższych uogólnień w naszym przedmiocie, do wykrycia téj grupy praw, na któréj opiera się system krążenia w organizmie ludzkości.

Badania nasze, trudniąc się naturą krążenia społecznego, przyjmują krążenie to jako przedmiot dany; nie będą więc dociekały sposobu pierwotnego jego powstania, ani téż prawdopodobnego jego końca w chwili ustania wszelkiego życia organicznego na naszéj planecie. Dążyć będą natomiast do wykrycia praw tego krążenia, zwanych w umiejętności *„prawami pośredniemi“* (*„Axiomata media“*).

Na pierwszém miejscu winniśmy się zająć wykryciem prawdziwego postępu ludności. Ludność przedstawia się nam jako wielką i złożona jednostka organiczna, która z natury swéj podpada pod ogólny porządek organicznego bytu: porządek ten zaś zasadza się na nieprzerwaném istnieniu dwóch równoległych sobie procesów kiełkowania i niszczenia. Ludność powstaje i rozwija się, upada i znika wreszcie; z popiołów jéj wyrasta nowy zastęp, przeznaczony

---

rozerwalne małżeństwo, przeciwstawia Schäffle żądanie powszechnego umożliwienia zawarcia małżeństw, gdyż ze stanowiska nauki ewolucyjnéj osłabienie siły rozrodczéj ludności dopuszczoném być nie może. Słusznie podnosi on związek zachodzący między kwestyą ludności a podziałem dochodu ogólnego, i sądzi, że kiedy podział ten będzie sprawiedliwszym i bardziéj równomierczym, łatwiéj przyjdzie rozdzielić obowiązek ograniczonego płodzenia na wszystkie warstwy. Oto jedyny wyraźny pogląd Schäfflego. Zresztą w teoryi jego znaleść można wszystko, oprócz jasności i jednolitości.

W końcu podajemy literaturę o ludności, któréj ramy pracy naszéj nie pozwoliły nam wyczerpać:

Thornton „Overpopulation and its remedy.“
Garnier „Du principe de population.“
Alison „The principle of population.“
Hoffman „Ueber die Besorgnisse, welche die Zunahme der Bevölkerung hervorruft.“
Schmidt „Untersuchungen über die Bevölkerung.“
Mangold „Bervölkerung“ (w Bluntschlego „Staatswörterbuch“).
Gerstner „Die Bevölkerungslehre“.
Mohl „Polizeiwissenschaft.“
Roscher „Volkswirthschaftslehre.“

na przebieżenie podobnego procesu życiowego. Ogólny szemat: ewolucyi, różniczkowania i ściślejszego łączenia się części zróżniczkowanych, inwolucyi wreszcie, stosuje się także do życia ludności. Narody starożytne dały nam przykłady tego procesu; (1) w dziejach ich jaknajwyraźniéj poznajemy trzy okresy rozwoju, rozkwitu i upadku, następujące po sobie. Dzisiejsze społeczeństwa rozpoczęły już po większéj części okres rozkwitu. Życie ich obiecuje być o wiele dłuższém, aniżeli byt narodów starożytnych, gdyż rozwój ich osobnikowy (indiwidualizacya czyli integracya) zajął o wiele dłuższy okres czasu, że zaś dojrzałość ich się zbliża, o tém świadczą liczne akty rozpłodowe, za jakie uważać należy kolonizacye oddawna prowadzone. Ze wzrostem organizmu potrzebuje on coraz więcéj żywności; jednak, tak jak człowiek z obawy narażenia się na potrzebę zdobycia sobie obfitszéj żywności, nie będzie hamował wzrostu swego ciała i sił swych, podobnie nieracyonalném byłoby dla ludności, hamując wzrost swój, utrzymywać się ciągle na tym samym poziomie liczebności i potęgi.

Ale nim roztrząśniemy dokładniéj sprawy kierowania wzrostem ludności przez ludzi samych, zbadajmy wprzód przyrodzone prawa tego wzrostu. Prawa te, razem wzięte, mogą nam dwojaką dać odpowiedź: Ludność na całym obszarze ziemskim wzrastałaby niezmiennie i w tém samém tempie, gdyby nie napotykała na przeszkody; lub téż: Ludności różne, chociażby zupełnie swobodnie się rozmnażały, wzrastają w różném tempie, czyli innemi słowy, podwajają się w rozmaitych okresach czasu. Do przyjęcia tego ostatniego zdania nakłaniają nas następujące okoliczności. Wiadomo, że siła rozpłodowa istot organicznych zależy od następujących momentów: *a*) od wieku rozpłodu, *b*) jego częstości, *c*) liczby osobników przy każdym porodzie, *d*) długości okresu rozpłodowego. Z wyjątkiem trzeciego momentu, wszystkie inne odmienne są u ludności mieszkających w różnych strefach. Zależne one są głównie od klimatu; klimat gorętszy, przez obfitość płodów przyrodzonych, stanowiących źródła utrzymania przystępne i zdobywane bez pracy, dozwala organizmowi ludzkiemu dojrzewać rychléj; z jednéj strony bowiem organizm ten nie jest bardzo czynnym, nie zużywa zatém wiele materya-

(1) Wyobrażenie podobne znane już było starożytnym. Egipcyanie obliczyli, że średnia długość życia narodu obejmuje lat 1465, zatém tyle, ile według mitu żyje ptak *Fenix*, umierający w ogniu i odradzający się następnie z popiołów swych. (*Draper* „Historya rozwoju umysłowego w Europie"). *Whewell* („History of the inductive Sciences") przytacza podobne obliczenie astronomiczne, zwane przez Egipcyan „okresem sothycznym" (kanikularnym).

łu przez wydatek sił na pracę, przez co jego integracya (rozwój osobnikowy) postępuje szybciéj; z drugiéj strony temperatura sama, wyższa w strefach gorętszych, przyspiesza ten rozwój. Nie tylko wiek dojrzałości płciowéj, ale i sama potęga rozpłodowa wzmaga się wraz z ciepłem klimatu. Okoliczność już wspomniana, że obfitsze naturalne źródła utrzymania czynią pracę natężoną zbędną, powoduje zaoszczędzenie materyału, zużywanego gdzieindziéj na pracę dla utrzymania; zaoszczędzony w ten sposób materyał umożliwia obfitszą dezintegracyą czyli czynność rozpłodową. Zjawisko to opiera się na prawie, że organizm jest tém płodniejszym, im mniéj bywa czynnym. Prawo to znajduje drugą stronę swéj weryfikacyi w stosunkach zachodzących u ludności stref zimniejszych. Tam przyroda, mniéj szczodrobliwa, zmusiła człowieka do bezustannéj pracy na utrzymanie, odzienie i zabezpieczenie się przed niszczącemi wpływami surowszego klimatu; znaczny wydatek sił i nizka temperatura atmosfery opóźnia dojrzałość płciową i zmniejsza zasób materyału rozpłodowego na korzyść procesu integracyjnego (1).

Pierwotną swą siłę płodności zawdzięcza ludność przyrodzonym warunkom swego otoczenia. Z równoległych sobie dwóch procesów życiowych, integracya występuje coraz potężniéj; ludność staje się gęstszą, jéj organizacya i cywilizacya wogóle rośnie. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że społeczeństwa, postępując w cywilizacyi, ulegają redukcyi swéj płodności. Dzieje pouczają nas, że po okresie najobfitszego rozkwitu, cechującego się szczodrym rozpłodem kolonizacyjnym, płodność ludności zmniejsza się coraz bardziéj, i upada wreszcie zupełnie, skoro proces dezintegracyi bierze górę. Przyrodniczo objaśnia się zjawisko to antagonizmem zachodzącym pomiędzy integracyą jednostki a społeczności. Postęp cywilizacyjny powoduje wzrost mózgowia i nerwowych ośrodków, a praca umysłowa, potęgująca zazwyczaj czynność płciową u jednostki, w szeregu pokoleń uwydatnia wpływ swój, uszczuplający pierwotną potęgę rozrodczą. Społeczeństwa, rozwijając się, starzeją: jak słabą była siła rozrodcza upadającego narodu rzymskiego, a jak niesłychaną owa „inexhausta vis generandi“ młodych szczepów germańskich, które w tym czasie zalewały Europę południową coraz to nowemi strumieniami ludności!

---

(1) Zdaje się, że siła rozpłodowa, właściwa pewnéj ludności, utrzymuje się drogą oddziedziczania w téj ludności nawet przez długie wieki po przeniesieniu jéj z pierwotnych jéj siedzib. Wskazujemy tu na przykład szczepu żydowskiego. Ormianie, rozsiani po Europie, powoli tracą swą płodność.

Oto są okoliczności normujące przyrodzoną siłę rozpłodową ludności poszczególnych. Siła ta u jednych i tych samych ludności nie jest stałą, ulega ona modyfikacyom w miarę przybywania lub ubywania czynników na nią wpływających. Przeszkody zewnętrzne, nieodłączne od pierwotnego stanu dzikości społeczeństw, utrudniają swobodny żywot jednostek, ale siła rozrodcza potęguje się za to; w miarę jednak jak przeszkody i niebezpieczeństwa bywają uchylane, słabnie ona. Prawa, wykryte przez biologią, sprawdzają się w toku dziejów i w stosunkach współczesnych. Ludności, otoczone bezpieczeństwem życia, okazują przyrost roczny o wiele mniejszy, aniżeli te, które w walce ze swém otoczeniem uszczuplają się przez szybki ubytek jednostek, te ostatnie odnawiają się w tempie o wiele chyższém.

Reasumując nasze dotychczasowe wywody, stwierdzamy:

Że ludność swobodnie się rozmnażając, nie wzrastałaby w postępie nieskończonym; podlega ona jak wszelka istota organiczna działaniu dwóch równoległych sobie procesów, integracyi i dezintegracyi; stosunek obu tych procesów $\frac{\text{integracya}}{\text{dezintegracya}}$ przedstawia każdoczesny stan ludności; stosunek ten zaś przechodzi przez następujące okresy (których granice się zlewają): *a*) licznik jest większy niż mianownik (ludność wzrasta), *b*) licznik i mianownik są sobie równe (ludność znajduje się w równowadze), *c*) licznik jest mniejszym aniżeli mianownik (ludność upada i ginie).

Jeżeli przyjmiemy wzór ludności normalnie się rozwijającéj, i pomijając całkowicie wpływy przypadkowe, krzyżujące porządek normalny, badać będziemy zachowanie się jéj siły rozrodczéj, znajdującéj się w pewnym stałym stosunku od czasu istnienia i rozwoju ludności, natenczas dojdziemy na podstawie wywodów powyższych do następujących twierdzeń:

1) *Pierwotna siła rozrodcza nie jest jedną i tą samą u wszystkich ludności; zależy ona od przyrodzonych warunków, wśród których ludność powstała.*

Znajduje się ona w prostym stosunku do wieku dojrzałości płciowéj, w odwrotnym do natężenia wymaganego przez warunki przyrodzone dla zdobycia utrzymania i bezpieczeństwa.

2) *Pierwotna siła rozrodcza, właściwa pewnéj ludności, nie pozostaje ciągle tą samą, ale ulega ciągłemu zmniejszaniu przez działanie czynników powstających wskutek rozwoju ludności; przy normalnym rozwoju, w równych okresach czasowych, działanie tych czynników wzrasta podług pewnego prawa, wyrażającego się przez pewną funkcyą z pierwotnéj rozrodczéj siły ludności.*

Czynnikami takiemi są: wiek ludności, zwiększanie się rozchodu sił na integracyą osobników, bezpieczeństwo otaczające życie jednostki (1).

Stąd płynie następujące trzecie twierdzenie o przyrodzonéj sile rozrodczéj ludności:

3) *Siła rozrodcza ludności znajduje się w prostym stosunku do pierwotnéj jéj płodności, a w odwrotnym (podług 2⁰ twierdzenia) do czynników umniejszających tę pierwotną płodność, a płynących z rozwoju ludności.*

Oto mechaniczny wyraz tego twierdzenia:

Pierwotna siła płodności, wyrażona przez literę *P*, jest siłą ciągłą i stałą; sile téj przeciwdziała druga siła ciągła i niejednostajnie a statecznie wzrastająca (suma czynników płynących z rozwoju), wyrażona przez literę *Q*, gdzie Q (podług prawa $2^0$) jest funkcyą z P; jeżeli funkcyą tę wyrazimy przez ξ, to $Q = \xi(P)$.

Siła rozrodcza ludności, będzie wypadkową obu sił powyższych; jeśli wyrazimy ją przez *R*, to wzorem dla niéj będzie:

I) $$R = P - Q = P - \xi(P).$$

*R (siła rozrodcza) jest siłą ciągłą, niejednostajnie a statecznie malejącą.*

§ 10. W ustępie poprzednim badaliśmy siłę rozrodczą ludności. Obecnie zwrócimy uwagę naszą na rozwój ludności nietylko liczebny ale i kulturalny, aby objaśnić naturę krążenia społecznego. Rezultaty w tym względzie uzyskane, winne wyjaśnić nam prawdziwy stosunek ludności do środków utrzymania, wytłómaczyć właściwą istotę przeludnienia i powód cierpień i klęsk mu towarzyszących.

Przypatrzmy się z uwagą normalnemu rozwojowi ludności (2). Osobniki, zawdzięczające byt swój pierwotnéj sile rozrodczéj, rozpoczynają natychmiast walkę o byt z przyrodą i niszczącemi jéj wpływami z jednéj strony, z drugiéj strony z wrogami i współzawodnikami swymi. Wśród téj walki skupiają się one aby pomagać sobie wzajemnie w zapasach z przyrodą i z osobnikami skupiającemi się w drugą ludność; skupienie takie odbyć się może jedynie na drodze wzajemnych ustępstw, umożliwiających pierwsze zawiązki organizacyi. Ugrupowanie podobne ścierających się z sobą sił nie powstrzymuje jednak bynajmniéj działania walki o byt w łonie ludno-

---

(1) Nie uwzględniliśmy działania czynników geologicznych i astronomicznych, jako uwydatniających wpływ swój w zbyt długich okresach czasowych.

(2) Mówimy o takiéj tylko ludności, która znajduje się w warunkach umożliwiających wogóle rozwój. Zarówno ludność, jak wszelka istota organiczna, znaleść się może w takich warunkach przyrodzonych, które rozwój czynią wprost niemożebnym.

ści poczynającéj się organizować. Wśród ludności téj walka ta wre z pierwotną swą energią; osobniki przewyższające inne pewnemi przymiotami celniejszemi (siła fizyczna, waleczność i spryt) wzbijają się ponad ogół, i powoli wytwarzają się pokłady ludności. Osobniki rozmnażają się, tworzą rodziny, a te znowu przez dalszy rozpłód klasy czyli warstwy. Nowe to ugrupowanie się ludności znowuż nie osłabia energii walki o byt, ale nadaje tylko wyraźniejszy kierunek ścierającym się elementom; wśród każdéj klasy walczą współzawodniczące jednostki, klasy zaś walczą pomiędzy sobą. Organizacya ludności postępuje zatém coraz bardziéj, albowiem walka klas dąży do tego, aby uczynić tę organizacyą coraz swobodniejszą i doskonalszą.

Równocześnie toczy się walka ludności z przyrodą i z innemi ludnościami. Zabezpieczywszy się od niszczących wpływów naglych zmian atmosferycznych, wylewów itp. zdarzeń, których skutki człowiek wogóle jest w stanie osłabić lub uchylić, zdobywa ludność coraz to więcéj skarbów ukrytych w przyrodzie, których użytek coraz bardziéj się doskonali. Walka pomiędzy ludnościami, zrazu tocząca się o żyzne pastwiska i przedmioty bezpośredniego spożycia, przekształca się w walkę o dogodniejsze stosunki handlowe na lądzie stałym lub na morzu, i o inne źródła dochodu, z których cywilizowana już ludność umie korzystać.

Potęga walki i tu się nie zmniejszyła; porzuca ona jednak, zarówno jak walka w łonie ludności się odbywająca, pierwotną surową swą postać, i uszlachetnia się coraz bardziéj. Osobniki jednéj i téj saméj ludności, pierwotnie krwawe staczające walki, przemieniają się na współzawodników ubiegających się bronią pracy i wytrwałości, pomysłowości i energii. Walka klas coraz rzadziéj wytęża się na krwawe i gwałtowne starcia a natomiast wymusza ustępstwa drogą parcia czynników moralnych. W zapasach z przyrodą, kiedy ustała walka z dzikiemi zwierzętami, i ze zwykłemi niszczącemi wpływami przyrody, człowiek bronią badawczego swego ducha i powolnéj mu techniki zdobywa świetne a niekrwawe zwycięstwa; wreszcie i walce pomiędzy ludnościami ubywa coraz bardziéj krwawego jéj charakteru, ubiegają się one o wyższą potęgę na drodze ulepszeń organizacyi wewnętrznéj, podniesienia swej siły produkcyjnéj w zakresie materyalnym i duchownym.

Przyrodnicza teorya rozwoju ludności poucza nas tedy, że walka o byt, powodując na drodze chowu przyrodniczego postęp ludności, sama coraz bardziéj się uszlachetnia, nie tracąc jednak nic ze swéj energii.

Walka o byt dąży zatém do posuwania bezustannie naprzód ludności. Jéj swobodnemu działaniu opiera się jednak wrodzona ludności siła ciężkości, która działając wyłącznie, zmusiłaby ludność do ciągłego pozostawania na jednéj i téj saméj linii, wykluczając wszelki postęp. Siła ta powoduje trudność wszelkiéj zmiany w ustroju ludności, partéj przez działanie walki o byt. Dopiero wspólne działanie społecznéj siły ciężkości i walki o byt wytwarza rzeczywistą koléj rozwoju ludności.

Zanim zdołamy objąć okiem całą tę koléj, zbadać musimy sposób działania sił omawianych i rezultaty ich w pojedyńczych okresach, składających koléj rozwojową. W pierwszym okresie istnienia ludności, któréj cechą jest zupełna swoboda jednostek niepołączonych żadną organizacyą, siła ciężkości pragnie następujące po sobie pokolenia utrzymać na téj saméj linii życia, walka o byt zaś dąży do skupienia i połączenia jednostek; przy końcu okresu zatém ludność przebiegła pierwszą część swéj kolei rozwojowéj, i stanęła u pewnego ustroju ogólnego. Siła ciężkości pragnie teraz utrzymywać ludność na téj saméj linii ustroju; natomiast siła, wywierana przez walkę o byt, prze ją naprzód. W ten sposób wszczyna się drugi okres rozwojowy ludności. Na początku, kiedy idzie o opuszczenie dotychczasowego ustroju i przejście do nowego, w którymby ludność, parta przez walkę o byt, swobodniéj mogła się rozmieścić, siła ciężkości społecznéj wywiera wpływ swój najsilniejszy; ale kiedy wskutek wzmagającego się, bo krępowanego parcia siły postępowéj, ludność wstąpiła przecież na nową koléj ustrojową, zmniejsza się wpływ siły zachowawczéj (siły ciężkości społecznéj) i nowy ustrój, swobodniéj porusza się po swojéj kolei. Wreszcie dobiega i on kresu swéj kolei; znowu wzmaga się wpływ siły ciężkości, w skutek któréj konsoliduje się zupełnie wytworzony, właśnie, ustrój i znowu pragnie ona utrzymać ludność w ramach istniejącego ustroju. Siła postępowa, jaką reprezentuje działanie walki o byt, działa niezmiennie; ponieważ jednak ludność ulega w końcu okresu rozwojowego temu samemu, najbardziéj spotężniałemu, wpływowi siły zachowawczéj, jaki utrudnił powstanie jego, przeto siła postępowa nie może swobodnie skutkować; powstaje zatém stagnacya, która mija wtedy dopiero, kiedy siła postępowa, któréj parcie wzmagało się coraz bardziéj, im bardziéj działanie jéj było wstrzymywane, odnosi zwycięztwo i popycha ludność na tory nowego ustroju, w którego ramach rozwój jéj ma się odbywać.

Takim jest sposób działania sił rozpatrywanych. Rozbierzmy teraz konkretny jego rezultat, objawiający się w stanie ludności. Przy końcu pierwszego okresu, jakięśmy powiedzieli, ludność posiada pe-

wien ustrój ogólny. Mówiąc dokładniéj, posiada ona pewien, dający się określić stan ekonomiczny, pewną organizacyą społeczną, pewne panujące pojęcia etyczne, regulujące między innemi także pożycie międzypłciowe, pewien stopień oświaty ogólnéj i jéj stosunkowego podziału pomiędzy warstwy pojedyncze, wreszcie pewien stopień ogólnéj hygieny, wpływającéj na średnią długość życia osobników. Niezawodnie, ściślejsza analiza pojęcia ustroju ogólnego wykazałaby jeszcze dalsze punkta widzenia, z których można by oceniać dany stan ludności; jednak dla obecnego celu naszego wystarczy, jeśli uwzględnimy pięć wyliczonych właśnie kategoryj ustrojów. Niektóre z nich zbadane już zostały dokładnie co do swego znaczenia przez znakomitych pisarzy, celujących analityczną potęgą umysłu; doniosłość reszty zaś okazała się nam przy rozbiorze teoryj ludnościowych, zawartym w pierwszéj części naszéj pracy. Prawo o możności utrzymania (Capacitäts-Gesetz) Lista, było pierwszym, jasno sformułowanym wyrazem stosunku pewnego ustroju do ilości ludności ustrój ten posiadającéj. Nietrudném będzie czytelnikowi przypomniéć sobie główne punkta odnośnego przedstawienia naszego. Jeżeli dany ustrój ekonomiczny daje możność utrzymania pewnéj ilości mieszkańców, to przez wytworzenie nowego, dzielniejszego ustroju, granice dla ludności rozszerzą się. Na organizacyi społecznéj opiera się rozdział dochodu ogólnego; nowy, swobodniejszy ustrój społeczny, łagodząc dotychczasowe nierówności rozdziału dochodu ogólnego, daje tém samém większéj ilości mieszkańców możność wyżywienia się. Podobnież przepisy moralności, regulujące stosunek pomiędzy płciami, wpływają na unormowanie granic ludności. Jeśli powszechnie przyjęte pojęcie o moralności dozwala tylko pewną formę pożycia płciowego, jako legalne ramy rozpłodu, jeśli forma ta nie jest dostępną dla wszystkich bez wyjątku, granice ludności mogą rozszerzyć się przez sprawiedliwsze i swobodniejsze uregulowanie pożycia płciowego, bądź to przez uczynienie t. z. formy legalnéj przystępną dla wszystkich, bądź to przez zastosowanie téj formy do praw przyrody, na których opierają się popędy rozpłodowe. Stopień oświaty i sposób, w jaki biorą w niéj udział pojedyncze warstwy ludności, również wpływa na sprawę rozmnażania się ludności. Teorye przyrodnicze wykazały, że praca umysłowa, przez powiększenie mózgowia i ośrodków nerwowych, redukuje w ciągu dłuższych okresów czasowych siłę rozrodczą; im bardziéj zatém płeć żeńska i nieoświecone warstwy ludności przyciągnięte zostaną w obręb działania oświaty, tém równomierniéj redukcya ta dotyczéć będzie wszystkich części ludności. Zmiana ta w biologicznym ustroju osobników, składających ludność, dozwoli na swobodniejsze zaspokojenie popę-

dów płciowych wszystkich osobników, zmniejszając trudność wyżywienia potomstwa. Wreszcie hygiena ogólna, usuwając szkodliwy wpływ chowu medycznego, i wraz z działaniem oświaty ogólnéj, powiększając integracyą jednostek, rozszerza granice rozpłodowe dla warstw, które w zaspokojeniu popędów swych, w przykry sposób były krępowane.

Uczeni, badający poszczególne strony stanu ludności, doszli do wyników zbliżonych; jednak ciasne granice, w jakich badania ich się obracały, nie dozwalały im dostrzedz, że we wszystkich zjawiskach, odnoszących się do stosunku ludności do środków utrzymania, działa jedno i to samo prawo, które nazwalibyśmy *prawem granic i postępu.* Każdoczesny ustrój ogólny ludności (czytelnik rozumie już teraz dokładnie, co przez to pojęcie wyrażamy) daje możność utrzymania się dla pewnéj ilości mieszkańców; to, co zwiemy przeludnieniem, jest tylko parciem ludności o granice danego ustroju ogólnego, który przechodząc w ustrój nowy, rozmnażanie się ludności znowu czyni swobodniejszém.

Następujące po sobie ogólne ustroje ludności składają całkowity jéj rozwój. System krążenia społecznego opiera się zatém na prawach, które rządzą rozwojem ludności.

Prawa te dałyby się wyrazić w sposób następujący:

1) *Ludność znajduje się pod bezustannym wpływem działania walki o byt (siły postępowéj, czyli przystosowawczéj), która stojąc w pewnym stałym stosunku do rozrodczéj siły ludności, stale i niezmiennie popycha ludność na drodze postępu.*

2) *Równocześnie działa na ludność stała i ciągle działająca siła ciężkości społecznéj (siła zachowawcza), która dąży do utrzymania jéj zawsze na téj saméj linii ogólnego ustroju, wpływ jéj jednak zmniejsza się w pewnym stałym stosunku odwrotnym do postępu w rozwijaniu się danego ustroju* (1).

Wspólne działanie obu sił powyższych daje jako wypadkową rzeczywistą koléj rozwoju ludności. Z dwóch powyższych twierdzeń wypływa zatém jako twierdzenie o kolei rozwojowéj ludności:

3) *Rozwój ludności odbywa się po linii krzywéj i zamkniętéj w sobie, prawdopodobnie, przybliżonéj do elipsy, w któréj jedném ognisku działa siła społecznéj ciężkości (siła zachowawcza); wpływ téj siły zmniejsza*

(1) Prawdopodobieństwo pewne przemawia za tém, że stosunek ten jest potęgowym; jednak nie ośmielamy się twierdzenia tego stawić, jako coś więcéj niż przypuszczenie.

*się w pewnym stałym odwrotnym stosunku do oddalenia ludności, poruszającéj się po opisanéj linii, od owego ogniska* (1).

Z trzech tych praw wynika jako wniosek:

4) *Zjawisko, zwane w ekonomii przeludnieniem, ze stanowiska praw socyologicznych (socyo-dynamicznych) jest objawem powtarzającym się u końca każdego okresu rozwojowego ludności, na owéj części jéj kolei rozwoju, gdzie wskutek najpotężniejszego wpływu ogniskowéj siły zachowawczéj, działalność siły postępowéj najbardziéj jest hamowaną.*

Aby na naturę twierdzeń powyższych jaśniejsze rzucić światło, przypomnimy analogią krążenia społecznego z obrotem ciał niebieskich. Planety znajdują się w ruchu trojakim: obracając się około własnéj osi, poruszają się one na kolei eliptycznéj około słońca; ze słońcem wspólnie zaś postępują one w nieskończonéj przestrzeni, obracając się około ciała wyższéj jeszcze potęgi. Podobnie ludność zakreśla w pokoleniu linią krzywą, zamkniętą w sobie, przybliżoną do koła, poruszając się równocześnie na krzywéj kolei rozwoju ogólnego swego ustroju; okresy rozwojowe zaś, wyrażone przez tę koléj, przybliżoną do elipsy, postępują wraz z ogniskową swą siłą, bezustannie się doskonaląc i prowadząc ludność coraz daléj (2). Perihelion planet natomiast jest owém miejscem, na którém następuje owo najsilniejsze starcie się sił, powołujące przeludnienie.

Twierdzenie o rozwoju ludności dałoby się mechanicznie wyrazić w sposób następujący:

Siła przedstawiona przez walkę o byt, jest siłą ciągłą, działającą z jednakową energią; oznaczmy ją przez literę T (siła tangencyonalna, czyli styczna). Siła ciążenia społecznego (siła zachowawcza), wyrażona przez literę $g$, jest siłą ciągłą i stałą. Rozwój ludności jest wynikiem działania obu tych sił; jeżeli przedstawimy go przez literę E (evolutio), natenczas twierdzenie o kolei rozwoju będzie brzmiało:

II) $$E = f\ (T, g),$$

t. j. *Rozwój ludności jest funkcyą z sił T* (walka o byt), i $g$ (siły ciążenia społecznego, czyli siły zachowawczéj).

---

(1) Krzywa linia, wspomniana powyżéj, służyć ma *tylko jako obraz*, uzmysławiający wynik sił omawianych. Zastrzegamy się, przeciw mniemaniu, jakoby twierdzenie nasze ściśle było przywiązane do rodzaju, przypuszczonéj linii rozwojowéj.

Również obraz, działającéj w ognisku siły zachowawczéj, służyć ma tylko do wyjaśnienia sposobu działania téj siły, w stosunku do właściwego rozwoju.

Właściwe twierdzenie nasze zaś sformułowane jest dopiero pod III).

(2) Analogia ta o tyle jest niezupełną, że attrakcya ciał niebieskich działa jako siła zewnętrzna, kiedy tymczasem siła zachowawcza występuje jako wewnętrzna siła.

Niechaj nam wolno będzie wyciągnąć teraz niejako praktyczne konsekwencye z twierdzenia powyższego. Rozwój każdéj ludności podlega stałemu i niezmiennemu prawu: nie jest to dla człowieka upokorzającém; byłoby to fałszywą i nieuzasadnioną pretensyą, gdyby człowiek, który stanowi niejako drobny pęcherzyk na niezmierzonym oceanie materyi, pragnął być wyjętym z pod ogólnych praw statyki i dynamiki, rządzących wszechświatem. Ale poczucie, że są pewne najwyższe prawa, normujące rozwój ludzkości niezawiśle od jéj woli, nie powinno uśpić energii i czujności świadomego siebie ducha ludzkiego. Owszem, świadomość sił, rządzących rozwojem ludzkości i sposobu ich działania, winna pobudzać człowieka do bezustannéj rozsądnéj działalności, zmierzającéj do złagodzenia wszelkich gwałtownych starć, jakieby miały miejsce w ludzkości, gdyby duch ludzki nie był czynnym w téj mierze. Lekarze społeczni, na których cięży odpowiedzialność za zdrowie i spokój powierzonéj im ludności, zazwyczaj spóźniają się, i pragną gwałtownemi środkami usuwać gorączkowy i chorobliwy stan ludności. Niechaj nauczą się dbać o utrzymanie zdrowia społecznego przez używanie środków zapobiegających. Medycyna dawno już uznała wyższość metody téj nad metodą leczniczą, w ściślejszém tego słowa znaczeniu. Kwestya ludności silnie dziś zajmuje ogół wykształcony. Zjawisko to naturalne: większość bowiem społeczeństw europejskich znajduje się w owém miejscu swéj kolei rozwojowéj, w którém objawia się przeludnienie. Siła postępowa i siła zachowawcza wywierają wpływ swój najpotężniejszy na społeczeństwa, które w ten sposób zbliżają się do progu nowego okresu rozwojowego. Mężowie, którym zaufanie powszechne lub głowy społeczeństwa oddały ster sprawy ogólnéj, jeżeli istotnie dbałymi są o dobro i pokój swych narodów, winni ułatwiać im przebycie bolesnego procesu przejściowego na drodze ustępstw. Miasto walczyć tak zawzięcie z tymi, którzy pragną podnieść byt klas pracujących i nadać im samorząd, uregulować sprawiedliwiéj rozdział dochodu ogólnego, żeńską połowę ludzkości zrównać zupełnie z męzką, oświatę uczynić dobrem powszechném i bezpłatnie każdemu udzielaném, ulepszyć wreszcie zdrowotność powszechną, powinni oni połączyć się z nimi na gruncie bezstronnego poznawania praw przyrody, wstrzymywać rękę zapaleńców, dla których niczém nie jest rzuceniem główni zburzyć pokój ogółu, i uzupełnić pracą zgóry to, czego tamci pragną dokonać pracą z dołu.

Nieszczęśliwe zaś masy, które tworzą podstawę budowy społecznéj i ponoszą największe trudy życiowe, a które przez tyle lat straszono jeszcze upiorem rozpaczliwéj, a nieuniknionéj na wieki przyszłości, przyjąć mogą jako prawdę niezbitą, *że przyroda nie jest ich nieprzyjaciółką, ale ich sprzymierzeńcem.*

Kilka z najszlachetniejszych umysłów ludzkości poniosło cierpienia więzienne i śmierć na stosie za prawdę, że ziemia się porusza. Wielu jest takich, którzy poświęciliby się i poświęcają za prawdę, że *ludzkość* się porusza. Wielu jest takich, a z dnia na dzień ich przybywa, którzy wierzą w to, co płynie bezpośrednio z naszego prawa, a co było dewizą największych duchów człowieczeństwa: *że szczęście ludzkości zależy od jéj postępu.*

§ 11. Badając związek, zachodzący pomiędzy pierwszém, a drugiém z głównych twierdzeń przez nas wyprowadzonych, otrzymamy prawo trzecie, które, wraz z dwoma poprzedniemi, stanowić będzie całość nierozerwalną.

Łatwo przedstawić sobie chwilę, w któréj dalszy rozwój ludności, powodujący rozszerzanie się granic ludnościowych, staje się niemożliwym. Naturalne źródła dochodu żadną miarą produkcyjności swéj spotęgować już nie mogą, organizacya ludzka zaś również doszła do najwyższego punktu udoskonalenia swego: gdyby stosunek i potęga obu sił, wpływających na rozwój ludności były zawsze temi samemi, nastąpiłoby, począwszy od owéj chwili, stałe przeludnienie, którego nieszczęsne skutki nietrudno sobie wyobrazić. Jednak chwila taka nastąpić nie może, nie nastąpiła i nie nastąpi nigdy. Nie wolno bowiem zapominać, że źródłem siły, wywieranéj przez walkę o byt, jest rozrodcza potęga ludności. Ta ostatnia zaś siła nie działa zawsze z tą samą, niezmienną energią; pierwsze prawo nasze orzeka, że jest ona siłą ciągłą, ale zmniejszającą się niejednostajnie, a statecznie. Siła, wywierana przez walkę o byt, znajduje się w pewnym stałym stosunku do siły rozrodczéj, i należy ją uważać jako funkcyą téj ostatniéj. Że zaś siła rozrodcza statecznie się zmniejsza, przeto koléj rozwoju, wytwarzana działaniem siły postępowéj i zachowawczéj, nie może obejmować zawsze téj saméj przestrzeni, ale również statecznie musi się umniejszać. Nadchodzi wreszcie chwila, gdzie kolej rozwoju staje się nieskończenie małą, a to wówczas, kiedy i siła rozrodcza taką się stała. Rozwój ludności jest tedy ograniczony w czasie (1).

Krótkie to rozumowanie doprowadza nas do następujących twierdzeń:

1) *Siła, wywierana przez walkę o byt, znajduje się w pewnym stałym stosunku do siły rozrodczéj.*

---

(1) Inwolucya taka ludności przypomina zestalenie ciał niebieskich, składających system słoneczny; po całkowitém zestaleniu bowiem znika wszelki ślad życia organicznego z powierzchni tych ciał.

2) *Rozwój ludności, na który wpływa siła postępowa, wywierana przez walkę o byt, zależy zatém także od siły rozrodczéj.*

Z tych twierdzeń płynie następujące główne twierdzenie o granicach rozwoju ludności:

3) *Krzywa i zamknięta w sobie linia, po któréj postępuje rozwój ludności, zmniejsza się statecznie.*

Przypominamy okoliczność, znaną powszechnie, że każda epoka rozwoju ludności, co do czasu, jest krótszą, aniżeli okres ją poprzedzający. Porównanie zaś z krążeniem ciał niebieskich, przeprowadzone w § 10, o tyle tu możemy rozszerzyć, że i planety, jak np. ziemia nasza, poruszają się po linii krzywéj, statecznie się umniejszającéj. Pod tym względem analogia jest zupełną.

Mechanicznie można wyrazić to twierdzenie jak następuje:

Wiadomo nam, że

$$E = f\,(T\,,\,g.)$$

T zaś jest funkcyą z siły rozrodczéj R, którą to funkcyą wyrazimy przez $\varphi$; więc

$$T = \varphi\,(R)$$

Zatém będzie

$$E = f\,[\,\varphi\,(R), g\,]\,.$$

Ztąd wypływa, że rozwój sam będzie funkcyą (F) siły rozrodczéj i zachowawczéj,

$E = F\,(R\,,\,g)$, stąd na odwrót możemy wyrazić:

III) $R = \psi\,(E\,,\,g)$, (przyczém $\psi$ wyraża funkcyą, przedstawioną przez R),

t. j.: *W miarę rozwoju ludności zmniejsza się siła rozrodcza*; a uwzględniwszy twierdzenie I), mamy:

**W miarę rozwoju ludności maleje siła rozrodcza.**

Twierdzenie to, skoro należycie jest pojętém, usunąć musi ostatni cień obawy **stałéj** jakiéjś sprzeczności pomiędzy prawami przyrody, sprzeczności, która stawiałaby ludzkość w obec rozpaczliwéj alternatywy dobrowolnego zadawania sobie największych mąk, lub ponoszenia ich w innéj postaci, mimo swéj woli. Teorya nasza nie każe ludziom iść ślepo za swemi popędami, ale czyni horyzont ludzkości jaśniejszym.

---

## Zakończenie.

§ 12. Trzy twierdzenia, wyrażone wzorami:

I) $R = P - \xi\,(P)$

II) $E = f\,(T\,,\,g)$

III) $R = \psi\,(E\,,\,g)$

— stanowią próbę *machanicznéj teoryi ludności*. W poszukiwaniach za temi prawami, kierowały nami następujące poglądy zasadnicze. Sądziliśmy i sądzimy, że socyologia powołaną jest zająć w obec społecznych fantazyj marzycieli socyalistycznych, podobne stanowisko, jakie chemia zdobyła sobie w obec alchemii, wyższa matematyka w obec mistycznéj gry cyfr, wreszcie, astronomia fizyczna w obec astrologii. Umysły prawdziwie filozoficzne poznały już jedność, panującą wśród większéj liczby zjawisk konkretnych, jedność polegającą na tém, iż wszystkie one dadzą się wytłómaczyć na podstawie ogólnych zasad mechaniki. Jest to naszém głębokiém przekonaniem, że wszelkie zjawiska świata organicznego podporządkowane są tym samym najwyższym prawidłom mechanicznym, na których biologia oprze kiedyś ścisłe wytłómaczenie objawów, któremi się zajmuje. Zdaniem naszém, jest to jedyna droga, na któréj i socyologia może i powinna postępować, skoro stać się ma nauką ścisłą. Comte, Mill i Quetelet socyologią nazywali fizyką społeczną. Usiłowaniem naszém było sformułować pierwsze zasady, na podstawie których mogłaby się socyologia rozwinąć, jako gałąź matematyki ogólnéj. Wystrzegaliśmy się starannie brania w rachubę czynników, których natura i potęga nie są znanemi; postępowaliśmy ostrożnie przy uogólnieniach, aby dodatnich rezultatów nie zmącić sangwinicznemi przypuszczeniami. Mozolne próby, aby na drodze wyższego rachunku dojść do analitycznego wyrazu poszczególnych twierdzeń, nie doprowadziły nas do celu, wskutek braku jasnych i nieuchwytnych danych, dlatego nie przytoczyliśmy ich w pracy niniejszéj.

Statystyka sprawdzi w przyszłości nasze twierdzenia. Twierdzenia te zawierają teoryą krążenia społecznego; nie uwzględniają one jednak bynajmniéj wpływów przypadkowych, które tak ważną odgrywają rolę w życiu społeczeństw. Dlatego prawdziwa fizyonomia stanu społecznego, po większéj części, nie będzie się zgadzała z wymaganiami naszéj teoryi. Tysiączne wpływy krzyżują pierwotny i normalny rozwój społeczeństw, a statystyka matematyczna zbliży się do najwyższego punktu swego udoskonalenia, kiedy objąwszy wszystkie owe wpływy przypadkowe, zdoła ułożyć tablice aberacyj w krążeniu społecznem. Będzie to najtrudniejszém i najbardziéj skomplikowaném zadaniem, jakie otworzyło się kiedykolwiek dla ducha ludzkiego.

Podając rezultaty naszych usiłowań pod sąd ludzi o umyśle filozoficznym i o ścisłych pojęciach umiejętnych, wyrażamy nadzieję, że nie zawyrokują oni zbyt pochopnie. To, cośmy w prawach naszych wyrazili, stanowi dokładnie i sumiennie rozważany wynik specyalnych studyów nad ludnością. Jeżeli wynik ten nie zadowoli nie-

uprzedzonego krytyka, to niechaj zważy trudności, opierające się ścisłemu wyrażeniu pojęć, które dotychczas były tak elastycznemi, że nie zasługiwały, oniemal, na miano umiejętnych; niechaj zważy, że w pracy niniejszéj zmuszeni byliśmy uczynić pierwszy realny krok w dziedzinie mechaniki społecznéj.

Dalsze usiłowania nasze dążyć będą do wyprowadzenia ściślejszych rezultatów w téj nauce, która dla ludzkości posiada najwyższą doniosłość. Mamy nadzieję, że przyśpieszymy przez to chwilę, w któréj duch ludzki skojarzy siłę ogólnéj attrakcyi i siłę występującą w działaniach chemicznych, z temi, jakie rządzą zjawiskami organicznemi, psychicznemi i socyo-mechanicznemi, w najpotężniejszą syntezę, która wykryje zasadę najwyższą i dokona procesu uświadomienia przyrody.

---

Na tém kończymy niniejszą rozprawę. Zanim jednak rozstaniemy się z czytelnikiem, pragnęlibyśmy dodać jeszcze następujących kilka uwag. Syntetyczna część niniejszéj rozprawy łatwo wywołać może sąd, iż zamierzaliśmy w niéj wykryć ostateczne i niezmienne prawa, rządzące krążeniem społecznéni. Umiejętny krytyk spostrzeże jednak, iż celem jéj było jedynie odpowiednie postawienie zagadnienia i wykazanie drogi, po któréj krocząc, zagadnienie to rozwiązaném być może. Umiejętne i niezbite prawdy w przedmiocie naszym otrzymać można jedynie, jeżeli się stoi na realnym gruncie statystyki. Wszelkie prawa przyrody w ten sposób były zdobywane, iż umysł ludzki, obeznawszy się z danéin polem badania, na drodze oderwanego myślenia tworzył sobie pewne relacye, które następnie, sprawdzając je obserwacyjnie lub eksperymentalnie, bądź zmieniał lub upraszczał, bądź téż za istotne prawa uznać musiał. Praca niniejsza zawiera właśnie ową w środku leżącą część badania, ostatnia zaś i główna jego część leży jeszcze przed nami. Czując wszystkie niedostatki pracy naszéj, spodziewamy się jednak, że po wyjaśnieniu powyższém, oszczędzonym nam zostanie zarzut, jakobyśmy, nie stojąc na gruncie obserwacyjnym, rościli sobie prawo do rezultatów niezbitych. Jeżeli dalsze usiłowania nasze nie będą bezowocnemi, natenczas myśli, skreślone w niniejszéj rozprawie, rozwiniemy i uzasadnimy w pracy obszerniejszéj.

*Alfred Nossig.*

# WROŻDA, WROŻBA I POKORA.

W roku 1829 „Themis Polska“ (Tom VI), pismo peryodyczne poświęcone nauce prawa, ogłosiła rozprawkę pod napisem: *Pokora podług praw polskich i czeskich.*

Pochop do napisania jéj dał, ogłoszony podówczas przez Wacława Hankę z rękopisów biblioteki firstenberskiéj (1) opis aktu pokory, dopełnianego przez zabójcę przed krewnymi zabitego, tak jak on kiedyś w Czechach wykonywał się, i zrobione zaraz spostrzeżenie, że i u nas na Mazowszu podobna pokora była w użyciu.

Przy braku w owym czasie większéj liczby danych, nie można było zapuścić się w bardziéj szczegółowe wywody i należało prawie wyłącznie ograniczyć się na samém tylko konstatowaniu faktu współczesnego wykonywania pokory w obu krajach.

Od tego czasu, przez blisko lat sześćdziesiąt, liczba pomników historycznych i prac naukowych objaśniających przedmiot ten i inne z nim blisko spokrewnione, a mianowicie téż prac wyjaśniających historyą pomsty za zabójstwo, tak wzrosła, że godzi się ten sam przedmiot na nowo rozpatrzyć i przedstawić w pełniejszéj postaci (2).

Aby się wywiązać ile można dokładnie z zadania, postaramy się przedewszystkiém dopełnić, co dawniéj powiedzieliśmy o pokorze w Czechach i na Mazowszu, przez opisanie pokory na Morawach oraz w innych częściach dawnéj Polski; aby zaś w ogóle wystawić

(1) Biblioteka firstenberska obecnie przeniesiona do Pirglic, manuskrypt zaś, z którego korzystał Hanka, pisany w r. 1505 przez Wacława z Siemiechowa, obejmuje miscellanea z praw czeskich.

(2) Zwracamy tu szczególniéj uwagę na dzieło Frauenstaedta pod tytułem: *Blutrache und Todtschlagsühne.* Leipzig 1881, którego zadaniem jest zebrać dane o pomście i o aktach przebaczenia za popełnione zabójstwo.

znaczenie pokory w pełném świetle, usiłowaniem naszém będzie pokazać, w jakim ona stoi stosunku do reszty zachowań, mających na celu powściągnienie i ukaranie zbrodni zabójstwa, a mianowicie do prywatnéj pomsty (wrożda, wrożba) i do główszczyzny. Odsłoni to w części jedną z najciekawszych stron historyi praw karnych średniowiecznych, w których rzecz o zabójstwie tworzy osobną grupę pojęć i zachowań. Wszakże, aby nie pójść za daleko uprzedzamy, iż niemamy zamiaru dotykać zajazdów i walk (guerrae), całych a nawet kilku połączonych rodzeństw między sobą.

Wiadomo, że początkowo dokonanie krwawéj pomsty na osobie zabójcy przez krewnych zabitego, we wszystkich zakątkach Europy stale było w użyciu, jako wiekami uprzywilejowany zwyczaj. Pomścić się na zabójcy, odebrać mu życie, uważano nietylko za prawo służące osierociałemu przez zabójstwo rodzeństwu, ale i za najświętszy obowiązek ciążący na członkach obrażonéj rodziny. Kto z pomiędzy najbliższych krewnych poległéj ofiary, od wykonania pomsty uchylał się, okryty zostawał hańbą.

Niemniéj aż nadto oczywiste, że pomsta krwawa, prowadząca często do wytępienia całych rodów, nie mogła się na zawsze ostać, czy to przy stopniowém łagodzeniu dzikich namiętności pod wpływem chrześciaństwa, czy to przy coraz więcéj wzrastającém poczuciu potrzeby zapewnienia powszechnego pokoju, czy też przy wzmacniającéj się ciągle w społeczeństwach władzy centralnéj, w któréj interesie leżało powściągać coraz bardziéj popędy samowoli prywatnéj.

Nie było to wszakże rzeczą tak łatwą wyrwać z rąk rodów tyle dla nich drogie przywyknienie i zniewolić je od razu, aby się go zrzekły.

Nie mogąc jednym zamachem wykorzenić użycia pomsty, zaczęto przynajmniéj starać się o wynalezienie środków chwilowego utrzymania pokoju, o powstrzymanie pierwszych wybuchów uniesienia, o obudzenie uczucia skruchy i miłosierdzia. W tym celu albo obmyślano dla zabójcy pewne tymczasowe schronienia, albo obwieszczano dni, tygodnie a nawet lata, w których wzbraniano przedsięwzięcia jakiego bądź czynu zmierzającego do wykonania pomsty, albo też zapewniano zabójcy możność wydalenia się na pewien czas z kraju, by tym sposobem zasłoniwszy go przed pierwszą napaścią, ułatwić mu możność przejednania poszukujących pomsty. Ochraniało to głównie winowajcę, ale niezaspakajało jeszcze krewnych poległéj ofiary. Dopiero czas oswoił ich z przyjęciem okupu za poległego i usunął obawę okrycia się hańbą tych, co poprzestawali na materyalném wynagrodzeniu za poległą głowę.

Wysokość okupu zrazu ustanawiali pośrednicy, użyci do przywrócenia pokoju między zabójcą a poszukującémi pomsty. Z czasem, gdy przyjmowanie okupu utarło się i gdy się do niego przyzwyczajono, prawa zaczęły oznaczać wysokość główszczyzny, aby zapobiedz dowolności i uciążeniu winowajcy, a zwyczaj nie omieszkał jeszcze wprowadzić w różnych stronach wykonanie różnego rodzaju aktów skruchy i przebłagania, dopełnianych przez zabójcę, aby krewnych poległéj ofiary, uczynić tém skłonniejszymi do zgody i do przyjęcia okupu, a zarazem ubezpieczyć i na czas przyszły chwilowo zagrożony pokój.

Nie należy jednak mniemać, że zaprowadzenie główszczyzny pociągnęło za sobą natychmiastowe usunięcie z widowni pomsty, przeciągnęła ona jeszcze długo swój żywot, gdyż pozostały nawet przypadki, w których same prawa i zwyczaj zezwalały na jéj użycie. Dopiero, gdy w prawach karnych okup za ciężkie przestępstwa, a mianowicie za zabójstwo, stanowczo uchylony został i zastąpiony był przez karę cielesną, którą władza centralna sama od siebie stosowała i wykonywała, z zupełném usunięciem od tego krewnych zabitego, prawne istnienie pomsty a z nią i okupu i aktów skruchy przerwaném zostało.

Wykazywać jak się to wszystko w zwyczajach i prawach różnych stron rozmaicie składało, nie jest rzeczą naszą. Zwracamy się też bezpośrednio do głównego naszego przedmiotu i zaczynamy od tego, co nam pod tym względem przedstawiają zwyczaje prawne i prawa Czech i Moraw.

## Czechy i Morawy.

Do wyjśnienia historyi pokory w ziemiach czeskich a mianowicie na Morawach, przyłożyło się głównie wydobycie z zapomnienia dwóch zbiorów starych zwyczajów prawnych i praw Morawskich, jednego znanego pod nazwiskiem księgi Towaczowskiéj (Kniha Tovaczovska), drugiego księgi Dernowskiéj (Kniha Drnovska). Autorem pierwszego zbioru, dokonanego między rokiem 1479 i 1490, był sławnéj pamięci pan Ctibor Towaczowski, najprzód sędzia dworski potém hetman; drugiego, ułożonego między rokiem 1525 a 1527 Ctibor Dernowski, znany w swoim czasie jako biegły znawca prawa miejscowego.

Niebawem téż uczony wydawca obu tych zbiorów, Brandl, Archiwariusz ziemski morawski, w przedmowie do księgi Dernowskiéj pomieścił obszerny wywód o główszczyźnie (oklad hlawy)

i o pokorze podług podań morawskich i czeskich (1), a w wydaném jeszcze późniéj słowniku streścił rzecz o pokorze w osobnym artykule (2).

Najprostszy, zdaniem naszém, a zarazem najoczywistszy dowód, że w Czechach i na Morawach w starym wieku służyło krewnym zabitego prawo krwawéj pomsty na zabójcy, przedstawiają same obrzędy aktu pokory, jak zaraz poniżéj zobaczymy (3).

Dla uchylenia się z pod pomsty, statut księcia Ottona z r. 1229, idąc zapewnie za utartym już wprzódy zwyczajem, stanowił, że zabójca winien wydalić się z ziemi i szukać wyjednania sobie przebaczenia (gratia) u krewnych zabitego (4).

W tym kierunku i statuty miasta Igławy (1249) wygnanemu z miasta (proscriptus) za zabicie na rok i jeden dzień, nakazują szukać przez ten czas przebaczenia (gratia) u pokrzywdzonych (5).

Jako najstarszy dotąd zachowany przykład ugody, zawartéj za sprawą pośredników (amicabiles compositores), oznaczającéj wysokość okupu za głowę, przytacza Brandl akt z r. 1333, którym opat i konwent z Welegradu zobowiązują się wypłacić główszczyznę, ustanowioną za wspólną zgodą stron, na rzecz sierot, żon i reszty krewnych osób, zabitych przez ich ludzi (*Codex diplomaticus et epistolaris Moraviae* VI, 349).

Również i najdawniejsze podanie o dokonanym akcie pokory, pochodzi z tego samego wieku czternastego. Zachowała je księga Towaczowska. Wedle zdania Brandla, wypadek, o którym tam mowa zdarzył się między r. 1381 a 1398.

Nie wynika ztąd przecież, że spełnianie aktów pokory dopiero w tym czasie na ziemi czeskiéj nastało. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, pojawienie pokory w tych stronach, można odnieść do końca wieku trzynastego. Wspomina bowiem o niéj, jako o rzeczy powszechnie znanéj już Dalemil (cap. XXIV, w. 31—38), jak to nam wskazał najnowszy jego wydawca Józef Ijreczek prezes Czeskiego Towarzystwa Umiejętności.

---

(1) *Kniha Tovaczovska, kriticke vydani.* V Brne 1868. *Kniha Drnovska vydal Brandl.* V Brne 1868.

(2) *Glossarium illustrans bohemico-moravicae historiae fontes.* Brünn 1876. str. 246. Godna niemniéj uwagi rozprawka tegoż Brandla *o głowie czyli o zabójstwie* ogłoszona w Czasopiśmie *Matica Morawska* za r. 1870, w któréj opisuje cały tok procesu o zabójstwo.

(3) Krótki rys historyi prawa karnego czeskiego skreślił Sławiczek w dziele: *Uvod vo studium trestniho prava.* Praga 1867.

(4) *Statuta Ottonis* §. 16. Cf. H. Jireczek: *Codex juris bohemici.* Praguae 1867 I. p. 63.

(5) *Jus Iglaviense* §. XLV. *ibid.* p. 105.

Prócz tego można jeszcze na poparcie domniemania tego, przytoczyć i tę okoliczność, że opłaty, które pobierali urzędnicy za dopełnienie aktu przebaczenia (quando gratiae inveniuntur), a o których wspomina ułożone w wieku czternastym tak zwane *Officium circa tabulas terrae* (H. Jireczek: *Codex juris bohemici* II. 2. nr. 168 str. 280), nie do czego innego, zdają się, odnosić jak do aktów pokory (1).

Sam sposób, jakim na Morawach spełniał się akt pokory, opisuje księga Towaczowska w ustępie 210, w którym traktuje *o główszyczyznie wedle prawa ziemi.* Oto co nam w tym względzie podaje: jeśli zdarzy się, że pan pana (to jest osobę wyższego stanu) lub ziemianin pana zabije, pośrednicy za zgodą stron oznaczają wysokość główszczyzny, która nie powinna być niższą od pięciuset grzywien dobrych groszy praskich, nadto winowajca dać powinien pięćset funtów wosku, pięćdziesiąt postawów sukna (lantuchu) i jednego konia z chorągwią, odprawić pięćset mszy za duszę zabitego i nareszcie spełnić akt pokory. Sam zaś akt tak opisany: zabójca sam pięćdziesiąty występuje boso, bez pasa, kładzie się na grób zabitego, a najbliższy krewny zabitego między plecami jego trzyma miecz końcem ku dołowi zwrócony i odzywa się potrzykroć do zabójcy: *mam tedy twe gardło tak w mocy swéj, jak ty miałeś brata mego lub mego krewnego*, na co zabójca po trzykroć odpowiada: *jestem w twéj mocy, lecz proszę na Boga zachować mnie przy życiu.* Wtedy brat lub krewny zabitego wygłasza: *zachowujem cię przy życiu dla Pana Boga.*

Lżejszą była odpowiedzialność za zabicie ziemianina przez ziemianina lub przez pana. W razach tych zabójca płacił za głowę tylko 50 grzywien, składał 50 funtów wosku, 50 postawów sukna, kazał odprawiać 50 mszy i z niewięcéj jak 25 osobami spełniał akt pokory (ustęp 211).

Tak samo obowiązany był do pokory z pięciu osobami ten kto zabił wieśniaka (sedlaka) (ustęp 212).

Przytém taż księga Towaczowska dodaje dwa ważne zastrzeżenia: najprzód, że czyniący pokorę powinien zobowiązać się udzielać w każdéj potrzebie pomoc krewnym zabitego; następnie, że krewni zabójcy powinni się powstrzymać od użycia wszelkich gwałtownych środków celem zniewalania krewnych zabitego do zgody, jeśliby ciż sprawę na drogę sądową wytoczyć chcieli.

Podobne prawidła o główszczyznie i pokorze przedstawia i księga Dernowska, o dobre ćwierć wieku późniejsza od księgi poprzed-

(1) Zwrócił uwagę naszą na ten szczegół profesor Hanel, wykładający na fakultecie prawnym uniwersytetu praskiego, historyą prawa czeskiego.

niéj. Różnica w opisaniu pokory polega tylko na tém, że podług księgi Dernowskiéj zabójca (vrah, wróg) ma iść na grób bosy i z rozpuszczonemi włosami (prostovlasy), w koszuli i sam ma miecz nieść i ma się położyć na grób zabitego nosem na dół.

Na poparcie, że wyłożone w księgach prawidła rzeczywiście w praktyce zachowywały się, Brandl przytacza z ksiąg sądowych ołomunieckich dwa przykłady pokory, jeden z r. 1511, drugi z roku 1517. W przypadku drugim Stanisław biskup Ołomuniecki i Władysław z Boskowic najwyższy komornik margrabstwa morawskiego, przepisują, że Maurycy Zolcar z Ledenicy zabójca ma krewnych zabitego temi słowami przebłagać: *Mili panowie, jakom wam brata waszego Krysztofa zabił, nad czem boleję, tako was proszę na Boga, na matkę Boską, abyście mi to odpuścili, a ja wam to dopókąd żyw będę z krewnymi memi starać się będę odsłużyć*; oni zaś winni mu to odpuścić, nic złego nie uczynić i wszystko na wieki zapomniéć.

Podług zdania Brandla, przypadki wykonania aktu pokory na Morawach nie przekraczają pierwszéj połowy wieku szesnastego.

Podobnie i w Czechach zabójca (vražedlnik) mógł być przez krewnych zabitego pociągnięty do odpowiedzialności albo przed sąd albo też krewni mogli się z nim ułożyć o główszczyznę i żądać od niego wykonania pokory.

Sposób, jakim się miała pokora w Czechach wykonać, dokładnie i szczegółowo opisany we wzmiankowanym powyżéj ułomku z rękopisu firstenberskiego, spolszczonym w artykule Themidy.

Gdy zapewnie mało komu z dzisiejszych czytelników znany jest ten przekład, uważamy za stosowne powtórzyć go, zwłaszcza i dla tego, aby tém łacniéj można wskazać na różnice, jakie zachodziły między obrzędami pokory czeskiéj a morawskiéj, co jeśli nie dzisiaj to z czasem będzie mogło posłużyć za środek do wyjaśnienia wątpliwości, jakie dotąd pokrywają źródło, z którego obrzędy te wypłynęły.

„*Pokora zabójcy* (wražedlnika): ma on wspólnie z dwunastoma z któremiby się zmówił stanąć, ma ich po za sobą wieść, a wszyscy mają nieść po świécy, każdy za grosz czeski, a potém każdy z nich ma położyć na ołtarz po groszu czeskim, za co mają być odprawowane msze za duszę nieboszczyka, a oni mają iść w koszulach z rozpuszczonemi włosami (prostowlasi), bez pasów i bez obuwia.

Najpierw gdyby chcieli wstąpić na cmentarz, mają być zatrzymani, a zabójca zapytany, *co żądasz?* a on ma rzec: *żądam tego, że gdym bez winy zwiódł ze świata a zabił nieboszczyka N. abym mógł uczynić miłościwą pokorę.* A tu zaraz ma około kościoła iść, miecz nagi niosąc, a inni za nim, a mają na grobie tego nieboszczyka uklęknąć

i po pacierzu odmówić. Ojciec zaś a matka z przyjaciołmi (to jest bliższymi krewnymi) albo najbliżsi przyjaciele jego, mają na progu kościelnym siedzieć, a zabójca ma przed nimi na jedno kolano przyklęknąć i tak rzec: *jakom wam syna waszego miłego bez winy zabił, tu pokorę pokornie czynię, a was i waszych przyjaciół na miłego Boga, na jego miłą matkę świętą, na wszystkich świętych, pokornie proszę, abyście mi mój nie mądry uczynek, którym przeciw miłemu Bogu, tudzież przeciw wam uczynił, miłościwie odpuścili.*

Tedy dwóch ławników (konszelów) weźmie od niego miecz i mają go nad jego szyją trzymać, a on ma głowę swą nachylić w ich łona, a ojciec ma tako mówić: *jakoś ty nam syna naszego z tego świata sprowadził, za to tutaj pokorę czyniąc, po pierwsze mówimy od siebie i od naszych wszystkich przyjaciół, żeć to tobie Bogiem odpuścimy.*

W tém iść mają po drugi raz około kościoła, a na jego grobie zmówić po pacierzu i skoro na toż miejsce znowu przyjdą, znowu jako pierwéj mają prosić, a miecz nad jego szyją ma być trzymany.

Potém ojciec z przyjaciołmi ma jemu rzec: *jako już drugi raz miłościwéj pokory żądasz, prosząc na miłego Boga, abyśmy to tobie miłościwie odpuścili, po drugie powtarzamy, że to tobie odpuścimy od siebie i od wszystkich naszych przyjaciół.*

Potém po raz trzeci ma około kościoła iść, a znowu mają na grobie jego uklęknąć i po pacierzu zmówić i znowu na to miejsce mają się wrócić i także uklęknąć i uczynić jako na górze stoi napisano. A ma tak rzec: *oto wam się po raz trzeci na łaskę* (milost) *oddawam i znowu pokornie proszę was i wszystkich przyjaciół waszych, którzyby chcieli za was co uczynić lub niechać jeszcze proszę na najwyższe imie Boga, na jego miłą matkę świętą i na wszystkich świętych, abyście mi mój nie mądry uczynek, którym przeciwko miłemu Bogu i przeciwko wam uczynił, miłościwie odpuścili.*

Tedy znowu mają miecz nad jego głową i szyją trzymać, a ojciec jego (tj. nieboszczyka) ma do nich mówić: *jakoś ty nam bez winy syna naszego miłego z tego świata zwiódł, tę pokorę wielkiemi prożbami za to czyniąc a prosząc prze najwyższe imie Boga i prze jego miłą matkę świętą i tudzież prze jego świętych, abyśmy tobie miłościwie odpuścili, tedy mówimy jako mający moc nad tobą to samo tobie uczynić, jakoś ty synowi naszemu uczynił, dla miłego Boga to tobie darujemy i wiernie odpuścimy, proś tedy syna bożego a miłą pannę Maryę matkę Boską z ich świętemi, aby się raczyli do Pana Boga za tobą przymówić a to tobie miły Bóg raczy odpuścić, a ja także z małżonką moją i ze wszystkiemi naszemi krewnemi, którzyby chcieli co za nas uczynić lub niechać, Bogiem to tobie po chrześciańsku odpuścimy i przebaczymy, a to tobie do naszéj śmierci niczém złem wspomnięć nie chcemy.*

Potém zaraz mają do kościoła pójść, a zabójca (wrażedlnik) i z temi osobami mają przed ołtarzem uklęknąć, a tu klęcząc wszyscy śpiewać: *Zmiłuj się nad nami Panie* itd., potém mają zacząć: *Swięty Wacławie* itd., to śpiewając, mają iść około ołtarza, zaczém mają msze być odprawiane za duszę nieboszczyka, a owe świece mają być przy tych mszach spalone".

Na dowód, że w Czechach pokora odprawiała się rzeczywiście zgodnie z dopiero co opisanemi obrzędami, przytoczyć można, że Piotr Chelczycki, pisarz pietnastego wieku, opisujący zwyczaje ziemi Czeskiéj, wyraźnie zaświadcza, iż przy spełnieniu pokory kładzie się miecz na gardło zabójcy, przez siedzących na progu kościelnym (ob. Palacki i *Deijny* V. 1, str. 475).

Porównywając pokorę czeską z morawską, spostrzegamy, że w Czechach wyznanie winy i darowanie jéj. nie dopełniało się na grobie zabitego, tak, jak to praktykowało się na Morawach, ale u progu kościoła, położonego na cmentarzu, przed oczekującymi tam najbliższymi krewnymi zabitego; daléj, że zabójca, czyniący pokorę, miał głowę swą schylać na łono siedzącéj na progu kościelnym osoby, a miecz, wzięty z jego rąk, miał być trzymany nad jego szyją. Dalsza różnica na tém polegała, że po wyrzeczeniu przebaczenia, na czém właściwie cały akt na Morawach kończył się, w Czechach przeciwnie, obie strony, bezpośrednio, zaraz udawały się do kościoła dla odprawienia stosownych modlitw i uczestniczenia we mszach za duszę nieboszczyka. W ogóle cały akt pokory przybiera w Czechach, przeważnie, formę aktu religijno-kościelnego, wtedy, kiedy na Morawach przedstawia się raczéj jako czynność cywilna, bardziéj prosta i mniéj skomplikowana.

## Mazowsze.

Źródła mazowieckie, w porównaniu z czeskiemi, bardzo niedokładnie opisują obrzędy pokory, za to rzucają pełne światło na stopniowy rozwój zachowań względnie zabójstwa. Zaznaczyć tylko należy, że kto chce wyrobić sobie jasne i prawdziwe pojęcie, jak stare prawo mazowieckie zapatrywało się na zabójstwo i pokorę, powinien badania swoje głównie oprzéć na oryginalnych statutach z wieku XIV i połowy wieku XV, a nie na zbiorze zwyczajów prawnych, sporządzonym na początku wieku szesnastego, przedstawiającym niekiedy rzeczy dawne w zmienionéj postaci. Nawet powołując się na stare statuta, tak, jak je wydrukował Goryński, nie trzeba spuszczać z uwagi, że on sam na czele ich napisał: Statuta Mazowieckie... zebrane i *poprawione* (Statuta Mazoviae collecta et emendata), ostrze-

gając, że nawet do pierwotnych statutów weszły poprawki, czyli zastosowania do zmienionych pojęć (1). Będziemy mieli sposobność w swojém miejscu o tém przekonać się.

I na Mazowszu zwyczaj i prawo, co do powściągania i karania zabójstwa szły tą samą drogą jak w innych krajach Europy, co nie wyłącza i pewnych właściwości, jak to zaraz zobaczymy.

Że zabójca w starym wieku na Mazowszu wystawionym był na krwawą pomstę ze strony krewnych poległéj ofiary i że wykonanie pomsty uważało się za rzecz zupełnie uprawnioną, na to, choćby innych dowodów nie było, poręcza znana i wykonywana na Mazowszu pokora, tak samo, jak to zauważaliśmy, mówiąc o Czechach. Zabójca, który przy wykonywaniu aktu pokory, podaje miecz przeciwnikowi, a on ten miecz na jego szyję kładzie i mówi: ja mogę ci teraz to uczynić, co ty mojemu krewnemu uczyniłeś, przyznaje sam najwyraźniéj prawo pozbawienia go życia za popełnione przez siebie zabójstwo.

Ma nawet język starodawny mazowiecki na oznaczenie tego rodzaju pomsty, osobny techniczny wyraz w słowie *wrożba* (2), jak to zaświadczają dwa statuta, jeden z r. 1390, drugi z r. 1421, w których wyrażenia łacińskie *inimicitia* i *vindicta sanguinis*, oznaczające nie co innego jak pomstę, oddane są przez wyraz *wrożba* (3).

Nie trzeba, zdaje się, przypominać, że w średnio-wiecznym języku wyraz *inimicitia* (Fehde) oznacza cały szereg gwałtów, skierowanych przeciw winowajcy, zwykle uwieńczanych jego śmiercią, a niekiedy wyradzających się w rzeczywisty stan wojny (guerra w Statucie 1377: Bandtkie *l.c.* p. 420) między zwaśnionemi rodzinami.

Jak długo tego rodzaju pomsta w pełném była użyciu na Mazowszu, przy dość silnie występującéj władzy książęcéj, niepodobieństwo dokładnie oznaczyć; tyle tylko pewno, że w dawnym już czasie zaczęto obmyślać środki, zmierzające ku jéj ograniczeniu.

---

(1) Żałujemy, że zasłużony autor dzieła: *Dawne Mazowieckie prawo. Warszawa*, 1881, niekiedy zamało na okoliczność tę zwracał uwagi w pracy, zresztą nader starannéj i sumiennéj.

(2) Zaznaczamy tu, że w tłómaczeniu Macieja z Różana, wyraz ten pisze się raz *wrosba*, drugi raz *wroszba*. Ob. Lelewela *Historyczne pomniki*. Wilno, 1824, str. 138, 149. W tłómaczeniu zwyczajów sądowych Prażmowskiego stale pisze się *wrozba*.

(3) Statut 1320:... erit liber... ab *inimicitia* vulgariter *wrożba*. Statuta 1421: reus a *vindicta sanguinis*, vulgariter dicta *wrożba* absolvatur (Bandtkie. *Jus Polonicum*, p. 423, 433). Zaraz tutaj notujemy, że w § 1 Statutu 1390, jak go wydrukował Goryński, znajduje się wstawka od słów: *extunc* aż do *a parte laesa*, w części zmieniająca znaczenie wyrazu wrożba. Wstawki téj nie było w oryginalnym Statucie, którego skład oryginalny zachował nam przekład Macieja z Rożana. Ob. Lelewela *l. c.*, str. 138.

Jak sądzimy, pierwszym, na téj drodze, uczynionym krokiem było, niedozwalać przystępować do wykonania pomsty inaczéj, jak po formalném obwołaniu trzykrotném na targach dokonanego zabójstwa i nazwiska zabójcy (1). Winowajca, ostrzeżony obwołaniem podobném, miał czas uchronić się przed pomstą. Drugim, nierównie skuteczniejszym środkiem, było postanowienie zapadłe mocą ziemskiéj uchwały (2): że po obwołaniu dokonanego zabójstwa, winowajca natychmiast na rok jeden i sześć niedziel, powinien się był z kraju wydalać i że tylko w ciągu tego czasu za granicami kraju może być na nim pomsta dokonaną. Jeden z tekstów późniejszych, mówiąc o skutkach obwołania zabójstwa, dość trafnie wyraża się, że ono zobowiązuje zabójcę iść na wygnanie (exilium) z księstwa na wrożbę (Bandtkie *l. c.* p. 388). Osiągano tym sposobem dwa ważne cele: ograniczano prawo dokonania pomsty do krótkiego, stosunkowo, przeciągu czasu i co może jeszcze ważniejsza, dla ubezpieczenia wewnętrznego pokoju w kraju, przeznaczono wykonanie pomsty po za granice onego. O przypadkach zabicia na miejscu wydalenia winowajcy, przez poszukującego pomsty, wyraźnie wspomina statut z r. 1390 i odróżnia je od przypadkowego zabicia tegoż winowajcy przez osobę trzecią.

Ale samo wydalenie z kraju zabójcy na czas, nie załatwiało zajścia po powrocie do kraju; w razie, gdy nie został zabity przez przeciwnika, jak to dopiero co nadmieniliśmy, czekał zabójcę surowy sąd przed księciem i ciągły napór przeciwnika, jeżeli już nie na jego osobę, to na jego mienie. Jedynym środkiem wyjścia z tego położenia było ułożyć się z krewnymi zabitego i uzyskać ich przebaczenie. Otrzymywano je przez ofiarowanie okupu za poległą głowę i przez dopełnienie aktu pokory. Główszczyzna im większą była, tém bardziéj zaspakajała interesa materyalne strony pokrzywdzonéj, a pokora im solenniejsze przybierała kształty, tém więcéj wpływała na ukojenie moralnych cierpień.

Układy o okup, z powodu zbyt wygórowanych żądań pokrzywdzonych, mogły często przewlekać nad miarę przywrócenie pokoju między stronami; trzeba było temu zaradzić. Uczynił to statut r. 1390, oznaczając wysokość okupu. Odtąd za głowę szlachcica (*nobilis*), czy zabity zostanie przez szlachcica, lub przez włodykę (*miles*, to jest przez osobę posiadającą prawo rycerskie, ale nie rodu szlache-

---

(1) Zwyczaj obwoływania takowego i zapowiadania pomsty napotykamy i w miastach dalmackich, jak to niżéj wskażemy.

(2) Uchwałę tę nazywają źródła: *laudum terrae*, *laudum terrestre*, *laudum antiquum*, *statutum antiquum*. Ob. Bandtkie *l. c.*, p. 407, 400, 369.

ckiego), ma być dany okup w ilości 48 kop groszy, a za głowę włodyki kop 20, a nadto i w jednym i drugim razie ma być dopełniony akt pokory (Bandtkie *l. c.* p. 422, 433). Do tego dodał tenże sam statut, że jeżeli winowajca nie stawi się przed księciem, lub głowszczyzny nie opłaci, pokrzywdzeni są upoważnieni do prawnego zajęcia jego majątku (*bona*), a książe z winowajcą postąpi podług swéj woli.

Zawsze jednak, obok tych rozporządzeń, utrzymywało się prawo wykonania pomsty, dopiero pamiętny statut z r. 1435, wydany przez Bolesława IV na rokach generalnych w Zakroczymiu, podważył prawne jéj istnienie, postanowił albowiem: 1) że krewni, pokrzywdzeni przez dokonanie zabójstwa, nie potrzebują czekać upływu roku i sześć niedziel, przeznaczonego na wydalenie się winowajcy za granicę, lecz, że mogą go pociągnąć przed sąd już po upływie sześciu niedziel; 2) że wezwanemu przez nich do sądu winowajcy, ma być dane wszelkie bezpieczeństwo w stawieniu przed sądem (*debet venire in pace ad jus*) i że w tym czasie wzbrania się dokonania na nim pomsty; 3) że przekonany sądem winowajca, prócz główszczyzny, skazuje się na karę osadzenia w wieży.

Niewątpliwie postanowienia te zostały przychylnie przyjęte. Zmienione czasy, nie łaknęły już krwi. Ściganie winowajcy po za granicami kraju dla wykonania na nim pomsty, powoli samo przez się ustawało, bo dojrzalsza rozwaga doradzała raczéj poszukiwać przed sądem materyalnego wynadgrodzenia na zabójcy, niż narażać się na niepewne wypadki nużących i niebezpiecznych po za krajem zachodów.

Pomimo tego wszystkiego, wydalanie się zabójcy za granicę zachowało się i nadal we zwyczaju, jak nas o tém przekonywa zbiór zwyczajów, sporządzony pod kierunkiem Prażmowskiego, a następnie w przerobieniu przez Goryńskiego potwierdzony i ogłoszony. Poszło to ztąd bezwątpienia, że gdy statut wydalenia z kraju zabójcom wyraźnie nie wzbronił, przeto ciż nie omieszkali z milczenia tego korzystać, aby wydaliwszy się z ziemi, przez rok i sześć niedziel odwlec wezwanie ich przed sąd i powstrzymać przewidywane ukaranie.

Tak rzeczy stały aż do roku 1543, w którym sami posłowie mazowieccy na sejmie w Krakowie upraszali, aby stanowczo znieść zwyczaj dozwalający zabójcom wyjeżdżać z ziemi, jako nadużycie i wprost karać winnych zabójstwa obyczajem koronnym (ob. Maciejowski, *l. c.*, str. 200) (1).

---

(1) W tém miejscu winniśmy ostrzedz, że całe powyższe przedstawienie miało jedynie na celu wytknięcie głównych przejść ustawodawstwa mazowieckiego. Wyczerpnięcie wszystkich szczegółów tego ciekawego przedmiotu, przekroczyłoby zakres naszego zadania.

Z wyjściem z użycia pomsty i wzmocnieniem główszczyzny karą więzienia, zniknęła i pokora. Zamknięcie winowajcy w wieży stało za upokorzenie winowajcy.

Co do sposobu, jakim spełniała się pokora na Mazowszu, wiemy tyle tylko, ze świadectwa statutu z r. 1390, że gdy władyka spełniał akt pokory za zabicie szlachcica, obowiązany był stawić się sam dwunasty, z obnażonym mieczem, że winien był suknie swe do pasa opuścić i prosić pokrzywdzonego na Boga o przebaczenie, które mu tenże udzielić był powinien (1). Czy w razie zabicia szlachcica przez szlachcica, lub władyki przez władykę, winowajca występował z tą samą liczbą towarzyszy nie wiemy.

Na tém moglibyśmy zakończyć wywód nasz o pomście i pokorze, tak jak one w zwyczajach i prawach mazowieckich występują, gdyby w nowszych czasach nie były się pojawiły poważne zdania, względnie znaczenia wyrazu *wróżba*, niezgodne z tém, co poprzednio wyłożyliśmy. Z jedném wystąpił Maciejowski w swéj historyi praw słowiańskich, z drugiém autor powołanego powyżéj dzieła o dawném prawie mazowieckiém.

Maciejowski utrzymuje, że w dawnych czasach, po dokonaniu zbrodni rzucano losy, czyli wróżono, dla dowiedzenia się, ktoby w istocie był sprawcą zbrodni i że kogo los rzucony obwinił, ten albo wystawiony zostawał na zemstę, albo, jeśli schronił się przed nią, oparte na niéj wygnanie z kraju, *wróżbą* po słowiańsku, a *laudum* po łacinie zwało się (T. I, § 201).

Autor dawnego prawa Mazowieckiego ze zdaniem tém nie zgadza się i rzecz całą tak objaśnia. Podług niego, wróżba i pokora są rzeczywistemi karami, stosowanemi wyłącznie za zabójstwo między osobami stanu szlacheckiego. Pierwsza wróżba (laudum) polegała na tém, że zabójca po dokonaném przestępstwie powinien był wydalić się po za granice Mazowsza. Dopiero po odbyciu wróżby, krewni zabitego mogli pozwać zabójcę o zapłatę główszczyzny. Wróżbę po łacinie zwano *laudum*, który to wyraz oznacza uchwałę. Polski termin *wróżba*, był oczywiście kiedyś równoznaczący z *laudum*, to jest uchwałą. Ta okoliczność może rzucić do pewnego stopnia światło na epokę powstania samego postanowienia. Musiało ono mianowicie być uchwalone w tych jeszcze czasach, kiedy uchwały ludowe połączone były z różnemi ceremoniami religijnemi, zwłaszcza wróżbą, mającą na oku zbadanie woli bogów. Z biegiem czasu wróżba straciła zasadę bytu, przechowana jednakże, nabrała innego zu-

---

(1) Ten sam opis pokory podaje Statut Ziemowita IV z r. 1421. Ob. Helcla: *Pomniki* I, str. 287.

pełnie znaczenia. Statut r. 1421 nazywa ją już *vindicta sanguinis*, tj. karą za rozlew krwi (*Dawne maz. prawo*, str 201, 202).

Obaj autorowie, zdaniem naszém, bez stosownego objaśnienia, zamieniają wyraz wrożba na *wróżba* (ob. przyp. 2 str. 485); tym sposobem schodzą na pole wątpliwych przypuszczeń, które choćby dały się usprawiedliwić co do niektórych plemion słowiańskich, względnie Mazowsza pokazałyby się bezpodstawnemi, bo gdzież na to choć cień dowodu, że kiedyś na Mazowszu rzucano losy, czyli wróżono kto popełnił zbrodnię, albo, że uchwały ludowe wydawano po zbadaniu woli bogów przez wróżbę? Odwoływać się téż tu do zamierzchłéj starożytności, dlatego mianowicie uważamy za mniéj potrzebne, że rzeczy tłómaczą się innym, nierównie właściwszym sposobem.

Zwracając się zaś specyalnie do autora *dawnego prawa mazowieckiego*, sądzimy, że twierdzenie jego, jakoby wyraz wróżba miał podwójne znaczenie, jedno dawniejsze: uchwały, czyli *laudum*, a drugie późniejsze: kary za rozlew krwi, dlatego uważać należy za nieuzasadnione, iż polega na niedostateczném ocenieniu historycznego stosunku źródeł prawa Mazowieckiego, na co wyżéj zwróciliśmy uwagę, i na nie dość gruntowném wyrozumieniu ich terminologii. Między źródłami temi, pierwsze chronologicznie miejsce zajmują statuta z wieku XIV i XV, a drugie dopiero—zwyczaje prawne, zebrane późniéj przez wyznaczonych komisarzy. W ogóle téż to co nam podają statuta, a mianowicie, o ile się to dotyczy naszego przedmiotu, jest wcześniejsze od tego, co pod tym względem napotykamy w zbiorze zwyczajów (1). Jeśli jednak tak jest, przeto dawniejsze znaczenie wrożby jest to, które nam wskazują Statuta z r. 1390 i 1421. Oba, jak wyżéj nadmieniliśmy, wyraz wrożba, oddają przez wyrazy łacińskie *inimicitia* i *vindicta sanguinis*, oznaczające we właściwém pierwiastkowém znaczeniu pomstę prywatną. Znaczenie więc drugie wyrazu wrożba jako uchwała, możnaby chyba uważać za późniejsze. Wszakże i to twierdzenie byłoby nieuzasadnione, gdyż polegałoby także na nie dość krytycznem ocenieniu źródeł. Nigdy wrożba nie była równoznaczącą z wyrazem—uchwała.

---

(1) Łatwo nas tu spotkać może zarzut, że występujemy z twierdzeniem, wbrew przeciwném powszechnie przyjętemu zapatrywaniu się, to jest, że wszędzie zwyczaj wyprzedza prawo stanowione, statuta, konstytucye. Zgadzamy się na to. Niewątpliwie w zbiorze zwyczajów mazowieckich znajdują się zamieszczone zachowania wyprzedzające znane nam dzisiaj statuta, ale tylko częściowo, reszta widocznie jest późniejszego początku. Przyczém nie należy zapominać, że właśnie owa to wrożba oparta nie na zwyczaju, ale na uchwale.

Przekonywa o tém dokładniejszy rozbiór tekstów. Mamy ich dwa: polski, w tłómaczeniu Prażmowskiego, drugi łaciński, oryginalny.

W tłómaczeniu na język polski zwyczajów sądowych, zebranych pod kierunkiem Prażmowskiego, spotykamy takie zwroty:

może być rok (tj. termin) wróżbą odłożon,
aż wróżbę wydzierży (Maciejowski, t. VI, str. 193, § 39),
miasto wróżby ma być osadzon w wieży (*l. c.*, str. 251, § 215),
na wróżbę wyjechawszy ma pełny rok i sześć niedziel cierpić,
nie może być pozywany o głowę pokąd wróżbę wycierpi (*l. c.* str. 253, § 219),
przez ono niecierpienie wróżby,
niewycierpiawszy wróżbę,
a miasto wróżby (*l. c.*, str. 253, § 220),
jemu to (tj. ojcobójcy) nie ma być dopuszczono żadne rokow odłożenie, albowiem takiego uczynku wróżba miejsca nie ma (bo winowajca skazuje się wprost na karę śmierci, *l. c.*, str. 256, § 226).

We wszystkich tych miejscach wyraz wróżba występuje w tém znaczeniu, jakie mu nadaliśmy, to jest, w znaczeniu pomsty. Winowajca wydalał się z kraju dla przetrzymania czasu, w którym przeciwnicy mogli na nim poszukiwać pomsty; jeśli tego nie uczynili, mogą go pozwać o głowszczyznę dopiero po upływie tego czasu. Obie te zasady oddaje tłómacz przez wyrażenie zupełnie jasne: *wróżbę cierpieć przez rok i sześć niedziel—nie może być pozwan o głowę pokąd wróżby nie wycierpi.* Ponieważ jednak czas, w ciągu którego pomsta mogła być wykonaną, był przez uchwałę ziemską oznaczony, przeto tłómacz zamiast powyższych zwrotów, w dwóch miejscach pozwolił sobie użyć wyrażenia: *wyjechać z księstwa uchwałę cierpieć* (*l. c.*, str. 193, § 39), *powołanie służy aby wyjechał z księstwa uchwałę cierpieć* (*l. c.* str. 247, § 204), co zresztą zupełnie na jedno wychodzi jak wyrażenie: wyjechać z księstwa cierpieć wróżbę.

Temu pojmowaniu rzeczy nie sprzeciwiają się bynajmniéj teksty łacińskie, owszem w zupełności je stwierdzają. I one zamiast długiego frazesu: wytrzymać czas wydalenia, uchwałą ziemską oznaczony, w którym pomsta mogła być wykonaną, używają metaforycznie dwóch lub trzech wyrazów *wytrzymać uchwałę* (laudum explere *l. c.*, 369), albo *uchwałę wydalenia wytrzymać* (laudum exilii implere l. c., p. 414). W takiém samém znaczeniu użyte są wyrażenia: *niewypełniwszy uchwały* (laudo non impleto *l. c.*, p. 404). z *powodu pogwałconéj uchwały* (racione laudi violati *l. c.*, p. 404), *może mu być rok* (tj. termin) z powodu *uchwały przedłużony* (potest sibi terminus prorogari laudo terrestri (*l. c.*, p. 369) i inne tym podobne.

Jednėm słowem *wrożbę cierpieć*, albo *uchwalę cierpieć* metaforycznie, w języku użytym w zbiorze zwyczajów mazowieckich, znaczyło jedno i to samo, ale ztąd bynajmniéj nie wypływa, aby wyraz wrożba i wyraz uchwała były jednoznaczne. Każdy z nich, pomimo swego metaforycznego użycia, zachowuje swoje właściwe znaczenie.

Do tego dodać należy, że wyraz nasz mazowiecki wrożba, jest zupełnie téj samej formacyi jak wyraz *wražba*, który spotykamy na południu Chorwacyi w starym Statucie Winodolskim (r. 1280). Oba użyte są w zakresie rozporządzeń o zabójstwie. Cała między nimi różnica na tém tylko polega, iż mazowiecki wyraz zachował do końca pierwotne znaczenie pomsty prywatnéj, a winodolski dalsze pochodne znaczenie, to jest kary, czyli pomsty publicznéj, oznaczanéj i wymierzanéj przez władzę (1).

## Wielkopolska i Małopolska.

Dopiero od niedawna dostrzeżoném zostało, że nie tylko na Mazowszu, ale i w innych częściach dawnéj Polski pokora była w użyciu. Dostarczyły nam téj wiadomości nasze księgi sądowe z wieku XIV i XV. To co dotąd przez nas zebrane zostało, nie przedstawia jeszcze zbyt obfitego plonu, mamy wszakże ugruntowaną nadzieję, że im więcéj postąpimy w rozpatrzeniu ksiąg sądowych, tém więcéj jeszcze odkryje się nowych danych. Pierwszą wiadomość o pokorze w ziemi sieradzkiéj z r. 1418 podał nieodżałowanéj pamięci Maciejowski (*Historya prawod. słowiańskich.* Warsz. 1862. VI. 410). Następną wiadomość o pokorze z ziemi krakowskiéj, z r. 1398 dostarczyły wyciągi Helcla z ksiąg krakowskich. Po nim ukazała się pokora w ziemi łęczyckiéj pod rokiem 1388 w już wydrukowanych, ale dotąd nie ogłoszonych księgach łęczyckich. Niebawem i my powzieliśmy wiadomość o innych jeszcze przypadkach pokory z ziemi Sieradzkiéj i Krakowskiéj, a odnoszących się do r. 1394 i 1402, a także o pokorze z ziemi Poznańskiéj z r. 1435. Nadto, przy przeglądaniu księgi Pyzdrskiéj dostrzegliśmy wyraz *wrożda*, dotąd w księgach naszych sądowych nie postrzeżony, a zostający w ścisłym związku z materyą o powściągnięciu zabójstwa. Na tych tymczasowo danych oprzemy następujący wywód.

---

(1) Ob. wzorowe wydanie Statutu Winodolskiego przez Jaglcza: *Zakon Winodolski.* Petersburg, 1880, str. 44. Zdanie jednak Jagicza, jakoby zamiast wyrazu *wražba*, wypadało w statucie czytać *wražda*, jak się zdaje, nie da się utrzymać, zwłaszcza gdy mu nieznaną była przy wydaniu owego dzieła forma mazowiecka.

Gdy zebrane przez nas dane nie są zbyt liczne, uporządkujemy je, nie podług ziem ale chronologicznie.

Rok 1388. Pod rokiem tym w księdze łęczyckiéj zapisano: że między Gniewomirem z Nandrzerowa, a Janem Stopką stanęła ugoda téj osnowy, że Stopka zapłaci mu pietnaście grzywien groszy (za popełnione przez niego zabójstwo), po pięć grzywien w trzech terminach i uczyni pokorę (homagium) z dziesięciu szlachtą na najbliższym wiecu (colloquium), pod zakładem (vadium) stu grzywien i że strony zobowiązują się pozostać nadal szczerymi przyjaciółmi (*Księga łęczycka* nr. 736).

Rok 1394. W tym roku w ziemi Sieradzkiéj, Mikołaj z Kosowa, wyrokiem sądu, na małych rokach w Sieradzu, zwolniony został od dopełnienia aktu pokory (venia) przed Mojką, jakoby za zabicie jego brata (*Księga sieradzka* I. 59).

Rok 1398. W ziemi Krakowskiéj, Mikołaj, dziedzic z Wąchodłowa, zwany Pieniążek, za zgodą stron, obowiązuje się zapłacić Janowi Kubałka z Olpic dwadzieścia grzywien, w ciągu dwóch lat, za głowę ojca Jana i uczynić pokorę (veniam *pokora* facere debet), pod zakładem (vadium) sześćdziesięciu grzywien (Helcel. *Pomniki* II. 354).

Rok 1402. Dwaj poręczyciele Jan z Makocic i Mikołaj z Zielenic, na mocy zobopólnéj ugody na rokach dworskich (in curia regis) zobowiązują się złożyć w Proszowicach na dzień Bożego Narodzenia trzydzieści grzywien Wiszonowi z Kowar za głowę brata jego Piotra, poległą z rąk Abrahama z Makocic, przyczém tenże Abraham w Proszowicach, wraz z dwunastoma szlachtą, występującymi z obnażonemi mieczami, obowiązany być ma do dopełnienia aktu pokory (emenda seu venia quod vulgariter *pokora* dicitur), przed wspomnianym Wiszonem (debent transire ad Wiszonem predictum) (*Księga krakowska*).

Rok 1418. Na rokach w Szadku stanęła umowa między Wichną, żoną Marcina Kozanki, a Sandkonem z Korczewa, że Marcin Kozanka za zabicie brata Sandkona spełni akt pokory (venia vulgo *pokora*), z dwunastu osobami, przed tymże Sandkonem w Szadku w dzień Narodzenia N. Panny i że w ciągu dwudziestu niedziel zapłaci dziesięć grzywien, a na dzień Wszystkich Świętych da pół kamienia wosku do kościoła w Brudzewie i drugie pół kamienia do kościoła w Korczewie, oraz, że na to samo święto odbędzie pielgrzymkę do Śtego Krzyża na Łyséj górze, a potem do Poznania i Gniezna, a to pod zakładem (vadium) sześćdziesięciu grzywien.

Rok 1435. Szlachcic Nieustęp Kot ze Świekot, stanąwszy przed sądem w Śremie upraszał o zapisanie do księgi ziemskiéj aktu układu polubownego, mocą którego stawieni poręczyciele zobowiązali się w dwóch ratach wypłacić Jędrzejowi z Piotrowa za zabicie przez

Nieustępa ojca tegoż Jędrzeja, po trzydzieści grzywien, rachując na każdą po 48 groszy, a sam Nieustęp zobowiązany został w niedzielę przed Wielkanocą dopełnić aktu pokory w Poznaniu, w klasztorze Śtego Dominika przed Jędrzejem, a mianowicie stawić się z dwudziestoma sobie równemi szlachtą, występującemi boso, z obnażonemi mieczami, przyklęknąć przed nim i podać do rąk jego miecz, prosząc o przebaczenie winy, poczém Jędrzej ma zapewnić Nieustępa, iż mu przebacza.

Zestawiając z sobą dopiero co przytoczone dane, dostrzegamy, że nie tylko zdarzenia w których występuje pokora nie są zawsze te same, ale że i obrzędy spełnienia jéj w różnych ziemiach, a może nawet w różnych przypadkach były rozmaite.

I tak w zdarzeniach z r. 1388, 1398, 1402 i 1418 z ziemi łęczyckiéj, krakowskiéj i sieradzkiéj winowajca obowiązuje się do spełnienia pokory w razach, w których nie uiszcza pełnéj, prawem postanowionéj główszczyzny. Tu zatém uczynienie pokory wstępuje niejako w miejsce nie dobranego spełna okupu. Kto wszystkiego niepłaci, przynajmniéj usiłuje pokrzywdzonych przebłagać. Przeciwnie w zdarzeniu z. r. 1435 zabójca nie tylko ponosi cały okup za głowę, ale zniewala się nadto do uczynienia pokory, tak, jak to stanowiły prawa mazowieckie i jak było w zwyczaju na Morawach.

Wypłacić całą, prawem postanowioną główszczyznę, zwłaszcza w terminach krótkich, nie było rzeczą tak łatwą, jakby się mogło zdawać. Zwyczajnie chodziło tu o wyzucie się z całego swego mienia, zwłaszcza gdy zabójstwa po większéj części dopełniały się w klasie ludzi średnio zamożnych, posiadających nie całe wsie, ale tylko części onych. W r. 1396 w Pyzdrach przysądzono Hance za zabicie jéj męża części wsi, posiadane przez dwóch zabójców. W r. 1411 w Kaliszu Ubisława z Sowiny zrzeka się posagu swego i wiana, ubezpieczonych na części mienia męża swego, przekonanego o popełnienie zabójstwa i cała ta część przysądza się żonie zabitego. Szło za tém, że często sami poszukujący główszczyzny, przewidując trudność, na jaką natrafią przy zrealizowaniu jéj, domagali się, aby całą rzecz załatwić polubownym sposobem, do czego téż sądy przychylały się, zastrzegając tylko, że w razie, gdyby do zgody nie przyszło, sprawa przedstawioną będzie na rozstrzygnięcie sądowi (1). Jakim zaś sposobem drogą zobopólnego porozumienia załatwiały się sprawy tego rodzaju, uczą nas powyżéj opisane przy-

---

(1) 1399. Filius Alberti heredis commisit causam suam pro omicidio patris sui avunculo suo *ad concordandum*. Si non concordabunt, ad Colloquium generale (*Księga Piotrkowska*).

padki, pochodzące z lat 1388, 1402, 1418 i 1435. Pokazują niemniéj. że w razie, gdy sam winowajca nie był w możności uiścić główszczyzny, wynajdywał poręczycieli, którzy takową za niego obowiązywali się złożyć.

Równie ważne zachodziły różnice w samym sposobie wypełnienia pokory.

Niekiedy akt pokory spełnia się na wiecu (r. 1388), a może i na roczkach, niekiedy w kościele, zapewne w obec zgromadzonego kleru (r. 1435), niekiedy, jak się zdaje, przed samą tylko obrażoną stroną (r. 1402).

Co do ilości osób, które powinny były towarzyszyć pokorę czyniącemu, widzimy również, iż jeden raz wymagano ich dziesięć (r. 1388), drugi raz dwanaście (r. 1402), a inny znowu aż dwadzieścia (r. 1435). Nie sądzimy, aby różnica ta była zawisła od stanu wyższego lub niższego zabójcy i zabitego, jak to miało miejsce na Morawach, bo we wszystkich tych zdarzeniach zabójcą i zabitym były osoby stanu szlacheckiego; zatém należy to raczéj przypisać miejscowemu zwyczajowi lub po prostu domaganiu się mniéj lub więcéj wygórowanemu obrażonéj strony.

Podług opisu, umieszczonego w księdze Poznańskiéj pod r. 1435, zabójca pokorę odprawiający i towarzysząca mu szlachta występowali boso, z obnażonemi mieczami, przyklękali przed bolejącym, podawali do rąk jego miecz i błagali przebaczenia. O ile i w innych razach akt pokory tym samym dopełniał się sposobem, trudno powiedziéć, przy braku większéj liczby szczegółowych doniesień, zdaje się tylko, że tak zwyczajnie bywało, gdyż w drugiém zdarzeniu wspomina się o wystąpieniu pokorę czyniącego z towarzyszami, niosącymi obnażone miecze (r. 1402).

W ogóle zatém obrząd pokory w kraju naszym podobny był do obrzędów, zachowywanych na Morawach i w Czechach, i w tem tylko różnił się stanowczo od nich, że zwykle dopełniał się nie na cmentarzu i nie u progu kościoła, co mu nadawało więcéj charakter aktu czysto cywilnego. Przypadek pokory Poznańskiéj. odprawionéj w samym kościele, stanowi dotąd jedyny przykład, który ją więcéj zbliża do pokory Czeskiéj.

Zresztą wyjątkowo z czysto kościelno - religijną tendencyą przedstawia się akt pokory z r. 1418, którym na zabójcę nałożony został obowiązek dania wosku na świece w oznaczonych kościołach i obietnica odprawienia pielgrzymek do miejsc świętych, rozumie się, za duszę poległéj ofiary i na uproszenie boskiego miłosierdzia i przebaczenia.

Czy z aktem pokory łączyła się zawsze obietnica pozostania nadal w zgodzie i pokoju z rodzeństwem zwaśnionėm, o czém wspomina księga łęczycka, pod r. 1388, trudno powiedziéć, przy braku znanych nam dotąd doniesień.

Pocieszając się, jak wyżéj nadmieniliśmy, że z czasem wyjaśnią się liczne wątpliwości, któremi jeszcze rzecz o pokorze w kraju naszym jest otoczoną, zwracamy się w końcu do wyrazu *wrożda*, aby objaśnić jego znaczenie i wykazać, o ile on wchodzi w zakres obecnych roztrząsań, a nawet w części je dopełnia.

Wyraz to bardzo dobrze znany w pomnikach prawnych południowo-słowiańskich w formie *wražda*.

W wydanych przez Mikloszica pomnikach serbskich (*Monumenta serbica.* Viennae, 1858) Szczepan Urosz, król serbski (1240—1272), w przywileju, udzielonym kupcom dubrownickim, używa wyrazu *wražda* w dwóch znaczeniach, raz jako oznaczający zabójstwo, drugi raz jako karę za zabójstwo, stanowioną przez króla. Takie samo podwójne znaczenie przywiązuje się do tego wyrazu i w innych pomnikach, które wskazał Daniczyć w swym słowniku staro-serbskim (*Rieczńik.* Biograd, 1863, I, str. 154).

Trzecie znaczenie wyrazu *wražda* zachowały dodatki z XV wieku do Statutu miasta Sebenika. Występuje on tu w znaczeniu pomsty krwawéj na zabójcy. Podług zawartych w nich rozporządzeń, każdy, kto się odważy publicznie wygłaszać i zapowiadać wykonanie pomsty (cridare palam sanguinem propter interfectionem — qui cridaret vraždam), co dawniéj było we zwyczaju, może być bezkarnie zabity (ob. Reitz: *Verfassung und Rechtszustand der dalmatinischen Küsten-Städte und Inseln im Mittelalter. Dorpat*, 1841, str. 392).

Podobnie w starym Statucie Polickim (*Arkiv za povıestnicu jugoslavensku.* Zagreb, 1859) wyraz *wražda* używa się nie tylko w znaczeniu kary za zabójstwo, ale i w znaczeniu pomsty krwawéj, jak np. w § 38.

Jeszcze dobitniéj w Statucie miasta Budua (1442) w § 191 wražda przybiera wyłącznie znaczenie pomsty krwawéj. Wyrzeczono tu, że jeśli by kto wykonał pomstę, czyli wraždę, a miał żonę, żona za nią nie odpowiada („se alcun homo facesse *vendetta* o *vurasda*, et havesse moglie, non si possa levar cosa nissua della sua moglie per la *vendetta*). (*Monumenta hist.-juridica.* Zagreb. 1882—1883; III. 42).

Nie trudno odgadnąć, że między temi różnemi znaczeniami wyrazu *wražda*, zachodzi pewien chronologiczny porządek. Niewątpliwie wyraz ten w pierwotném znaczeniu oznaczał zabójstwo, potém pomstę krwawą na zabójcy, a dopiero późniéj karę, stanowioną przez władzę w zastępstwie dawnéj pomsty.

Miejsca w których księga pyzdrska używa wyrazu wrożda, tak się przedstawiają.

1392: N.. ma termin o zabójstwo ojca, w mowie pospolitéj (in vulgari) *wroszda.*

Rok 1396. Hanka sołtyska z N. stanęła w sądzie na wszystkich rokach w sprawie o zabicie jéj męża. Bratu męża Mikołajowi przysądzoną także została wróżda (vindictam videlicet *wrozdi* lucravit).

R. 1396. Jacko z S. odparł Dobiesława i Ubisława za wrożdę i opłacił przysąd (evasit pro *wroszda* et adjudicatum dedit).

R. 1398. Stawający przed sądem w Pyzdrach H. L. S. między sobą zobowiązali się pod zakładem dwuchset grzywien, że za wrożdę pójdą drogą prawą (fidejubuerunt *za wrozda* jure procedere), a ktoby niedotrzymał zakładu (qui moverit istud vadium), ten opłaci dwieście grzewien.

W pierwszym i trzecim wpisie wyraz *wrożda* występuje w znaczeniu zabójstwa, w drugim zaś w znaczeniu kary za zabójstwo, a czwarty pod tym względem najciekawszy, że zdaje się pokazywać, iż jeszcze na schyłku XIV wieku w jednéj części Wielkopolski dwa były w użyciu sposoby poszukiwania satysfakcyi za zabójstwo albo prywatna pomsta albo wytoczenie sprawy na drogę sądową (1).

Pozostaje jeszcze słów kilka powiedzieć zkąd się wzięły obrzędy czeskiéj i naszéj pokory i jakie stanowisko pokora nasza zajmuje w rzędzie podobnych gdzieindziéj znanych obrzędów.

W nowo zawiązanych i ustalonych społeczeństwach Europy zachodniéj, jeden tylko kościół posiadał skuteczne środki dla złagodzenia a w końcu i przełamania dzikich, do zaciekłości posuniętych namiętności. Osiągnął to za pomocą rozwinięcia i wprowadzenia w wykonanie kanonów pokutnych (canones poenitentiales). Poszedł nawet tak daleko, że obłożył ciężkich winowajców długą publiczną pokutą. Skazany na nią zabójca winien był przez dni czterdzieści w odzieniu pokutném (niekiedy w worku), boso przed drzwiami kościoła, w obec zgromadzonego ludu, grzech swój opłakiwać i dopiero po siedmiu latach wytrwałego spełniania wszystkich nań włożonych obowiązków, otrzymywał rozgrzeszenie. Podobne pokuty publiczne szczególniéj w wieku siódmym i ósmym znajdowały szerokie zastosowanie (2).

---

(1) Wyraz *wrożda* napotykamy jeszcze w bardzo ciekawym akcie wydanym przez profesora Caro (*Liber Cancellariae Stanislai Ciolek* II. 238) w znaczeniu: zatarg, niesnasek (rancores, displicenciae).

(2) Dokładnie o penitencyach poucza Wasserschleben (*Abendländische Bussordnungen*, Halle 1881). Uzupełnił go ks. Schmitz w dziele *Die Bussbücher.* Mainz, 1883.

Z drugiéj strony nie wiele co późniéj zjawiają się przykłady publicznych aktów przebłagania silnych potentatów za popełnione przeciw nim przewinienia. I tu winowajca przedstawia się boso, w odzieniu pokutném i zdaje się na łaskę i niełaskę obrażonego władcy.

Niebawem kościół idzie daléj. W jurysdykcyach swoich nie poprzestaje na samém spełnieniu pokuty kościelnéj, ale żąda jeszcze, aby zabójca po otrzymaniu rozgrzeszenia uczynił akt skruchy przed krewnymi zabitego, otrzymał ich przebaczenie i zobowiązał się pozostać pokornym ich sługą.

Możeby w tém szukać należało pierwszego zarodku naszéj pokory. W każdym razie zaszczepione w społeczeństwach uczucia skruchy i przebaczenia, nie pozostały bez dalszego rozwinięcia.

Jakoż począwszy od końca wieku trzynastego przez cały wiek czternasty i piętnasty, spotykamy w różnych stronach Niemiec, w stosunkach szlachecko-feodalnych i miejskich, liczne przypadki solennych publicznych aktów przebłagania za dokonane zabójstwo. Zdarzały się one wszędzie tam, gdzie miejscowe prawa dozwalały załatwiać sprawy o zabójstwo przez ugodę stron. Zwyczajnie w razach, w których winnymi byli wyższa szlachta lub ich lennicy, winowajcy obowiązani byli występować w sukniach pokutnych, boso z obnażoną głową, trzymać w rękach świecę woskową i obnażone miecze, udać się w procesyi na grób poległéj lub poległych ofiar i tam ich krewnych na klęczkach o przebaczenie błagać. Liczba towarzyszących winowajcom w pochodzie i obowiązanych do podobnego jak oni wystąpienia, bywała rozmaitą, dochodziła niekiedy aż do stu (1).

Prócz tego, w ważnych wypadkach zobowiązywano winowajcę do odbycia pielgrzymki do Rzymu, lub do innego szczególniéj z cudów wsławionego miejsca, jako to do świętego Jakóba w Kompostelі, a nawet do grobu Pańskiego w Jerozolimie, niemniéj do złożenia pewnéj wagi wosku na rzecz kościołów i odprawienia oznaczonéj liczby mszy za duszę poległéj ofiary.

W miastach, przy zawarciu zgody z krewnymi zabitego, winowajca przyjmował także na siebie różne obowiązki, albo wystawić kaplicę, albo udzielić kościołom fundusze na ich reparacyą, albo zaopatrywać kościół w oświetlenie, albo dać jakową sumę na wsparcie biednych i chorych, albo udzielać bezpłatną łaźnię ubogim i inne temu podobne.

---

(1) Zaczerpnięte z dokumentów z r. 1301, 1367, 1383, streszczonych przez Frauenstädta.

Tymczasem kościół, gdy chodziło o udzielenie rozgrzeszenia za dokonane zabójstwo, nie przestawał wznawiać a nawet obostrzać dawnych zachowań. Mamy tego przykład w dokumencie ogłoszonym przez Maciejowskiego, (*Historya prawod.* VI. str. 412—413).

W r. 1455 niejaki Maciéj Trzaska laik dyecezyi poznańskiéj poszukiwał w Rzymie rozgrzeszenia za dokonane zabójstwo na osobie księdza. Wysłuchano prożbę jego, ale polecono, aby prócz zwykłych przy rozgrzeszeniach zachowań, nagi i boso, trzymając w ręku rózgę, stanął przed drzwiami większych miejscowych kościołów, gdzie dokonane zabójstwo, i tamże dozwalał się smagać w obecności zgromadzonego ludu i publicznie wygłaszać dokonaną przez siebie zbrodnię.

Na ciekawe jeszcze akta, jeśli nie zupełnie tego samego gatunku, to przynajmniéj ściśle związane z poprzednio opisanemi, natrafiamy we Flandryi.

Zabójca, po zawartéj za sprawą pośredników zgodzie z krewnymi zabitego, w oznaczoném na to miejscu, w koszuli płóciennéj, boso, z gołą głową i związanemi rękami przyklękał przed najbliższym z pomiędzy tych krewnych, a pisarz sądu obwieszczał, że prosi o przebaczenie. To samo powtarzało się jeszcze dwa razy, poczem błagający o przebaczenie wstawał i dawał pocałunek wzmiankowanemu krewnemu. Następnie obecny wyższy urzędnik (ammann) polecał przeczytać spisany dokument przebłagania i polecał zachowanie onego pod przysięgą, w końcu zaś tak do obecnych odzywał się: słuchajcie co wam w imie naszego pana i naszego miasta zapowiadam: wygłaszam i nakazuję pokój między wami i waszymi następcami; zakazuję wam czynem lub słowem obrażać się, a ktoby z was nie spełnił tego, będzie karany w imie naszego pana, księcia Brabancyi, jako gwałciciel pokoju; powołuję was obecnych na świadków, że w ten sposób obwieściłem i nakazałem pokój (1). Cały ten obrzęd razem wzięty zwał się pokojem krwi (paix du sang) (2).

Jakkolwiek liczba przytoczonych danych jest bardzo szczupła i jakkolwiek zbywa dotąd na faktach, któreby wypełniły wszystkie luki pod względem czasu i rozmaitych miejscowości, tyle wszakże zdaje się być oczywistém, jak to powyżéj ze względu na naszą po-

---

(1) Wzięto to z aktu spisanego w r. 1437, a podanego w dziele Warnköniga: *Flandrische Staats und Rechtsgeschichte* III, 2.

(2) Żałujemy, że nie mieliśmy pod ręką pracy p. Defacqz, która przedmiot ten szczegółowo objaśniła i dwóch innych pism akademika Poullet: *Histoire du droit criminel de Brabant* i *Histoire du droit criminel du pays de Liège* (oba drukowane w Memoirach akademli Brukselskiéj).

korę namieniliśmy, iż wszystkie różnego gatunku akta publicznéj i formalnéj skruchy, przebłagania i przebaczenia za dokonane zabójstwo, zaród swój biorą w publicznéj penitencyi. Kościół natchnął myśl powstania ich, a czas, miejscowe stosunki i usposobienia właściwe społeczeństwa wyrobiły różne ich postaci.

Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, czeska i nasza pokora powstały z naśladownictwa niemieckich zachowań. Epoka w któréj zjawia się w Czechach i u nas pokora przypada prawie na ten sam czas, to jest w Czechach może już na sam koniec wieku trzynastego, a u nas jak wnioskować można z ustaw mazowieckich, na początek wieku czternastego, albowiem statut mazowiecki z r. 1390 nakazując wykonanie pokory wedle starego zwyczaju (veniam pokora *juxta antiquam consvetudinem* facere debebit), dość oczywiście wejście jéj w użycie odsuwa ku początkowi tego wieku.

Jeżeli jednak tak jest, tedy pokora czeska wyprzedziłaby naszą i prawdopodobnie wpłynęłaby na jéj zaszczepienie i rozwinięcie w naszym kraju. Która z części kraju naszego, pierwsza ją przejęła, dotąd choćby w przybliżeniu oznaczyć nie można. Jednorodności ich zresztą dowodzi wspólność nazwania.

W istocie swéj, wszystkie przez nas opisane lub wzmiankowane akta, w zupełności są z sobą zgodne, wszystkie mają na celu jawne upokorzenie się, przebłaganie i otrzymanie przebaczenia ze strony obrażonego rodzeństwa. Różnica, jaka między niemi zachodzi głównie polega na tém, że niektóre z nich wkluczają jeszcze w siebie obowiązki zmierzające ku uproszeniu poległéj osobie wiecznego pokoju i uzyskaniu dla siebie samego boskiego przebaczenia, inne znowu mieszczą w sobie zaręczenie utrzymania między stronami pokoju i zgody. Pod tym szczególniéj względem zasługują na uwagę akta flamandzkie, którym przedewszystkiém chodziło o zapewnienie pokoju powszechnego i to nietylko na pierwsze chwile, ale na czas nieograniczony; zkąd pochodziło i ich nazwanie i udział, który w nich przyjmowali urzędnicy, stojący na straży pokoju całego kraju i działający w imieniu panującego.

Nasza przeciwnie pokora, o ile ją znamy, w większéj liczbie zdarzeń, ogranicza się prawie wyłącznie na upokorzeniu przed stroną obrażoną i uzyskaniu od niéj przebaczenia. Pod tym względem nosi ona na sobie przeważnie cechy aktu prywatnego między zainteresowanemi stronami, i to właśnie nadaje jéj w rzędzie tego rodzaju aktów, oddzielne stanowisko, zresztą zupełnie zgodne z ogólnym charakterem naszych instytucyj.

*R. H.*

# MICKIEWICZ W ODESSIE

## I TWÓRCZOŚĆ JEGO Z TEGO CZASU.

(Wyjątek z obszerniejszéj pracy: „Adam Mickiewicz, jego życie i pimsa“).

Przez zbieg okoliczności i wypadków znalazłszy się w Paryżu, mimowoli pomyśléć tu musiałem o tych naszych wielkich ludziach, którzy na bruku tutejszym tyle lat przepędzili, a już koniecznie do największych, między wielkiemi, należał nieśmiertelny wieszcz nasz Adam, którego wspomnienia pozostały tu, nie tylko w rodzinie i w małym już dzisiaj, przy życiu znajdującém się, kółku jego znajomych i przyjaciół, ale także i wśród Francuzów.

Naród dzisiaj, wdowi swój grosz składając, ma dźwignąć mu pomnik, godny mistrzów nad mistrze, popioły jego chce przewieść na ziemię ojczystą, czyż więc do wszystkich tych dowodów czci i uwielbienia nie należałoby dołączyć wyczerpującéj biografii jego, czyż nie należałoby się na nowo rozpatrzéć w pozostałéj po nim spuściźnie i odkryć warunki, w jakich utwory jego powstawały?

Zadanie to niezawodnie wielkie i trudne, ale okoliczności zdawały się bardzo sprzyjające, gdyż najstarszy syn wieszcza p. Władysław w podobnéj pracy całkowitą pomoc nam przyrzekł, a znający poetę, chętnie opowiadaniami swemi zamiar nasz poprzéć obiecali. W długiéj téj i mozolnéj pracy dochodzimy do końca.

A jednak nie mamy przekonania, żeby wykonanie, o tyle o ile przynajmniéj, odpowiedziało chęciom. Danych pewnych okazało się mniéj, aniżeli ich spodziewać się było można, a ci, którzy Mickiewicza znali, w pamięci swéj, przez wiek złamanéj, zachowali szczegóły, które może do najmniéj interesujących należą.

Bez względu na zawady, w pracy zamierzonéj nie ustawaliśmy, ale owszem pchaliśmy ją daléj, a wczytywanie się w utwory wieszcza,

wyjaśniało wiele rzeczy tych, których dopowiedzieć nie byli w możności ludzie.

Zamierzona praca miała być rodzajem Mickiewiczowskiej encyklopedyi, miała pomieścić w sobie wszystko, bodaj-by najdrobniejszy szczegół, do życia poety się odnoszący, a wykazanie o ile istniejące dotychczas o nim podania są słuszne lub mylne, miała krytycznie przygotować materyał dla przyszłego biografa. Do tego uważaliśmy za stosowne dodać jak najszczegółowszą bibliografią, do Mickiewicza się odnoszącą, tudzież zastanowić się nad pojedyńczemi jego utworami, w miarę tego, jak one w genialnym tym umyśle powstawały.

Myliłby się, kto-by tę część ostatnią brał za krytykę—nie; były to tylko usiłowania wynalezienia nici przewodniéj, która-by jak snujące się pasmo z kłębka Aryadny, przeprowadziła czytelnika przez labirynt myśli, z których część znaczna w życie dzisiaj już przeszła, ale pozostały także tam i takie, które dopiero w szeregu wieków spełniać się będą. U artystów życie i utwory łączą się tak ścisłym węzłem, że ich rozłączyć od siebie nie można i, chcąc mieć bodajby względną całość, trzeba od razu i współcześnie oba przedmioty traktować. Metody téj się trzymając, po kilku leciech przyszedłem do zamknięcia swéj pracy. Wadliwość jéj i braki czuję bardzo dobrze, jednak pod korzec chować jéj nie myślę, bodajby z tego względu, że krytycznie oceniwszy wszystkie dotąd o Mickiewiczu prace, przygotowałem materyał, który przyszłym pracownikom posłużyć może.

Praca w ten sposób powstała, zrobiła się w rozmiarach swych bardzo obszerna, a warunki, w jakich wydawcy nasi pozostają, może nie prędko na światło wyjść jéj pozwolą. Zanim więc to nastąpi, jeden rozdział ośmielam się zakomunikować czytelnikom Ateneum.

---

W styczniu 1825 roku w skutek podań, zrobionych do ministra Szyszkowa, tudzież przyjaznych z domem jego stosunków, dzięki interwencyi Przecławskiego (*Cyprynusa*), Jeżowski i Mickiewicz mianowani zostali profesorami liceum Riszeliego w Odessie, z pensyą od sześciuset do siedmiuset pięćdziesięciu rubli rocznie i z jednorazowym funduszem trzystu rubli dla każdego na koszta podróży.

Ponieważ Franciszek Malewski dostał także nominacyą do bióra generał-gubernatora kraju noworosyjskiego, hr. Woroncowa, przeto na niego, jako w rzeczach życiowych najpraktyczniejszego, zdano kłopoty podróży długiéj, bo około 1500 wiorst wynoszącéj, która tém trudniejszą się stawała, że zima, od nowego roku począwszy, zbyt stałą nie była i na sanną drogę liczyć się nie dawało. Po-

nieważ wszyscy trzéj wygody pocztowych kibitek aż nadto dobrze znali i puszczać się niemi nie mieli odwagi, przeto zrobiono składkę i Malewski wydelegowany został na tak zwaną *tołkuczą* dla kupna *tarantasa*, powozu krytego, do którego by tylko pocztowe wynajmywano konie. O szczególe tym donosi on rodzinie, w słowach: „Dziś tylko co wróciłem ze sklepów pojazdowych, gdzie szukałem bryczki krytéj. Musimy się tak wybierać, bo od Witebska sannéj drogi nie ma“.

W tarantasie owym, posiadającym tę zaletę, że w nim nie tylko siedziéć, ale i leżéć wygodnie można, wraz ze wszystkiemi tabołami, który cały ich stanowiły majątek, podług wyrażenia filozofa: *omnia mea mecum porto*, ruszyli trzéj nasi znajomi, w dobrym humorze, gdyż kieszeń ich o tyle o ile zabezpieczona była, zdrowie służyło, a nadzieja ujrzenia nowych miejsc i nowych ludzi, tudzież dotknięcie w podróży o rubieże swojego kraju dawało im wiele otuchy. Data wyjazdu tego, o ile da się to ustanowić z dokumentów urzędowych oraz korespondencyi, przypadła 7 albo 8 stycznia, starego stylu.

Z dziejów téj długiéj podróży, trwającéj z górą miesiąc, jeden tylko da się zanotować szczegół. German Hołowiński, marszałek powiatu bohusławskiego i zamożny właściciel ziemski w guberni Kijowskiej, zatrzymał ich przez dni parę w majątku *Steblowie*. Malewski, jeśli nie sam, to przez ojca był rodzinie téj znajomy, a jeśli dla niego podwoje gościnnego domu otwierały się szczerze, autor Ballad i Dziadów mógł liczyć na serdeczne przyjęcie. Ugaszczano ich, jak tylko szlachcic polski umie; zaprzysiężono sobie wzajemnie przyjaźń wieczną, dano słowo pisywania, a Hołowińscy przyrzekli, że z nastaniem pory wiosennéj do Odessy zjadą.

Za gościnność tę, nie licząc kilku wymienionych listów, poeta wypłacił się rymami i w imionniku pani Hołowińskiéj zapisał znany wiersz:

> Błądzącym wśród ciasnego dni naszych przestworza,
> Życie jest wązką ścieżką, łączącą dwa morza:
> Wszyscy z przeszłości mglistéj w przyszłość lecim mroczną,
> Jedni najprościéj dążą i najrychléj spoczną;
> Drugich na stronę wiodą łudzące widoki:
> Plany, ogrójce wdzięków i sławy opoki.
> Szczęśliwi, jeśli goniąc mary wyobraźni,
> Przed końcem drogi znajdziem świątynię przyjaźni!

Wspomnienie serdecznéj téj gościny i miejsc tam poznanych odżyło po kilku leciech jeszcze w „Panu Tadeuszu“, we wspomnieniu o sławnéj lipie przed domem Hołowińskich nad Rosią.

Na początku lutego przybyli podróżni nasi do Elizawetgradu, chociaż bowiem dla Malewskiego zatrzymywanie się w tém mieście nie stanowiło konieczności, Mickiewicz jednak i Jeżowski winni byli zameldować się kuratorowi odeskiemu, hr. Janowi Józefowiczowi Witte, który, jako jenerał dowodzący pułkiem, przebywał w mieście, gdzie pułk ten konsystował.

Przyszłych podwładnych swoich, Jeżowskiego i Mickiewicza, przyjął kurator bardzo dobrze i zatrzymał ich przez dni kilka, wyczekując póki kuryer wysłany do Odessy, do dyrektora tamecznego liceum, nie przywiezie mu objaśnień, o ile dla nowych profesorów miejsce wolne się znajdzie. Niestety, miejsc wakujących nie było, hr. Witte atoli radził kandydatom jechać na miejsce, zapewnił, że będą tam mieli skarbowe mieszkanie, stół i pensyą, a wakans zapewne niebawem się otworzy.

Stosownie do polecenia tego przyjechali na miejsce i Mickiewicz z Jeżowskim zamieszkali na trzeciém piętrze lyceum, na prawo od schodów. Malewski, do innéj mając wstąpić dykasteryi, nie miał prawa z nimi razem tu się pomieścić, i mylą się ci, którzy z niego towarzysza kwatery Mickiewicza robią. Sam on wyraźnie o tém oświadcza w liście do siostry, w następujących słowach: „Życie tu dość tanie dla brzucha, ale mieszkania, choć teraz tańsze, dość drogie. Za stancyą z przedpokojem płacę 25 rsr. bez stołka, łóżka, ani żadnéj rzeczy, która jego jest“.

Do kilkomiesięcznego pobytu Mickiewicza nie brakuje nam szczegółów, a to dzięki uprzejmości pani Lacroix (1). Ona, kiedy Mickiewicz do Odessy przybył, tam się już znajdowała, ona z poetą naszym wycieczkę do Krymu robiła i na krótko przed wyjazdem poety do Moskwy nadmorskie miasto opuściła. Że zaś Mickiewicz stałym, bo codziennym gościem w domu jéj bywał i że szczegóły przez nią udzielane dają się sprawdzić, tak korespondencyami poety,

---

(1) Pani Lacroix, z domu hr. Karolina Rzewuska, siostra powieściopisarza Henryka, była podówczas za pierwszym swym mężem Hieronimem Sobańskim i podług świadectwa licznych do dzisiejszego dnia żyjących ludzi, między mieszkającymi podówczas w Odessie Polkami, należała do najpiękniejszych. Oprócz tego, niezmiernie wesoła, żywa, wszechstronnie wykształcona, wielbicielka sztuk pięknych i wyborna pianistka, była niejako duszą towarzystwa. Po śmierci męża wyszła za jenerała Witta, a po rozwodzie z nim, za jenerała Czyrkowicza. Ostatecznie w Paryżu poślubiła znanego francuzkiego pisarza p. Lacroix i mimo zbliżającéj się dziewięćdziesiątki, cieszy się zdrowiem i zupełną świeżością umysłu. Chcąc od niéj dowiedzieć się szczegółów, do Mickiewicza się odnoszących, poznaliśmy ją właśnie w epoce, kiedy srodze śmiercią siostry swéj Balzac'owej przygnębiona była. Mimo to wszystko, na co pamięć jéj pozwoliła, opowiedziała i miło tutaj nam wyrazić za tę jéj gotowość serdeczne podziękowanie.

jak jego przyjaciół, oraz twórczością Mickiewicza z tego okresu, przeto zebraliśmy je chętnie i zupełne znaczenie autentyczności do nich przywiązujemy.

Odessa więc wszystkim podróżnikom naszym podobała się bardzo. Mile na nich podziałał charakter czysto europejskiego i kosmopolitycznego miasta, a przy łagodnéj zimie ówczesnéj i przy morskiém powietrzu, po klimacie petersburskim, znaleźli się oni tutaj jakby w raju. Na domiar szczęścia trafili jeszcze na porę południowych owoców, których poeta nasz był wielkim amatorem i używał aż do przesytu. To téż w obfitości téj rozkoszował się; Malewski, w liście swym do rodziny pisze: „Mickiewicz mówi, że płacą tu za to, żeby jeść apelsyny, a orzechami włoskiemi trotuary wykładają“.

Nie na samych przyjemnościach czas im schodził i Mickiewicz, który nawykły był do pracy, rozpoczął na dobre naukę języka włoskiego. Że zaś łacinę i francuzki posiadał gruntownie, przychodziło mu to łatwo i zaraz zaczął czytać Petrarkę, a jednocześnie po knajpach wyszukiwać Włochów, z którymi mógłby w rozmowie się wprawiać. Że była to metoda dobra, oraz, że szczerze nauką tą zająć się musiał, wnosić można ztąd, że Odyniec świadczy, iż kiedy razem do Włoch zajechali, Mickiewicz bardzo biegle językiem włoskim władał. Ani w Moskwie, ani w Petersburgu przykładać się do niego nie mógł, zapasy te więc musiał wynieść z Odessy, a przejęcie się piewcą z Wokluzy sprawiło, że szczerze w nim zasmakował.

Do owych ćwiczeń językowych należało także uczęszczanie na operę włoską. Mickiewicz muzykę bardzo lubił, gruntownym jednak znawcą jéj nie był, a jedynie oceniał ją ze względu na wrażenia, jakie na nim robiła. Ztąd kiedy w smutku a goryczy chwytał się chciwie motywów rzewnych i chętnie się w nie wsłuchiwał; więcéj jeszcze miłował muzykę, kiedy był w usposobieniu wesołém i przy dobrym humorze.

Humor ten od czasu przyjazdu do Odessy nie odstępował go wcale i bez względu na uwagi towarzyszów, którzy oszczędność zalecali, przedstawień opery włoskiéj nie chybiał.

Ów jego ustawiczny dobry humor, jak również zamiłowanie dla opery, dobrze maluje list na imieniny panny Zofii Malewskiéj napisany. Żeby go jednak dobrze zrozumiéć, należy opowiedziéć okoliczność, tłómaczącą czas powstania drobnego jego wierszyka, zatytułowanego *Chór Strzelców*.

Mickiewicz, wraz z dwoma swymi towarzyszami, znajdował się na przedstawieniu opery Webera: *Freischütz*. Uderzył go tu przedewszystkiem chór strzelców, boć i wyznać potrzeba, że z całéj opery miejsce to najwydatniejsze i zaraz na drugi dzień napisał poeta wier-

szyk: „Wśród opok i jarów“, który nie jest wcale żadném tłómaczeniem, jak chcą niektórzy wydawcy i krytycy. Rano, przed udaniem się do biura, nawiedził Jeżowskiego i Mickiewicza Malewski i poeta jako zabawkę, stworzoną bądź rankiem, bądź wieczorem po powrocie z teatru, wierszyk ten mu ofiarował. Ponieważ obie siostry Malewskie, a szczególniéj Zofia, były bardzo muzykalne, przeto Franciszek posłał jéj wierszyk z prośbą, żeby go pod muzykę Webera podłożyła. Panna Zofia z polecenia wywiązała się prędko, a Mickiewicz, dowiedziawszy się o tém, miał pretensyą do Malewskiego, że wiersz ten, potrzebujący jeszcze poprawek, bez jego wiedzy odesłał, ale ponieważ to się już stało, więc do poprawek więcéj się nie zabrał.

Mimowoli przychodzi na myśl pytanie, jakie wady w wierszu tym widział Mickiewicz, i nie omylimy się chyba twierdząc, że głównie gniewać go musiał ogólny wierszą tego charakter. Rzeczywiście w żadnym utworze Mickiewicza nie można spotkać takiego braku barwy narodowéj jak tutaj. Strzelec „król lasów i gór“ nie ma nic w sobie z natury myśliwego Litwina, a przyśpiewka:

Dalejże, dalejże z tropu w trop,
Z tropu w trop,
Hop, Hop!

jest tylko hołdem oddanym muzyce, ale nie zgadza się zupełnie z obyczajami zławiania się strzelców na Litwie, obyczajami, które przecież Mickiewicz znać musiał dobrze, kiedy je po dłuższym daleko z krajem rozdziale tak świetnie malował w „Panu Tadeuszu“. Tam myśliwi nie zwołują się nigdy krzykami na stanowiskach, a tém bardziéj na tropach.

Druga okoliczność, która tu Mickiewicza jako artystę razić musiała, były to zbyt śmiałe i zbyt przesadzone przenośnie. Poeta, który tak znakomicie umiar artystyczny zachowywać potrafił, nie wątpimy, że po głębszym namyśle przekreślił-by taką na przykład strofę:

Czy palnie na smugi,
Czy w górę do chmur,
Tam krwi płyną strugi,
Ztąd leci grad piór.

Jeszcze więcéj zaś może rażącém jest nazywanie ptaków *lataczami*:

Czyj dowcip gnał rojem
Lataczów do sideł.....

Złe jednak z winy gorliwości Malewskiego się stało i panna Zofia pięknie wypisane nuty, wraz z kaligraficznie skopiowanym

wierszem przysłała poecie, on więc nie mogąc już na to, co się stało, poradzić, odpisuje jéj z podziękowaniem, a ustęp z jego listu jako próbkę wybornego humoru i jako rzecz wielce charakterystyczną przytaczamy tutaj:

„Wielki ciężar czuję na sumieniu, pisze Mickiewicz, że za łaskawą pamięć pani dotąd nie miałem śmiałości podziękować. Piosenkę i nuty, własną jéj ręką pisane, zachowałem jako drogą pamiątkę. Nie dziwi mnie tak piękny charakter i rysunek, bo jeśli idzie o malowanie pieśni i głosu, komuż to łatwiéj udać się może, jeśli nie królowéj śpiewu. Chciałem wówczas w kilku wyrazach przesłać moje podziękowanie, uprosiłem kartkę papieru u Franusia (Malewskiego), aż o to naprzeciwko mnie zasiada pan Józef Jeżowski, z całym przyborem korespondencyi. Z najpiękniejszych arkuszy welinowych wybiera najpiękniejszą ćwiartkę, temperuje najpiękniéj, najpiękniejsze pióro, widzę z uśmiechającéj się twarzy jak mu płyną dowciwne komplimenta, rzuciłem oko na sztychowane, że tak powiem litery.... pióro wypadło mi z ręki. Teraz znowu straszniejsze jeszcze aparaty: cyrkle, globusy, pędzelki, farby..... Miał być zdjęty plan królestwa Czarnomorskiego i przesłany pani, jako monarchini. Cóż za ofiarę mógłbym obok takich podarunków przesłać? Ale zacząłem myśléć filozoficznie i deklamować w duchu: „o panie Józefie, dumny ze swoich talentów stolarskich, malarskich i pisarskich, oto, rozpocząwszy zbyt wielkie dzieło, nie skończyłeś na termin. Po cóż takie natężenie? Alboż nie wiesz, że królowie są tak bogaci, że w ich oczach całe fortepiano jest równą drobnostką, jak niestrojne, o kilku strunach skrzypce poetyczne, że morze ze wszystkiemi brzegami, ma tyle u nich wartości, co drobna koncha..... itd.“

Bez względu atoli na swobodę życia i miłe z kolegami stosunki, Mickiewicz, bodajby ze względu na sławę, jaka już do jego imienia przywiązaną była, nie mógł długo pozostać nieznanym. Pierwszy odszukał go Bonawentura Zaleski, szlachcic serdeczny, gościnny i wszystkich do stołu swojego ciągnący i póty wizytami, zaproszeniami na obiady i herbaty, tudzież naprowadzaniem coraz świeżych gości, poetę bombardował, póki ten, nie spostrzegłszy się nawet jak i kiedy, wciągnięty został w koło wielkoświatowego życia.

Dla Mickiewicza sposób życia i sfera, w jaką go wciągnięto, była nowością. Przestając dotychczas głównie z kolegami, lub rodzinami profesorów, o świat wyższy arystokratyczny ocierał się tylko przelotnie i przypadkowo, jak na przykład w czasie krótkiego pobytu w Szczorsach u Chreptowiczów. Rodzina Wereszczaków, szlachty zamożniejszéj również jak i Puttkamer, wydawali mu się już panami; ale tu dopiero poznał panów prawdziwych, bądź potomków

starych rodów, bądź bogaczów, którzy, obyczajem polskim, rzucali obficie złotem, aby się przed obcymi pokazać, bądź wreszcie arystokracyą rosyjską. Polaków w tém niedawno założoném, a prawdziwie już kosmopolityczném mieście było bardzo wielu: naprzód więc Bonawentura Zaleski, możny obywatel ukraiński, z Pustowar w skwirskim powiecie, Hieronim Sobański, z młodą swą żoną i bratem jéj hr. Henrykiem Rzewuskim, Sobańscy: Gotard, Izydor i Aleksander, Nowowiejski Mikołaj z Humiennik, Kajetan i Aleksander Podhorodeńscy, Szemiotowie, Zagórscy, Ignacy Miączyński, dwaj Zalescy i wielu innych. Wszystko szlachta można, wychowana przeważnie na uniwersytecie Wileńskim, lub w liceum Krzemienieckiém, wypolerowana za granicą i ogładzona na prawdziwie pańskich salonach. Z młodzieży bawił tu także w téj epoce młody Stanisław Moniuszko, ten, który późniéj tak chętnie talent swój oddał na usługi poezyi Mickiewicza. Większa część zebranych bawiła tu z żonami i córkami i prowadziła otwarte domy, ale nie brakło też i młodzieży figlarnéj, swawolnéj, hulaszczéj, która idąc za tradycyami tężyzny, z głębi Ukrainy przywiozła tu z sobą bałagulskie nawyknienia.

Z towarzystwem tém chętnie łączyła się arystokracya i wysocy urzędnicy rosyjscy, a więc: generał-gubernator hr. Woroncow, późniéj mianowany księciem, hr. Guryew, gubernator Odessy, z młodą swą, a piękną żoną, i hr. Witte, kurator, który z Elizawetgradu często tu przyjeżdżał i miał w Odessie zbytkownie urządzony pałac. Młodzieży dostarczali wyżsi oficerowie armii, a wśród nich do prawdziwych Lowelasów, nie tyle z wdzięków, ile z fortuny należał jenerał Witt.

Przez całe to towarzystwo Mickiewicz przyjęty był co się zowie z otwartemi rękami, sława jego bowiem, jako autora Dziadów, okoliczność, że był politycznym wygnańcem, niemal więźniem i wiek jego młody, który każdemu prawie zawsze wiele wdzięku dodaje, z góry jednały dlań serca wszystkich. Wieść o mającym nastąpić jego przyjeździe tutaj wcześnie w towarzystwie polskiém się pojawiła i zrozumiéć łatwo, że skoro tylko w liceum, wraz z Jeżowskim się zainstalował, w spokoju go tu nie zostawiono długo. Najpierwszy zjawił się do niego Bonawentura Zaleski i póty przybyszów z protekcyi swéj i zaopiekowania się nimi nie wypuścił, póki ich nie zapoznał ze wszystkimi, mieszkającymi w Odessie Polakami. Na salonach polskich wiązały się znajomości międzynarodowe i rozpoczynała się owa towarzyska pańszczyzna, która dla ludzi miłujących samotność jest klęską, nie mającą porównania z żadną z plag egipskich. Mickiewicz z początku przykrego owego wrażenia doznał,

później jednak w to życie próżniacze wciągał się mimowoli i coraz w niém więcéj smakować poczynał.

Pierwsze wrażenie ze wzajemnego zetknięcia się, tak dla ówczesnego, modnego, odeskiego, świata, jak i dla poety nie było zbyt korzystne. Mickiewicz w owych Polakach, posługujących się prawie wyłącznie francuzkim językiem, w ich wielkoświatowych manierach i w ich chętném wiązaniu się z cudzoziemcami, dojrzał barwy kosmopolitycznéj, i smutno mu się zrobiło na ich woskowanych posadzkach. Modny świat znowu, a szczególniéj nadobna jego połowa zawyrokowala wprawdzie, że młody poeta jest bardzo pięknym mężczyzną, jednak znalazła w nim niezbyt wielką łatwość w salonowém życiu, pewną posępność i nazbyt duży zapas litewskiéj niezręczności.

Pierwsze to wrażenie atoli rozchwiało się prędko. Mickiewiczowi wiek jego młody, oraz serdeczność, z jaką go w tych kółkach przyjęto, kazały być pobłażliwym na dostrzeżone wady; w towarzystwie zaś postawiono twierdzenie, że rzekomy brak w młodzieńcu światowéj łatwości i ogłady jest *oryginalnością*, bez któréj nie wyobrażano sobie wielkiego poety. *Il est original*, powtarzano, *mais tout de même, bon enfant*. Mniéj pobłażliwie sądzono Jeżowskiego i Malewskiego, gdyż wyrażano się o nich: *Ce sont des savants mais ennuyants a faire mourir*. Ci ostatni, a zwłaszcza Jeżowski, w towarzystwie tém nie bardzo smakowali i tylko w razie ostatniéj konieczności, kiedy nie było żadnego sposobu wymówienia się, udział w niém brali.

Najpierwéj co do pań na rzecz Mickiewicza korzystny przełom się zrobił i wszystkie one na wyścigi poetę ku sobie ciągnęły, a każda z nich najszczęśliwszą się czuła, kiedy właśnie w jéj domu Mickiewicz jakąś oryginalność popełnił. O fakcie podobnym opowiadano sobie natychmiast, na wizytach udzielano wszystkie najdrobniejsze szczegóły i zazdroszczono sobie wzajemnie.

Najszczęśliwszą pod tym względem była p. Hieronimowa Sobańska, Mickiewicz bowiem dom ten bardzo ukochał, raz, z powodu uprzejmości, wykształcenia i wdzięków gospodyni, a powtóre, że brat jéj Henryk Rzewuski opowiadaniami swemi przykuwał go tutaj po całych godzinach. Był to podówczas człowiek jeszcze młody, prawdziwie pańskiéj dystynkcyi i wyszukanych manier pełen, obdarzony siłą i ogniem, bystry w spostrzeżeniach, a przytém niezmiernie dowcipny. Konserwatyzm jego, który się późniéj do krańcowości rozwinął, podówczas nosił na sobie jedynie barwę patryotyczną, nie kaleczył i nie ranił jadowicie, jak to działo się późniéj.

Mickiewicz mówił bardzo biegle po francuzku, niezręcznym w życiu światowém nie był wcale, nie chciał tylko poddawać się biernie pod jarzmo czczych i pustych form, a wolał zawsze samym sobą zostawać. Naturalność taka i pewność siebie, nie tylko dają swobodę ruchów jednostce, ale imponują jeszcze pospolitym niewolnikom salonu. Jak zaś w tym względzie zwykł bywać swobodnym, świadczy pomiędzy innemi następujący szczegół. Poeta nasz był wielkim amatorem kawy, a w prawdę zasady, żeby jéj należało używać tylko w pewnych porach dnia, stanowczo nie wierzył i rządził się w tym względzie swojemi upodobaniami, tak jak niegdyś w Wilnie po kilka dni z rzędu nie żył niczém więcéj jak owocami, narażając przez to poczciwego Maryana Piaseckiego na liczne obawy. Otóż do Sobańskich, dokąd miał stałe zaproszenia, wpadał w najrozmaitszych godzinach i, powitawszy prędko gospodarzy, a nierzadko i zebranych gości, formułował zaraz kategorycznie swoje żądanie, w tych słowach: „Ja chcę kawy, niech tylko będzie z tłustą śmietanką i grubym kożuszkiem“. Pijąc ją, zajęty rozmową lub słuchaniem, późniéj wypróżnioną filiżankę wręczał gospodarzowi, gospodyni, lub któremu z gości, biorąc ich w roztargnieniu za służących. Pomyłka podobna jest, jak to opowiada Fantille i Wojcicki, a jak również stwierdza to p. Lacroix, zdarzyła mu się także na salonach kuratora Witte. Tym razem upoważnionym do odniesienia filiżanki był jenerał Witt, figura w stosunkach urzędowych bardzo wysoko położona, tak, że inni goście, przeważnie urzędnicy, lub niżsi oficerowie, ścierpli ze zgrozy na widok podobnego przekroczenia etykiety. Jenerał tylko, który podówczas zaliczał się już do wielbicieli p. Sobańskiéj, a wiedział, że w jéj domu Mickiewicz był *enfant gâté*, nie tylko podaną filiżankę odniósł, ale się zaraz z tém przed panią Karoliną pochwalił.

Drugim domem, w którym Mickiewicz często bardzo przebywał i najczęściéj na obiady się dostawiał, był dom pp. Bonawenturów Zaleskich. Tu wszystko, począwszy od kuchni, było szczerze polskie, a lubo towarzystwo cudzoziemskie zbierało się także w tym gościnnym domu, wszyscy jednak poddawali się niejako obyczajowi polskiemu. Kierunek i ton taki przyjęciom nadawała głównie pani Zaleska, kobieta pod każdym względem wyższa, wysoko wykształcona i wszystko co polskie swém sercem kochająca. W stosunku do Mickiewicza postawiła się ona zaraz jakoby matka i nieraz za jego lekkość, któréj dowody, jak to zaraz zobaczym, dość często się zdarzały, surowo go gromiła. Przyjaźń dla niéj i dla całego domu Mickiewicz nazawsze zachował i z rozmaitych miejscowości swego pobytu listy, tak do niéj, jak i do jéj męża, pisywał.

W podobnych stosunkach towarzyskich przedewszystkiém rozwinął się tu w wysokim stopniu improwizatorski talent Mickiewicza, który już w Wilnie zdradzał się z taką potęgą. Towarzystwo tutejsze nadużywało tego boskiego daru i tak u Sobańskich, jak i u Zaleskich zasadzano go do fortepianu, poddając mu coraz rozmaitsze a nieraz wcale oryginalne temata a nie ograniczano się do improwizacyj polskich, ale także żądano i francuzkich. Co do tych ostatnich, poeta nie był bardzo chętny i kiedy pierwsze wypowiadać zwykł w rymach, po francuzku odzywał się jedynie prozą, był to jednak język tak malowniczy, tak podniosły, tak pełen prawdziwie poetycznych obrazów a przytém tak stosujący się do jakiegoś wewnętrznego, rytmicznego tempa, że żadną miarą za prozę brać tego nie można było.

Nie na żądanie już ale z własnego popędu popadał poeta w ekstazę i usposobienie improwizatorskie w czasie pogodnych letnich wieczorów, kiedy z Sobańskiemi i Henrykiem Rzewuskim przechadzał się na wybrzeżu morskiém. Zdejmowała go wtedy szczególna jakaś tęsknota i zaduma, duchem przenosił się na Litwę, nad brzegi Wilii, do puszcz tamtejszych i rodzinnego Nowogródka i snuł szereg strof wiązanych, w których żal i smutek wygnańca ponad innemi uczuciami przeważały.

Pani Lacroix opowiadała nam, że jedynie kobiecą powodowana ciekawością, raz kiedy poeta przeniósł się w tę czarowną krainę wspomnień, napomknęła mu pierwszą jego miłość i zaczęła wybadywać w sposób delikatny o uczucia, które niegdyś w sposób tak gwałtowny wstrząsały łonem Gustawa. Poeta na pierwsze słowa w tym kierunku zmięszał się, sposępniał, a twarz jego uczucie nietajonéj przykrości wyrażała. Wreszcie, nie mówiąc słowa i nie żegnając się z nikim, szybko się zawrócił i prędko bulwarem ku miastu popędził i przez dwa dni całe nie tylko u Sobańskich, ale w żadném nie pokazywał się towarzystwie. Przestraszona pani Karolina co prędzéj posłała do niego brata, a kiedy zbiega sprowadzono wreszcie nazad i kiedy p. Sobańska zaczęła zapewniać, że już nigdy przedmiotu tego nie poruszy, on zmarszczył się srogo i szorstkim tonem rozkazującym zawołał: „Ani słowa o tém.“

Zgadza się to najzupełniéj ze wszystkiém, co o Mickiewiczu w tym względzie opowiada Odyniec i inni blizcy jego przyjaciele. Wyjątek tu jedynie stanowi Niewiarowicz, zapewniając, że z nim jednym poeta nasz często o Maryli rozmawiał. O prawdzie słów jego powątpiewamy atoli, raz dla tego, że wiele on innych mylnych faktów podaje, a powtóre, że syn poety p. Władysław Mickiewicz, wspominając o stosunku łączącym jego ojca z Niewiarowiczem, wyja-

śnił w jakich okolicznościach się poznali, jakie interesa ich łączyły, i zapewnił, że Niewiarowicz nigdy do poufałych a serdecznych przyjaciół Adama nie należał.

A jednak, lubo nikomu z odeskich znajomych, poeta by najmniejszego szczegółu o Maryli udzielić nie chciał, sam o niéj myśléć musiał, gdyż zaledwie studya swe nad włoskim językiem naprzód popchnął i zaledwie z Petrarką się zbratał, kilka pięknych sonetów napisanych na wzór włoskiego poety wspomnieniom pierwszéj swéj miłości poświęcił.

W usposobieniu wszakże takiém długo wytrwać nie mógł. Otaczający go rój towarzyski od wspomnień odrywał, zagłębiać się w sobie nie dozwalał, do teraźniejszości ustawicznie zwracał i przed umysłem jego a wrażliwością mnóstwo pokus rozkładał. Piękne oczy jak w tęczę patrzyły w niego, piękne usta obiecująco mu się uśmiechały, a białe ramiona niemal otwarcie wyciągały się ku niemu i miał zupełną racyą pisać późniéj w liście do Tomasza Zana, że „żył w Odessie jak pasza."

Odnośnie do urzędowych i służbowych poety naszego stosunków, to również on jak Jeżowski i Malewski zajęcia żadnego nie mieli a pobieranie darmo pensyi nie zgadzało się z zasadami filaretów a nadto nie przedstawiało wielkiéj trwałości i widoków na przyszłość. Dla tego wszyscy trzéj zrobili podanie do cesarza, bawiącego podówczas w Taganrogu, prosząc o inne przeznaczenie. Niebawem przyszła odpowiedź na ręce jenerał-gubernatora noworosyjskiego a w niéj powiedzianém było: „nie zostawiać Mickiewicza i Jeżowskiego w służbie liceum Ryszeliego ani téż wogóle w południowych prowincyach, lecz umieścić ich w innych guberniach rosyjskich, według własnego ich wyboru i w takich rodzajach służby, jakich zażądają sami. Ze względu zaś na ich stan ubogi, udzielić każdemu potrzebny zasiłek."

Zaczęły się więc między towarzyszami narady, coby wybrać i gdzieby się udać i o decyzyi, zawiadamia nas Malewski w liście pisanym do Hołowińskich, do Steblowa:

„Długo trzymani w niepewności, powiada tam, kiedyśmy mieli zostać dopuszczeni do obowiązków, odebraliśmy rozkaz najwyższy, zabraniający pobytu w Odesie i w ogóle w południowych guberniach. Znowu pozwolono nam wyboru, znowu wzięliśmy mapę i po krótkim namyśle ja przedsięwziąłem udać się do Moskwy, do kancelaryi wojennego gubernatora. Mickiewicz tamże, do archiwum kolegium interesów zewnętrznych." (Malewski nie dodaje, że Jeżowski prosił o umieszczenie go także w Moskwie przy uniwersytecie, w takim charakterze, w jakim tam już znajdowali się Budrewicz i Pie-

traszkiewicz). Daléj Malewski pisze: „Dotąd nie mamy odpowiedzi i jak się zdaje, nie będziemy jéj mieli przed powrotem monarchy do stolicy.“

Była to uwaga ze wszech miar słuszna i ponieważ w administracyi krajowéj nie przechodziły odpowiedzi zbyt szybko, trzeba więc było uzbroić się w cierpliwość a tymczasem zająć się czém inném, Mickiewicz zabrał się wtedy do przekładów z włoskiego i przetłómaczył dwa sonety z Petrarki „*Senuccio i' vo'che sappi* i *Błogosławieństwo*, tudzież dwa ustępy z Boskiéj komedyi Dantego. Również na wzór Petrarki, jakeśmy to już wspominali, układał oryginalne sonety, które przeważnie dawnym poświęcał wspomnieniom, a także napisał parę innych drobnych wierszy, z których zdamy sprawę niżéj, mówiąc ogólnie o całéj twórczości naszego poety z tego okresu.

Praca to była atoli dorywcza, gdyż cały prawie czas Mickiewicza pochłaniały spacery, gra w szachy ze znajomymi, którzy go na jego kwaterze nawiedzali, proszone obiady i herbaty, na których go grono niewiast otaczało.

Mickiewicz na wdzięki niewieście bardzo był wrażliwy, z natury więc niebawem między niemi a poetą przyjść musiało do serdeczniejszych aniżeli zwykłe, towarzyskie—stosunków. Głównie trzy było kobiety, których wspomnienie silniéj z pobytem Mickiewicza tutaj się splotło. Do tych zaliczamy panią Hieronimową Sobańską, hrabinę Gurjew i panią, która dwoma cyframi D. D. się oznacza.

Że poeta nasz gotów byłby zostać wielbicielem p. Sobańskiéj, do tego przyczyny rzeczywiste istniały i że oboje na drodze téj się znajdowali świadczy pomiędzy innemi, jak mi się zdaje, wiersz zapisany przez Mickiewicza w imienniku téj pani:

> Różnym losem rzuceni na świata powodzie,
> Spotykamy się z sobą, jak dwie różne łodzie! itd.

Stosunek jednak ich został jedynie przyjacielskim i prawie siostrzanym a jako pierwsza naturalnie racya ku temu nastręczać by się powinna okoliczność, że pani Sobańska jako żona nie mogła obcemu mężczyznie okazywać zbyt wielkiego afektu. Niezawodnie, że i ta przyczyna istniała, ale obok niéj była jeszcze i inna. Pani Sobańska przed poznaniem Mickiewicza poznała już jenerała Witta i odrazu dla niego wielką sympatyą poczuła a usposobienie to jéj zupełną cieszyło się wzajemnością, czego najlepiéj dowiodło zaślubienie jego po śmierci pierwszego męża. Gdyby więc nawet znęcona urokiem, jaki roztaczał poeta, zezwoliła na wciągnięcie w jego koło, oprócz prawowitego małżonka musiał jéj także wzbraniać tego wielbiciel,

który, jeśli rzeczywiście żadnych praw nad nią nie miał, to przynajmniéj pilnie strzegł, aby w nabyciu ich go nie uprzedzono.

Stosunek znowu z hrabiną Gurjew był więcéj przelotnym i znaczenie jego wyjaśnia się najlepiéj z trzeciego i najsilniejszego, jaki istniał odnośnie do pani D. D.

Kto była ta pani D. D? Nazwisko jéj wymieniła nam p. Lacroix i zdawało by się, że ponieważ już pani ta nie żyje, nie ma zdrowéj racyi do zachowywania jéj *incognito*. A jednak cóż począć wobec kategorycznie postawionego żądania dyskrecyi i odkrycia tajemnicy jedynie pod warunkiem danego słowa, że nazwiska jéj wymieniać nie będziem. Powiemy więc tylko, że była to Polka, młoda mężatka, że cyfry jéj D. D. przez poetę podawane, zupełnie są zmienione, że wdziękami, co u nas nie rzadko, odznaczała się wśród innych naszych rodaczek i że jakoby do poety mimo rozmaitych plotek szczerze przywiązaną była. Sądzę, że szczegóły te wystarczyć powinny i nazwisko samo podrzędnego jest już znaczenia.

Pani Lacroix utrzymuje, że był to stosunek zupełnie idealny i że nic w nim grzesznego nie było, a lubo nam wydaje się to trochę inaczéj, ostateczny jednak wyrok w téj sprawie czytelnikowi zostawiamy, poprzestając jedynie na objektywném jéj przedstawieniu.

Jak się ta miłość poczęła, z czyjéj strony było pierwsze do niéj ośmielenie i jaki bezpośredni objawienia się jéj powód, tego nie wiemy. Pierwszy ślad uczucia ze strony poety spotykamy w wierszu: *Do D. D. Elegia.* Poeta tu cierpi już z miłości i tak do przedmiotu uczuć swoich przemawia:

Gdybyś ty na dzień jeden była w mojéj duszy..
Na dzień cały?.. Nie, takiéj nie pragnę katuszy!
Gdyby godzinę tylko... szczęśliwe stworzenie,
Poznałabyś natenczas, co to jest cierpienie.
Myśli me na torturach, w uczuciach mych burza:
To mi gniew serce miota i czoło zachmurza,
To mnie smutek w ponure zadumanie wtrąca,
To nagle oczy zaćmi żalu łza gorąca...

Na cierpienie to jakaż rada?—Oto:

Gdybym zyskał pewność, że jestem kochany,
Gdybym z serca na chwilę wygnał bojaźń zmiany,
Którą mnie straszy nieraz doświadczona zdrada,
O niech będę szczęśliwym, będziesz ze mnie rada!...
Jak duch, przez dzielnéj wróżki zaklęty wyrazy,
Żyłbym twoje wypełniać, zgadywać rozkazy;
A jeżeliby czasem duma rozdąsana

Kazała poddanemu udać humor pana:
Śmiéj się, luba, choć duma przyznać się zabrania—
Sługą będę—cóż miałbym do rozkazywania?

Gdyby to stać się mogło, poeta przyrzeka:

Pamiątki nawet serca głęboko zagrzebię,
Aby nigdy nic nie czuć oddzielnie od ciebie,
Wtenczas by dziki zapęd, co mną dotąd miota
Wypadł z duszy, jak z łodzi miotany niecnota,
Który burze sprowadza i bałwany pieni.
Płynęlibyśmy cicho po życia przestrzeni;
Chociażby los groźnemi falami powiewał,
Jak syrena bym nad nią wzbijał się i śpiewał.

Ofiara więc ze strony poety była wielka, boć dla nowego uczucia z dawnemi świętościami jeśli nie zupełnie się rozstać, to przynajmniéj na dnie serca pochować je przyrzekał a niepodobieństwo *przyjęcia* ofiary zdaje się nie istniało, gdyż się kochanek w coraz śmielsze zapuszcza nadzieje i stawia żądania coraz bardziéj wygórowane. Więc pragnie naprzykład zamienić się we wstęgę złocistą, co połyska na czole lubéj, w wietrzyk, co może ją tylko pieścić i różę, w szatę mglistą wreszcie, co uciska jéj łono (*Do...*) (1).

Późniéj rozmowę uważa już za środek niewystarczający, bo:

Kocham! ach kocham po sto razy wołam,
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Że ja kochania swojego nie zdołam
Dosyć wymówić, wyrazić, wyśpiewać;
I jak w letargu nie widzę sposobu
Wydać znak życia, bym uniknął grobu.
Strudziłem usta daremném użyciem,
Teraz je z twemi chcę spoić ustami,
I chcę rozmawiać tylko serca biciem,
I westchnieniami i całowaniami,
I tak rozmawiać godziny, dni, lata
Do końca świata i po końcu świata

(*Rozmowa*)

Pokazuje się więc ztąd, że na słowa o miłości od drugiéj strony formalne pozwolenie wydaném było, gdyż żądanie w końcu tego wiersza zamieszczone, powtórzyło się raz drugi. U mojéj pieszczotki:

„mowy żywość, gdy usta zapali,
I pocznie mocniéj jagody różować,

---

(1) Wiersz ten bardzo wątpliwéj jest autentyczności. Zob. *Ateneum* 1879 t. I, 398—400. (P. R.)

Perłowe ząbki błysną wśród korali:
Ach wtenczas śmielej w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nie żądam,
Tylko całować, całować, całować..

Ponieważ przypuszczamy, że i na to żądanie zgoda musiała nastąpić, rozpoczęły się więc dla obojga rozkoszne chwile, których ślad swawolny trochę, ale niemniéj przeto nie wykraczający z granic prawdziwego piękna, odbił się w sonetach: *Dzień dobry*, *Dobranoc* i *Dobry wieczór*.

Ponieważ jednak na ziemi téj nie masz szczęścia bez bólu, tak jak róży bez cierni, przeto i tu były liczne przykrości, a do największych z nich niezawodnie należały pierwsze pojawiające się wyrzuty sumienia. Oto jak pod wpływem ich poeta stan duszy swojéj przedstawia:

Luba! ja wzdycham; pamięć niebieskiéj pieszczoty
Trują mi okropnego rozmyślania chwile,
Ach! może serce twoje, co cierpiało tyle,
Może—boję się wyrzec—pustoszą zgryzoty?...

Luba, i cóżeś winna, że twych oczęt groty
Tak palące, że usta śmieją się tak mile?
Zbyt ufałaś swéj cnocie, zbyt swéj własnéj sile,
I nazbyt ognia Stwórca wlał w nasze istoty!

Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni,
Młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze,
I byliśmy oboje długo siebie godni.

Teraz, ach! pójdę łzami oblewać ołtarze,
Nie będę mojéj żebrać przebaczenia zbrodni;
Tylko niech mnie Bóg twoją zgryzotą nie karze!

Gdybyśmy wobec tego obrazu uczucia postawili utwory innych najznakomitszych liryków erotycznych, jakżeby oni nisko w porównaniu z Mickiewiczem stali?—Kiedy Afred de Musset posiadanie kobiety za najwyższy szczyt szczęścia uważa, kiedy Heine w nabrzmiałym namiętnością rymie szelest pocałunków naśladuje, kiedy nawet tak często w niebie przebywający Lamartine rozkosz jako kwiat życia ludzkiego uważa, Mickiewicz wśród szału zmysłów zapytuje sumienia swojego, czy to było uczciwe? A kiedy religijna i narodowa moralność, kiedy rodzinne zasady wyniesione z domu wskazują mu, że grzech to i grzech wielki; wtedy z rozkoszy do rozpaczy przechodzi, kaja się i u stopni ołtarza przebaczenia szuka, bo tam we-

dług jego przekonania, istnieje niewyczerpane źródło łaski i miłosierdzia.

Wobec tych bardzo wyraźnych zeznań poety, zeznań które, jak to zobaczym późniéj, jeszcze bardziéj jasnemi będą, opinia naocznego świadka chwil tamtych, p. Lacroix na dziwne trudności biografa naraża. Czyżby Mickiewicz miał w tym względzie nieprawdę powiedzieć? Kto wtajemniczył się dobrze, kto nawet zna powierzchownie jego prawego i wzniosłego ducha, ten nigdy na przypuszczenie podobne się nie zgodzi, a lubo, w stosunku jego do Maryli, zauważyć można, że na wzór innych poetów, na skrzydłach wyobraźni żeglował w światy, które nigdy jako rzeczywistość w życiu jego się nie pojawiały, że sny brał za prawdę i w te po spadnięciu nawet do życia codziennego wierzył; to, jeśli złudzenia podobne możliwe były w idealnych sferach, w chwili, kiedy miłość idealna na zmysłową rozkosz się zamienia, wtedy umysł trzeźwieje i jeśli poezya służy jako środek zyskania wzajemności, lub opowiada dzieje miłości, nie tworzy snów wymarzonych, obrazuje owszem to, co w życiu się zdarzało i po czém silne zostało wspomnienie, złączone z całym zapasem refleksyi, jakie duch ludzki następnie w rozwadze przebywa. Rozpowiadanie o tryumfach odniesionych nad płcią słabą w ustach mężczyzny, mającego prawdziwe pojęcie o honorze nie zjawia się nigdy, ale wyjątek stanowią tu zawsze poeci, u których gadulstwo i potrzeba wylania na papier tego, co przez umysł ich przechodzi, jest nieuniknionym już organizacyi ich skutkiem. I Mickiewicz ogólnemu temu prawu ulegał, w poetyczném swém atoli wywnętrzaniu się, cyfry imienia i nazwiska ulubionéj swéj zmienił. Rozumiemy także ostrożność p. Lacroix w tym względzie i za złe jéj nie bierzemy, że z powodu stosunków familijnych tudzież z powodu osób, które z panią D. D. spokrewnione były, starała się ona stosunkowi temu nadać inne pozory aniżeli to w istocie miało miejsce. Bez względu więc na to, że prawdę tutaj widzimy, przeciwko twierdzeniom opowiadającéj nie występujemy napastniczo.

Mickiewicz, pomijając już ostrożność, w denominowaniu ukochanego swego przedmiotu zaznaczoną, dyskrecyą swą posunął tak daleko, że żadnemu, z najbliższych swoich nawet przyjaciół, nigdy o stosunku tym nic nie opowiadał, że jednak z zasadami jego bardzo sprzeczne to nie było, wnosimy także z ustępu, jaki Odyniec w liście do Korsaka (z Wejmaru 28 sierpnia 1829 r.) przytacza. Adam, powiada tam on, odnośnie do miłości, śmiejąc się wykazywał różnicę między zakochaniem się zwyczajném a zakochaniem się poetyckiem. Pierwsze, jako dążące do zdobycia przedmiotu, wystawia się na pośmiewisko, jeśli nie ma siły i warunków po temu, drugie, poprzesta-

jące tylko na odźwierciedleniu przedmiotu w sobie, tak jest zawsze pewne swojego jak morze, kiedy gwiazdy odbija. Owóż drugiém w życiu naszego poety był stosunek jego do Maryli; pierwszém zaś pomiędzy innemi i to uczucie, o którém tutaj mówimy. Adam wiedział, że się na pośmiewisko nie wystawi, bo czuł, że posiada siły i warunki potrzebne do zdobycia pożądanego przedmiotu.

Mimo uczucia żalu i zgryzoty, z jakich się poeta wyspowiadał przed nami, pierwsze wrażenie przykre pod czarem rozkoszy zatarło się prędko i chwile szczęścia wróciły niebawem. Jak kiedyś, dla odmalowania nieszczęsnego losu dwojga kochanków wybrał on do przekładu *Sen* Byrona, tak teraz znowu tenże sam tytuł dał oryginalnemu swemu wierszowi, który dokładnie ówczesny stan duszy jego maluje. Sen to już wcale nie przykry i ciężkiemi widzeniami nie przerywany, ale owszem rozkoszny, gdzie dusza kołysze się na wrażeniach uroczych, a marzenia owe w połowie pokazują się we śnie, w połowie odbywają się na jawie. Punktem wyjścia jest jak tam tak i tutaj możliwość rozstania, ale tu poeta nie lęka się téj konieczności, bo ma na nią gotową już radę:

> Przed smutném jutrem (powiada) niech jeszcze z wieczora
> Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka;
> A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
> Wówczas truclzny daj mi kropel kilka.
>
> Do ust twych usta przycisnę, powieki
> Zamykać nie chcę; gdy śmierć zamroczy,
> Niechaj rozkosznie usypiam na wieki,
> Całując lica, patrząc w twoje oczy.
>
> A po dniach wielu, czy po latach wielu,
> Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
> Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu,
> I zstąpisz z nieba, aby go ocucić.
>
> Znowu mnie złożysz na twém łonie białém,
> Znowu mnie ramię kochane otoczy;
> Zbudzę się myśląc że chwilę drzemałem,
> Całując usta, patrząc w twoje oczy...

Żeby nie wracać już później do tego wiersza, zwracamy uwagę czytelnika na dwie jego cechy, które przedewszystkiém w oczy się rzucają. Naprzód jest tu widoczna dbałość wyłączna o siebie, bo jeśli poeta przypuszcza, że rozstanie to ma jego kochankę poprowadzić do nieba, i on tam iść powinien, bo wszak równe były ich winy i równa miłość. Dla tego przypuszczać należy, że jakkolwiek

zstępować ma ona z nieba, żeby go obudzić, jednak powodem ich rozstania się nie ma być widocznie śmierć, ale niezawisłe od nich okoliczności życiowe. Co w warunkach podobnych z nią się stanie i dla czego ona nie ma snem podobnym się ratować, o tém poeta nie wspomina. Takie uczucie miłości w mężczyznie, do egoizmu prawie się posuwające, napozór wydaje się pozbawionem szlachetności, ale tylko napozór. W rzeczywistości dzieje się inaczéj. Ta cecha pierwiastku czynnego, jaki złożyła w mężczyznie natura, ta zdolność do inicyatywy i naginanie wszystkiego do swojéj woli, stanowi właśnie największy czar, jakim mężczyzna w oczach kobiety może zabłysnąć, a znać nie musi on być zdrożnym, kiedy niewiasty, idąc za prawami natury, same usposobienia podobne wielbią. Drugiém, niemniéj ważném spostrzeżeniem, jakie nasunąć się tu musi, jest to tak realne a przytém tak piękne malowanie roskoszy. Rzekłbyś, iż to grecki Anakreon, podniesiony i zdobny nowemi pojęciami o życiu pozagrobowém, jakie przyniósł chrystyanizm.

W stosunku tym, który takie piękne marzenia rodził w mózgu poety i taką piękną schedę pozostawił potomnym, jedyną przykrość dla kochanka stanowiły zwyczaje i wymagania światowe. On ze swą lubą sam chciałby pozostawać na wieki, tymczasem trzeba było przyjmować i oddawać wizyty, słuchać opowiadań światowych i, kiedy niecierpliwość piekła duszę, ubierać twarz w chłodnéj grzeczności szatę dla natrętnych nudziarzy:

Ledwie wnijdę, słów kilka przemówię z nią samą:
Jużeć dzwonek przeraża, wpada galonowy,
Za nim wizyta, za nią ukłony, rozmowy:
Ledwie wizyta z bramy, już druga za bramą.

Gdybym mógł, progi wilczą otoczyłbym jamą,
Stawiałbym lisie pastki, kolczaste okowy.
A jeśli nie dość bronią, uciecbym gotowy
Na tamten świat, stygową zasłonić się tamą...
(Do D. D.—Wizytą)

Po raz drugi zaś taką samę mniéj więcéj gorycz powtórzył w *sonecie XIX: do wizytujących.*

Oprócz chwil pięknych, i uroczych, jakie w stosunku ze strapieniami i żalami mięszać się musiały, spotykamy tu także w naszym poecie uczucia, jakie są bardzo zwykłe w młodzieńczéj, świeżéj i poetycznéj duszy. Młodzieniec tak jak Mickiewicz zorganizowany, zostawiając siebie samego z uwielbianą kobietą, robi się od niéj niższym, namiętnościami wypalonym, wychłodłym—straszy niemal swoją osobą:

> Patrzysz mi w oczy (powiada do niéj) wzdychasz; zgubna twa pro-
> [stota.
> Lękaj się jadu, który w oczach żmii płonie;
> Uciekaj, nim cię oddech zatruty owionie,
> Jeśli nie chcesz kląć reszty twojego żywota.

I daléj:

> Lubię rozkosz, lecz zwodzić nadto jestem dumny,
> Tyś dziecko, mnie namiętne przepaliły bole;
> Tyś szczęśliwa, twe miejsce w biesiadników kole:
>
> Moje, gdzie są przeszłości cmentarze i trumny.....
> Młody bluszczu, zielone obwijaj topole,
> Zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny.
> (Sonet XI)

Faktem jest, że im mężczyzna jest świeższy, im w miłości bardziéj niewinny, tém w czarniejszych barwach przed swoją kochanką przedstawić się usiłuje. Sama obserwacya życiowa a u niejednego i własne wspomnienia młodości prawdę spostrzeżenia takiego potwierdzą. Dziwna rzecz: tém prędzéj młodzieniec serce lubéj zdobyć zamierza, im więcéj na czarnego jakiegoś zbrodniarza pozuje. Kto o bajronowskich wpływach w okresie owym wspomni, gotów by utrzymywać, że to Lara poety tego podobne przykłady ludziom téj epoki dawał; a jednak nie jest to broń Boże naśladownictwo, ale psychologiczna prawda, w którą Byron pierwszy ugodził i na światło dzienne ją wyprowadził. Może zakorzenienie się prawdziwéj miłości w takiém zepsutem rzekomo sercu, ma dowodzić uczucia tego potęgi; może ukochana na wyższy piedestał ma się podnieść przez to, że upadłego znowu niejako na podniosłą wyżynę podnosi; bądź co bądź faktem jest, że wynurzenia podobne zawsze brać należy w odwrotnym sensie i im one silniejsze, tém lepsze świadectwo wystawiają mężczyznie. Z tych względów przytoczony dopiero co sonet ma dla nas tém większą wartość, że dowodzi jak w owéj epoce poeta nasz musiał być niewinnym.

Stosunek jego z panią D. D. pod rozkosznèm południowem niebem, przy nieobecności trosk życia bez codziennego a koniecznego zajęcia, byłby może utrzymał się bardzo długo, gdyby nie intryżki i ploteczki kobiece, z prostéj wynikające zazdrości. W małém towarzyskiem kółku nie można uniknąć kontroli zwłaszcza, że pilnie Mickiewicza obserwowano i spostrzegaczami temi były kobiety. Stosunek więc ten dopatrzyła najpierwéj p. B. Zaleska i występując w charakterze iście macierzyńskim, zaczęła go ganić. Tęż samę względem niego rolę, jako przyjaciółki zajęła p. Sobańska, a uczucie

goryczy jakiejś, nie chcemy bowiem powiedziéć zazdrości, do jéj przełożeń się mieszało. Mickiewicz atoli wszelkich perswazyj, a tém więcéj nagań, bodajby one najłagodniejsze były, z natury swojéj nie znosił, znał bowiem swój kodeks moralny, dla siebie samego wyrozumowany i chciał sam za wszystko przyjmować na siebie odpowiedzialność. Zaczęły się więc kwasy, nieporozumienia, komeraże i możeby silna wola poety i stanowczość jego w takich razach przemogły, gdyby nie przybył do tego nowy pierwiastek, najniebezpieczniejszy, bo czerpiący swe źródło w zazdrości i zawiści niewieściéj.

W gronie arystokracyi rosyjskiéj najprzedniejsze miejsce ze względu na prawdziwą piękność zajmowała wspomniana już przez nas hrabina Gurjew. Zrodzona z francuzkich rodziców i może we krwi już nasiona lekkości nosząca, zepsuta już ona była stołecznėm życiem petersburskiém a, mając starego męża, tém więcéj swobodną się czuła. Mickiewicz od razu silne na nią wrażenie zrobił i od pierwszéj znajomości czyniła mu ona bardzo wyraźne awanse. Ponieważ poeta nasz w téj porze swojego życia wielkim był komplimencistą i szarmantem, zapewne więc niejedną grzeczność szepnął do maleńkiego jéj uszka, a kobieta tryumfami stołecznemi popsuta, była już pewna, że go trzyma jak niewolnika w swych więzach. W przypuszczeniach swych idziemy nawet daléj i niepodobném nam się utrzymywać nie wydaje, że poeta nasz w ówczesnym swoim motylkowatym żywocie, może nawet na kokieteryą jéj obojętnym nie był, może na wyraźne wezwania poddaniem się odpowiadał, a do przypuszczenia podobnego skłania nas jego własne wyznanie, zawarte w tych słowach:

> Tak ja nieznane imię, cudzoziemskie lice
> Nosiłem przez te ludne place i ulice,
> I roje pięknych niewiast spotykałem codzień
> (*W dzień odjazdu*)

Ponieważ za wyjątkiem hr. Gurjew, nie wiemy stanowczo o żadnéj cudzoziemce, któraby na Mickiewicza silniejsze wpływy wywarła, przypuszczamy więc, że domysł nie jest bez podstawy i że kobieta ta w zarozumieniu swém miała podstawę do roszczenia pewnych praw do serca poety.

Skoro więc zasłyszała, że on już gdzieindziéj zagrzązł i skoro za pomocą wywiadywań się żadnéj trudności nie przedstawiających, sprawdziła zasadniczość pogłosek, postanowiła przeciw stosunkowi owemu przeciwdziałać bronią niekoniecznie uczciwą, ale w pięknych niewieścich główkach pojawiającą się dość często, to jest intrygą

i plotkami. Panią D. D. więc obrzuciła najstraszniejszemi podejrzeniami, robiąc z niéj istną kurtyzankę, a nie dosyć, że wiadomości tego rodzaju Mickiewieczowi podsuwała, ale rywalkę swą wszelkiemi możliwemi sposoby starala się kompromitować, bądź wyszukując mężczyzn, którzy tryumfami nad nią się przechwalali, bądź nawet uciekając się do takich środków jak bezimienne listy.

Czy pani D. D. była rzeczywiście niewinną i czy wszystkie, rozpowszechniane o niéj wieści były prostym wymysłem i fałszem, w to już wchodzić nie chcemy, a winniśmy jedynie skonstatować, że oszczerstwa owe, czernienia i złośliwe przeciwdziałanie na gołębiéj naturze poety wywarły pożądany skutek. Zwątpił on o uczciwości kobiecéj i na papier rzucił kilka strasznych, boleśnych wyrzutów:

> Odpychasz mnie?... Czym twoje serce już postradał?
> Lecz jam go nigdy nie miał!... Czyli broni cnota?
> Lecz ty pieścisz innego!... Czy że nie dam złota?
> Lecz jam go wprzódy nie dal a ciebie posiadał.

Następnie robi wniosek, że wszystkie względy, jakimi się cieszył, w próżności jedynie źródło swe miały:

> I nie darmo! Choć skarbów przed tobąm nie składał;
> Ale mi drogo każda kupiona pieszczota—
> Na wagę duszy mojéj, pokojem żywota.....
> Dla czegoż mnie odpychasz? Nadaremniem badał.
>
> Dziś odkrywam łakomstwo nowe w sercu twojem,
> Pochwalnych wierszy chciałaś?... (20. Pożegnanie)

Pod wpływem takiego usposobienia z pogardą odzywa się o całéj płci niewieściéj:

> Płci piękna! gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
> Za haftowane kłosem majowe sukienki,
> Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki,
> Gdy do lubéj gołębia posyłano w swaty!
>
> Dzisiaj, wieki są tańsze a droższe zapłaty,
> Ta, któréj złoto daję, prosi o piosenki,
> Ta, któréj serce daję, żądała méj ręki,
> Ta, którą opiewałem, pyta czym bogaty...

Wymienianych tu tych żądań wszystkich nie trzeba brać zbyt literalnie, gdyż naprzód owych żądających tak wiele nie było, a powtóre że Mickiewicz złotem szafować nie mógł dla téj prostéj przyczyny, że go nie miał. Jedynie poetycka ta ekspektoracya ma za zadanie malować nienasyconą chciwość kobiecą. Oburzony nią poeta woła:

Lecz dawniéj wszystko dałbym, dziś wszystko, prócz serca (21. Danaidy).

Rozumie się, łatwo bardzo pojąć, że skoro poeta w ten sposób podburzony, z chmurą Jowiszową na czole, stawił się przed kochanką swoją i skoro wyrzuty czynić jéj począł, bez względu czy była ona winna czy nie, godność jéj niewieścia się oburzyła, na szyderstwo odpowiedziała szyderstwem, na wyrzut wyrzutem, na zniewagę, bo i tego w onym przystępie żalu nie brakło, zniewagą i stanowczo przestąpienia swoich progów mu wzbroniła. Ploteczki więc kumoszek wydały pożądany owoc i znalazły się dwa serca rozdarte, nawzajem unikające siebie, choć ich ku sobie ciągnęło i w zmartwieniu a goryczy, złorzeczące losom i połykające łzy gorzkie.

Aby poetę z tego moralnego pognębienia, z téj sercowéj goryczy i z tego ciosu, zadanego wrażliwéj naturze jego podźwignąć, tudzież położyć tamę plotkom, które już zanadto, z krzywdą kilku osób, szerzyć się poczęły, pp. Sobańscy, wraz z Henrykiem Rzewuskim, zaproponowali mu wspólną przejażdżkę po Krymie. Wycieczka w kraj Chanów, w kraj piękną naturą zdobny, a oryentalnemi, pełnemi poezyi, wspomnieniami opromieniony, przedstawiała wiele uroku, a przeszkód zewnętrznych żadnych nie było, gdyż jenerał-gubernator uroczyście zapewnił, że póki cesarz Aleksander do Petersburga nie powróci, rezolucyi na zrobione podanie, o którém wyżéj wspominaliśmy, z pewnością nie będzie.

Mickiewicz więc chciwie chwycił się téj myśli; Jeżowski, który od towarzyszów swych był szczęśliwszy, gdyż od zarządu uniwersyteckiego w Moskwie odebrał zawiadomienie, że lubo miejsca uzyskać nie może, gdyż żadnéj posady wakującéj nie ma, będzie zapisany na listę kandydatów, nie chciał także sam w Odessie pozostawać, ale z początkiem sierpnia (ciągle podajemy datę podług starego kalendarza) wybrał się do Moskwy. Postanowił mu także towarzyszyć Malewski, przypuszczał bowiem, że będąc na miejscu prędzéj interesu swego dopilnuje.

Tak więc Mickiewicz sam już w Odessie pozostał, a samotność ta, przy rozgoryczeniu wewnętrzném, tém prędziéj zdecydowała do zgodzenia się na zamierzoną podróż.

Dzień wyjazdu naznaczony był pierwotnie na 13 (25) sierpnia, z powodu jednak srogiéj podówczas na morzu burzy i z powodu kataru Mickiewicza, który go ciężkiéj nabawił chrypki, datę wyjazdu odwleczono jeszcze na cztery dni.

Towarzystwo podróżników składało się z następujących osób: pp. Hieronimowie Sobańscy, Henryk hr. Rzewuski, jenerał Witt,

poeta nasz, jeden sługa, kozak, posiadający zalety wybornego masztelarza i młoda ukrainka, kamerystka, wzięta dla wygody pani Hieronimowéj.

Podróż każda, szczególniéj w młodym wieku ma nieskończone ponęty, a cóż dopiero dla umysłu poety, który głowę sobie nabił cudownemi o Krymie marzeniami. Dla tego Mickiewicz, nie tylko p. Sobańskiéj, głównéj promotorce wyprawy, stał się posłuszny jak dziecko, nie tylko w wigilią wyjazdu, mimo szczeréj chęci, nie poszedł z pożegnaniem do pani D. D., ale jeszcze wraz z jutrzenką d. 17 sierpnia obudził się w najlepszym humorze. Skoro po rannéj kawie wszyscy do portu w powozach ruszyli, dobry ten humor zamanifestował się jednym z tych figlów, których Mickiewicz nie raz sobie pozwalał.

Znajomi pożegnali podróżnych w wilią ich wyjazdu, zapowiedzianém bowiem było, że jeśli odpowiednia pogoda sprzyjać będzie, ruszyć mają o świcie. Z zamiarem jednak odprowadzenia ich zjawił się wczesnym rankiem niejaki p. Kałusowski, zadomowiony szlachcic ukraiński i jeden z dzierżawców pp. Sobańskich, który za interesami handlowemi do Odesy przyjechał, a posiadał taki zapas tężyzny i obrazowości szlacheckiéj w wyrażeniach, że Mickiewicz od pierwszéj chwili poznania, bardzo do niego przylgnął i podstępem postanowił jego towarzystwo dla siebie zdobyć.

Wszyscy biografowie Mickiewicza opowiadają prawie jednomyślnie, że wycieczka ta odbywała się lądem. Jest to pomyłka, gdybyśmy bowiem nawet nie chcieli opierać się na saméj pamięci p. Lacroix, szczęśliwym zbiegiem okoliczności dochowała ona z tych czasów maleńki karnecik, w którym oprócz rysunków, ręką Mickiewicza robionych, zapisywane są daty wyjazdu i przybycia do ważniejszych miejscowości.

P. Kałusowski, o którym tylko co wspomnieliśmy, posiadał jedną szczególniejszą wadę, że morza bał się jak djabła i nieraz się wyrażał, że wolałby umrzéć, aniżeli kiedykolwiek w życiu swojem żeglować.

Na pokładzie okrętu, a właściwie w kapitańskiéj kajucie przed odbiciem od lądu czekało podróżnych skromne śniadanie i Mickiewicz p. Kałusowskiego uprosił, żeby przed tą, niebezpieczeństw pełną, morską podróżą, śniadanie to, mogące mieć znaczenie stypy pogrzebowéj z nimi podzielił. Szlachcic Bogu ducha winien, nie przypuszczając podstępu, na propozycyą się zgodził, a tymczasem w czasie śniadania na prośby poety podniesiono kotwicę, okręt na pełne morze wypłynął i zyskano wcale niechętnego i wcale mimowoli na

niebezpieczeństwa puszczającego się towarzysza. W pierwszéj chwili, kiedy o sztuczce, jaką mu wyprawiono on się dowiedział, popadł w gniew straszny, i najwięcéj go to trapiło, że bez żadnych tłómoków, w stroju jak stoi, na koniec świata jedzie. Poeta przekomarzał mu się i tęsknotę do ukraińskich basztanów rozbudzał i szlachcic może być, rozczulony na dobreby się rozbeczał, gdyby nie przyszła choroba morska i na łoże obezwładnionego go nie powaliła.

Z pomiędzy jadących, jeden tylko poeta nasz i jenerał Witt chorobie téj nie podlegli, to téż Mickiewicz naprzemiany, to z nim, to z kapitanem okrętu, którego nazwiska nie udało się nam wyśledzić, zabawiał się grą w szachy, lub obserwował morze. Morze to nie na żarty znać zwane *Gościnném*, od razu pokazało mu wszystkie skarby swoje, gdyż drugiego dnia podróży dało mu obraz ciszy morskiéj, który tak wspaniale nakreślony jest w jednym z sonetów krymskich, a niedługo potém jedną z najpiękniejszych próbek burzy, jakie się na Euxynie spotykają.

W czasie burzy téj poeta wytrwał na pokładzie, a kiedy fala pokilkakrotnie uderzając z gwaltownością, o mało go z ławki nie zmyła, kazał się do niéj majtkom przywiązać i walkę żywiołów, tudzież wszelkie wysiłki, czynione ku obronie, pilném okiem śledził.

Jeśli jednak burza nowe motywa dla jego bogatéj wyobraźni podała, nie oddziałała w ten sposób na innych towarzyszów podróży. Biedny Kałusowski był już ledwie żywy, a nerwy pani Sobańskiéj tak się rozigrały, że od cierpień migrenowych, do okropnych spazmów przeszła i ustawicznie tylko powtarzała, że dosyć już ma tego morza. W skutek tego projekt podróży zmieniono i zamiast wylądować na południowym cyplu półwyspu, jak to było w pierwotnym planie, przybito do lądu w Sebastopolu i ztąd, po krótkim odpoczynku, udano się traktem pocztowym, prowadzącym z Sebastopola do Symferopola i biegnącym przy stepie Bajdarskim.

P. Sobańska, mąż jéj i jenerał Witt zatrzymali się w Eupatoryi, gdzie jako w zakładzie kąpielowym, były siakie takie wygody dla przejezdnych, a Mickiewicz, bądź w towarzystwie Henryka Rzewuskiego, bądź pana Kałussowskiego, który mu już jego figla wybaczył, bądź wreszcie w towarzystwie kozaka Sobańskich lub najętego tatara puszczał się w step lub do sąsiednich miast i miasteczek, najczęściéj konno, czasami na ośle, a nie rzadko i w najprozaiczniejszy sposób, furmanką. Skoro wezmiemy przed się dwa cenne opisy Krymu, jeden dokonany przez Edmunda Chojeckiego, a drugi przez dra Kaczkowskiego, przekonamy się łatwo, że ponieważ pobyt kolonii polskiéj w Eupatoryi, dokąd Mickiewicz, jak do stałego punktu

ze wszystkich wycieczek wracał, trwał aż do 15 października (v. s.), Krym więc cały można było poznać dokładnie, zwłaszcza, że do siedzenia w głównéj kwaterze wiele nie było ponęty. P. Sobańska bowiem ciągle była, czy téż udawała może cierpiącą, a w staraniach koło niéj tak się rozpadali mąż i jenerał Witt, że dla trzeciego jeszcze opiekuna wiele tam miejsca już nie pozostawało.

Ilekroć jednak poeta z wycieczek swoich powrócił, p. Sobańska pilnie o wrażenia z podróży go się rozpytywała, a gdy opowiadając je, w zachwyt popadał, wszelkiemi siłami starała go się nakłaniać, żeby wrażenia swe pismem utrwalał i w tym celu nawet karnecik swój własny mu ofiarowała. Mickiewicz karnecik pokrył niezdarnemi rysunkami, ale p. Sobańska w żądaniach swych stała się mniéj natarczywą, kiedy od Kałusowskiego dowiedziała się, że poeta w podróżach swych nie poprzestaje na samych rysunkach, ale często samotności szuka, wyciąga z kieszeni małe kartki i na nich nie rysuje już, ale drobném pismem często coś pisze, oczy swe przytém zwracając ku północo-zachodowi, a kiedy zajęcie podobne skończy, tak bywa milczący i ponury, że słowa z niego dobyć nie można.

W podobnych chwilach powstać musiały wszystkie Sonety Krymskie, a że pisane one były pod pierwszém wrażeniem, dowodzi chyba najlepiéj świeżość i dokładność pejzażu, jaka główną ich cechę stanowi.

Oprócz wrażeń z zetknięcia się z naturą pochodzących, trapiła jeszcze poetę tęsknota za krajem rodzinnym i piękny jéj wyraz dał nam on w następującym sonecie:

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice;
Dla czegóż ztąd ucieka serce w okolice
Dalekie — i niestety! jeszcze dalsze czasy?

Litwo! Piały mi wdzięczniéj twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice;
I weselszy deptałem twoje trząsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki, tak różna wabi mnie ponęta!....
Dla czegóż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do téj, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubej dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jéj wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?

(*Pielgrzym*).

Ani więc natura, ani „piękne lice“ nie zdołały wypędzić z serca starych pamiątek i poeta, który tak wesołym bywał w Odessie, stał się tu mrukiem zamkniętym w sobie. P. Sobańska przypuszczała, że to go pamięć D. D. tak truje, a on był ztąd o wielkie i odległe przestrzenie.

Podróż ta innych ciekawszych zjawisk nie przedstawia, do znaczących bowiem nie zaliczamy wypadków, jakie Mickiewicz opowiadał Odyńcowi w Niemczech, jak z Rzewuskim sprzączki do mantelzaków przyszywał. Okoliczność odpowiednia wywołała jedynie takie wspomnienia, ale jak opowiadacz ich, tak słusznie i ich słuchacz zbytniéj wagi do tego nie przywiązywali.

Powrót do Odessy nastąpił dnia 15 października (v. s.). Dnia tego wyruszono w całém towarzystwie z Eupatoryi, a dnia następnego po południu ulokowano się na okręcie płynącym do Odessy i podróż, nie stepem już, jak chcą niektórzy żywoto-pisarze, ale morzem i to zupełnie spokojnie i bez żadnych wypadków się odbyła.

Odessa, kiedy do niéj zawitano, była już zupełnie z dawnych znajomych osieroconą, większość bowiem Wołyniaków, Ukraińców i Podolan pojechała do rodzinnych wiosek, aby cieszyć się resztkami pięknéj jesieni. Pani D. D. także już nie było, a złe ludzkie języki twierdziły, że nie sama i po poecie polskim pocieszona, wybrała się do Petersburga. Hr. Gurjew także do stolicy wyjechała, zostawiając, list zapraszający Mickiewicza serdecznie do Petersburga, gdzie gościć przez całą zimę miała.

U generał-gubernatora czekała już odpowiedź z Moskwy na podanie przez Mickiewicza zrobione, odpowiedź pod datą 12 października (v. s.), którą nie wiém dla czego żywoto-pisarze zamienili na 12 listopada. Lubo odpowiedź ta zajęcia w Moskwie nie przyrzekała, podług polecenia atoli, należało południowe gubernie opuścić, a na koszta podróży dołączona była „podorożna“, z pokwitowaniem ze 161 rs, kosztu dwóch koni i kibitki do Moskwy, tudzież 100 rsr. gotówką na wydatki podróżne.

Ponieważ i Sobańscy także po tygodniowém w Odessie odpoczynku na Ukrainę wyjechali, wraz z Rzewuskim i ponieważ Mickiewicz zupełnie sam w mieście tém pozostał, przeto nie zabawił w niém długo i 10 listopada, podług staréj daty, w drogę się wybrał wczesnym rankiem, na bryczkę pocztową wprost przechodząc od stolika w liceum, gdzie napisał wiersz *W dzień odjazdu*, pod którym datę 29 października położył. W wierszu tym skreślił pobieżnie dzieje pobytu swego w nadmorskiém mieście, a na końcu jego skarżąc się z goryczą na opuszczenie, w jakim, w chwili wyjazdu, się znajdował, zdobywając się na odwagę i męztwo, zabolał sam w sobie:

Jedźmy! Jak niewitany przestąpiłem progi,
Tak odjeżdżam: nikt dobréj nie życzy mi drogi.

* * *

Lubo Sonety napisane w Odessie i Krymie, wydane dopiero zostały w Moskwie. Tu atoli, żeby nie odrywać się od podanych dotychczas szczegółów biograficznych, pomówimy zarówno o nich, jak i o innych drobnych utworach, które z druku wyszły, jeszcze w późniejszych wydaniach.

*Aër.*

# ŻYCIE POŚMIERTNE CZŁOWIEKA

## WEDŁUG ŚWIADECTWA GROBÓW I POMNIKÓW PIŚMIENNYCH.

---

3.

Właśnie konieczność zbadania przyszłości zapędza do piekieł bohatera narodowéj epopei greckiéj, Odysseusza.

Lecz przystępując do Odyssei, pamiętajmy, że mamy przed sobą Greków z czasów przedhistorycznych, takich, jacy oni byli, gdy dopiero poczęli się wyłaniać z ogólnéj masy ludności azyatyckiéj.

Odysseusz z pod Troi wracając do swéj rodzinnéj Itaki, błądzi po morzach, gdyż ściga go gniew przychylnych dla Trojan i za ich upadek mszczących się na nim bogów. Dręczy go niepokój, męczy troska, nużą przypuszczenia smutne; już bowiem kilkanaście lat minęło od czasu, gdy opuścił dom a w nim młodą żonę i kilkoletniego syna, pozostałych pod opieką starych jego rodziców. Niepewny czy ujrzy nakoniec ziemię rodzinną i swoich, nadaremnie ciągle wyglądając końca podróży, która wciąż okropniejszą się stawała, postanowił spojrzéć sam w przyszłość. W tym celu za poradą bogini Kirki skierowuje swą nawę na północ, w stronę bezbrzeżnego Okeanosa, gdzie zamieszkał naród Kimmeryjczyków, a

> wszystko we mgłę i chmury pozawijane, bo nigdy
> do tych ludów promieńmi nie wziera słońce świecące,
> ani kiedy wychodzi na ogwieżdżone niebiosa,
> ani gdy znów pod ziemię zwraca się z wyżyn błękitu.
> Lecz noc zgubna zawisła nad śmiertelnymi...
>
> (Odyseja, XI, 16—19; przekład Bronikowskiego).

Tam to leżał świat zmarłych grecki.

Straszny był krajobraz cały. Zimno zabijało wszelkie życie. Ciemność martwa wszystko zalewała. Lecz jeszcze miejscowość ta

nie była samém piekłem. Wyobraźnia grecka na obraz jego nie zdobyła się była jeszcze. Kryje je ogólne pojęcie podziemia, którego nazwa sama (Hades) oznacza, że się ono nie daje opisać ani określić.

Odysseusz nie wchodzi nawet do podziemia, gdzie się dusze zmarłych znajdowały a panował srogi Pluto, lecz przyzywa dusze do siebie, na powierzchnię ziemi. W tym celu wykopał dół głęboki, napełnił go krwią zwierząt pozarzynanych na ofiarę. Skoro krew poczuły dusze, zlatać się zaczęły. Z krwią, która pozostała w ciele, utraciły one pamięć. Instynktowo więc spieszą do krwi. Krew im pamięć utraconą ma powrócić.

Odysseusz stojąc nad dołem z krwią, przypatruje się zlatującym duszom. Poznaje matkę, znakomitszych bohaterów z pod Troi, znane sobie z podań osobistości. Każdéj duszy, z którą pomówić zapragnął, dozwala po kolei napić się krwi. Dusza odzyskuje przytomność, z nią wspomnienia i poznaje go. Wieszcz tebański, Terezyasz, odkrywa mu przyszłość. Matka opowiada o rodzinie i ziemi rodzinnéj. Dowcipny i ugrzeczniony grek każdemu z dawniejszych towarzyszy potrafił powiedzieć coś o jego sławie, szeroko się po świecie rozprzestrzeniającéj, o pamięci, którą pozostawił wśród ludzi. Wspomnienia przeszłości w każdym wywołują uczucie ponure tęsknoty i żale za życiem.

Matka dziwi się, że „w noc tę tu czarną zejść on śmiał, będąc żywym. Straszliwą bowiem jest rzeczą żyjąc widzieć to wszystko.“ A gdy odchodziła, trzykroć ku niéj podbiegł, by ją pochwycić rękami, lecz ona trzykroć z rąk mu uleciała, niby *cień*, niby *senna mara*. A na zapytanie, dla czego ująć jéj nie może, taką daje odpowiedź: „Skoro tylko opuści ludzi duch życia, pozbawione już odtąd miąs są i kości ich żyły, które silny żar ognia trawi na stosie płomiennym... dusza zaś by mara ulatuje daleko... (219—222).“

Z rozmów przylatujących cieni prowadzonych z Odysseuszem widzimy, że wiodą one w podziemiu żywot podobny do tego, jaki wiodły na ziemi. Królowie rządzą. Lud słucha i pracuje. Lecz nie są to stosunki rzeczywiste, tylko jakoby odbicie się rzeczywistości. Achilles tak odpowiada Odysseuszowi, gdy ten zaczął wynosić sławny zgon jego:

> Nie wsławiaj mi mego zgonu, o świetny Odyssie!
> Wszakże łannym parobkiem bym wysługiwać się wolał
> u pośledniego gdzie rolnika,
> niźli wszystkim tym marnym cieniom tu zmarłych panować (488—92).

Wraz z przypomnieniem sobie osoby powraca duszom pamięć doznanych uraz, czy też doświadczonéj niechęci. Odysseusz opowiada:

Inne dusze tymczasem z życia odeszłych umarłych
w koło stojąc i kwiląc, bole swe wieszczą mi każda.
Jedna tylko Ajaxa dusza Telemoniady
stała milcząc opodal, wciąż zajątrzona zwycięstwem,
którem odniósł był nad nią sędziów wyrokiem
zbroję wziąwszy Achylla...

Powitał go Odysseusz, przełożył, że to wola Zeusa kierowała myślami sędziów, lecz:

...on na to nic nie odrzekłszy, precz odszedł
w czarne cienie Erebu, w innych dusz niknąc gromadach. (541—594)

Fantazya grecka nawet podwójny żywot zagrobowy wytworzyła. Herakles za czyny swe bohaterskie został wyniesiony do godności boskiéj. Stał się pół-bogiem. Po śmierci—wszedł na Olimp i tam, wśród bogów nieśmiertelnych rozkoszuje się na ucztach. Odysseusz atoli ujrzał cień jego i w Hadesie. Kroczył on „by noc posępna, łuk trzymając napięty, z strzałą wsadzoną w cięciwę; groźne miotał spojrzenia, wciąż do wystrzału gotowy.“ Ledwo go zobaczył, wnet poznał, nie potrzebując pić krwi, i z jękiem rozpaczliwym powitał go słowy: „o nieszczęśliwy, zapewne i ty los ciężki ponosisz...“ (601—626).

W obec takiéj postawy pół-boga, świadectw tylu bohaterów, których żywot służył za wzór do naśladowania, pojąć trudno, jakie miał istotne znaczenie sąd nad zmarłymi. Odysseusz wśród cieniów dojrzał i Minosa, który:

„Złotém berłem we dłoni, siedząc na tronie rozsądza
mar żywoty. Te w koło króla o wyrok swój proszą,
już to siedząc, już to stając w szerokobramym Hadesie“ (569—571).

Skoro los tak smutny oczekiwał Heraklesów, Achillesów, Nestorów, chlubę i sławę narodu greckiego, cóż pozostawało dla przestępców, zbrodniarzy? Cierpienia Tantala, Iksyona, praca daremna Syzyfa, Danaidek—są to dopiero pojedyncze fakta. Wnosić więc możemy, że do pojęć o piekle, jako miejscu pobytu wogóle zmarłych, wchodzić dopiero zaczęły postulaty etyczne. Jeszcze fantazya ludowa nie pogodziła wymagań moralności z dawniejszemi obrazami Aralu, Amenti, Hadesa. Piekło, według poczuć etycznych i potrzeb nowych za dni Homera, jeszcze urządzoném nie było.

4.

Data trzech tych pomników, które poznaliśmy, jest niepewną wielce. Urywki z księgi zmarłych zdobiły trumny pochodzące z czasów XI dynastyi, co świadczy, że część jéj była już podówczas zre-

dagowaną. XI-ta dynastya panowała w Egipcie w pierwszéj połowie III-go tysiącolecia. Według tradycyi, rozdział LXIV miał pochodzić z czasów króla Menkara, z IV-éj dynastyi, a więc z pierwszéj połowy IV-go tysiącolecia; rozdział zaś CXXX z czasów I-széj dynastyi, a więc sięgał by początków historyi Egiptu, V-go tysiącolecia przed erą naszą. Tablice gliniane na których w piśmie klinowem jest wyciśniętą Wędrówka Istary przechowały się w bibliotece króla Assurbani-pala. Pochodzą więc same z VII-go wieku. Data tablic jednakże nie wskazuje daty utworu samego. Poematy przypisywane Homerowi sięgają również II-go tysiącolecia. Tak więc, pojęcia w tych pomnikach przechowane mogły oblec się w formę, następnie przez pismo utrwaloną, pomiędzy IV a II tysiącoleciem przed erą naszą.

Pomnik, do którego przechodzimy z kolei, Eneida, pochodzi z czasów bezpośrednio się stykających z erą naszą. Autor jego Wirgiliusz, żył w ostatniém stuleciu (69—19) czasów starożytnych. Dzieli go więc od najpóźniejszego z tamtych trzech, którym niechybnie będzie Odyssea, lat przeszło tysiąc.

Te lat tysiąc nie przeminęły marnie dla rodzaju ludzkiego, W nich bowiem doszły do świadomości dziejowéj dwa narody, grecki i rzymski, których kultura została matką naszéj cywilizacyi. W nich z obserwowania zjawisk przyrody powstała *Historia naturalis*; z obserwowania ustroju rozmaitych społeczeństw powstała *Polityka*; a uszlachetniona przez sztuki piękne twórczość wydała wiecznie piękne arcydzieła. Wpływ atoli przeszłości, pomimo tak znacznego odskoku od niéj, okazał się bardzo znacznym. Wkorzenione w umysły przez lat tysiące pojęcia o losach pośmiertnych człowieka zaciężyły i nad pogodną fantazyą greka i trzeźwą rzymianina. Przedarły się one nawet z baśni ludowych, tajemnic kapłańskich i praktyki wróżbitów do filozofii. Plato ujął w systemat swój metafizyczny pojęcia egipskie o życiu pośmiertném, oparł na nich swoję psychologią i etykę, gdyż z nich dowiedział się, zkąd się biorą dusze i gdzie przebywają przed wejściem do ciał na ziemi, a zarazem, jaka kara spotyka przestępców po śmierci, więc co gwarantuje prawa moralności. W dydaktycznym zapale woła Platon: „Istoty o obrzydłéj postaci, z ciała których bucha ogień, związują przestępcom nogi, ręce, głowę; rzucają ich o ziemię, ciało ich rozrywają uderzeniami bicza i, objaśniając przyczynę takowego postępowania, ciągną ich do Tartaru (Rzeczpospolita, X).“

Jeżeli z jednéj strony praca nad uporządkowaniem pojęć o życiu pośmiertném, otrzymanych w spadku po czasach przedhistorycznych, nie ustawała i same pojęcia coraz głębiéj, stawszy się podstawą psychologii i etyki, zaczęły wnikać w umysły i władać niemi; to

z drugiéj—uspołecznienie wyższe, kultura wyższa, usamowolniając człowieka, uczyły jak z życia korzystać i coraz bardziéj przywiązywały do niego. Dwa te różne kierunki wyrobiły nieznaną przedtém bojaźń śmierci. Śmierć w dwojakiéj stawała postaci: jako ostatni kres życia, koniec istnienia na ziemi, i jako początek życia zagrobowego, istnienia nowego, tajemniczego, pełnego grozy, cierpień, smutku, tęsknoty, początek snu wiekuistego. Fale Acherontu, postać Charona, przestrzenie Tartaru stały się synonimami najwyższéj grozy. Dźwięki same ich nazw budziły przerażenie. Na cienie Styksu klęli się bogowie i takie zaklęcie obowiązywało ich wszechmoc nawet do spełnienia zobowiązań, gdyż i w nich Styks równy ludzkiemu przestrach wzniecał.

Lukrecyusz, autor sławnego poematu „De natura rerum," będącego do dziś jeszcze najlepszém źródłem do poznania filozofii epikurejskiéj, najwyższe pochwały oddaje jéj twórcy za to, że wybawił ludzi od strachu śmierci, który

> .....neque ullam
> esse voluptatem liquidam puramque reliquit (III, 40).

Wirgiliusz jedną z XII pieśni w poemacie swoim Eneida (VI) poświęca opisowi światów podziemnych i kreśli w niéj obraz istnienia ludzi po śmierci. Ponieważ zamiarem Wirgiliusza było stworzyć poemat narodowy, wprowadza więc do swego utworu wszelkie ludowe podania i wierzenia. Stojąc zaś sam na szczycie wiedzy owoczesnéj, należąc do najwykwintniejszego towarzystwa rzymskiego, nie mógł podań tych i wierzeń pozostawić bez krytyki, a przynajmniéj, bez racyonalniejszéj podstawy. Starał się przeto—co zwłaszcza uwydatniło się w téj mianowicie części jego arcydzieła—pogodzić je z tém, co o tém twierdziła historya lub współczesna mu filozofia, naturalnie ta, która przyznawała sam fakt istnienia dusz po śmierci i ztąd tych światów.

Tak więc VI księga Eneidy zawiera jednocześnie podania ludowe, uporządkowane na podstawie teoryi Platona, i może być przyjętą za ostatnie sformułowanie pojęć społeczeństwa starożytnego o życiu pośmiertném człowieka, wypowiedzianych w przeddzień stanowczych zmian w tych pojęciach, zaszłych pod wpływem Chrystyanizmu. Co nadaje téj księdze wyjątkową w tym wypadku wartość.

Świat przez ludzi zmarłych wyłącznie zaludniony i dla Wirgiliusza znajdował się w podziemiach. Wejścia do nich jednakże nie szukał, jak Homer, na północy, w krajach Kimeryjczyków, lecz w samych Włoszech, w grotach leżących obok jeziora Awerneńskie-

go. I chociaż i dla bohatera jego, Eneasza, pobudką jedyną do podróży téj była jak i dla Odysseusza ciekawość—chciał się bowiem dowiedzieć jakie losy oczekują miasto, które miał założyć we Włoszech, by w niém pomieścić wyrwanych z palącéj się Troi bogów narodowych, Eneasz atoli już się nie zatrzymuje jak Odysseusz na powierzchni ziemi, lecz w towarzystwie czarodziejki kumejskiéj wchodzi do podziemia i dociera ostatnich jego granic.

Postulaty etyczne dopięły swego. Podziemie zostało podzielone na trzy części. Pierwsza była miejscem pobytu wszystkich ludzi, których życie nie odznaczyło się niczém szczególniejszém, ni w dodatniém ni w ujemném znaczeniu. Druga część stanowiła właściwe piekło, Tartar, miejsce dla przestępców. Trzecia, Elizyum, dla bohaterów. Podział taki pozwolił jeszcze bardziéj zwiększyć grozę przedziału pierwszego i drugiego.

Przy progach, w samém wnijściu piekielnéj paszczęki
Siedzą mściwe zgryzoty i płaczliwe jęki,
Smutna starość i chorób różnych blade roty,
Bojaźń, ohydne Ubóstwo, Głód, radca niecnoty,
Straszne oba potwory, Śmierć, Trud uciążliwy,
I Sen, złączony z śmiercią bliskiemi ogniwy,
I po zbrodni spełnionéj Radość niespokojna.
Na przeciwnym zaś progu mężobójcza Wojna,
Żelazne Jędzy łożyska i Niezgoda wściekła
Włos jaszczurczy skrwawioną zawiązką przewlekła.
(tłómaczenie Dmochowskiego)

Obok klęsk rzeczywistych, dręczących ludzkość całą i jednostki, mieści poeta i fantastyczne istoty jak Gorgony, Harpie, Hydry i Chimery. Grozę miejsca, zaludnionego przez takie twory, podnosi jeszcze wieczna ciemność i cichość ponura.

Przewoźnik przez Acheront i Styks, Charon, oraz samo przewożenie, tak się przedstawia:

...broda osiwiała,
W błędnych kudłach pierś kryje, wzrok płomieniem pała.
Węzłem ujęta z ramion wisi płachta licha,
Sam żaglem łódź kieruje, sam drągiem popycha
I na zbutwiałym promie jest przewódcą cieni....
Tłumem do brzegu matki i ojcowie biegli,
I mężowie co śmiercią walecznych polegli,
Dzieci, zgasłe dziewice przed ślubnemi wieńcy
I stosom dani w oczach rodziców młodzieńcy...
Stali prosząc, by pierwsi byli do żeglugi,
I wyciągnęli ręce, chcąc przejść na brzeg drugi...
Sternik już do tych prośby, już owych się skłania.
Innych—wiosłem od brzegów daleko odgania.

Odpędzone tak brutalnie cienie, były to dusze zmarłych, którzy jeszcze nie zostali pogrzebani według przepisanych obrzędów.

Przeprawiwszy się przez rzekę, Eneasz podąża przez przybytek cieniów zwykłych do Elizyum. Po drodze ciągle go spotykają dusze, bądź znanych osobiście za życia ludzi, bądź téż tylko z podań lub historyi. Nagle spójrzał Eneasz,

> ... a w tém z lewéj strony
> Widzi grodziec troistym murem otoczony,
> Który czarny Flegeton ognistemi wały
> Okrąża i huczące w biegu toczy skały.
> Brama wielka, dyament w słupach nieprzełomny,
> Największe siły wstrzyma łatwo gmach ogromny,
> Choćby ludzie i bogi złączyły się razem.

Jest to Tartar, gdzie obok przestępców względem bogów i ci,

> Którzy śmieli na wszystko, wszystkie popełnili zbrodnie,
> Ten kraj sprzedał, ojczyznę na niewolę skazał,
> Ten za cenę złota prawa pisał, mazał,
> Ten własnéj córy łoże pohańbił niegodnie...
> Tu przeciwko krwi własnéj brzydkie winowajce,
> Źli bracia, źli synowie. Tu klientów zdrajce,
> Tu chciwi, a tych mnóstwo, co strzegli pieniędzy,
> I swym nie udzielili w największéj ich nędzy.
> Sprawcy bezbożnych wojen tu czekają kary,
> Cudzołóżcy i panom co chybili wiary...

Kodeks ten moralności, jak widzimy, obejmuje wszelkie stosunki społeczne. Widziadła, stokroć jeszcze straszniejsze od poprzednich, strzegą ten przybytek zbrodniarzy; a kara, którą oni ponoszą, nie daje się w szczegółach nawet opisać słowami. Podlegają jéj w grupach.

> Jedni toczą ogromne bezprzestannie głazy,
> Drudzy wiszą wpleceni między sprychy koła;
> Siedzi Tezey i nigdy podnieść się nie zdoła.
> A Flegiasz wśród cieni powtarza przestrogi:
> „Szanujcie sprawiedliwość, pomnijcie na bogi".

Ominął Eneasz Tartar i niedługo w rozkosznéj znalazł się równinie. Było to Elizyum. Mieszkańce jego własném się cieszą słońcem, gwiazdy mają własne, a czas przepędzają w zabawach, które polubili za życia. Ojciec Eneasza, Anchyzes, przypatrywał się duszom, mającym wyjść na widok słonecznych promieni. Byli to bowiem przyszli Rzymianie. Lecz nim wtajemniczył syna w losy przyszłe potomków jego, objaśnia mu poprzednio istotę bytu na ziemi i cel wędrówki pośmiertnéj:

Duch ożywia niebo, ziemię i wody przejrzyste,
Świetny okrąg księżyca, słońce promieniste.
...Rozlana wewnątrz członków dusza
Przyjmuje wszelkie ciało i gmach cały wzrusza.
Ognista siła zlana z niebieskiego łona,
Boską dzielnością wszystkie napełnia nasiona.
Ile podległe śmiertelnemu ciału,
W mdłych członkach pierwotnego nie stracą zapału.

Życie owéj siły boskiéj nie niszczy, lecz zanieczyszcza. Otóż po śmierci ludzie:

Długo przez rozmaite sposoby się czyszczą,
Cierpią i karą dawne przepłacają grzechy.
Jedne są wystawione na wiatru przedechy,
Inszych występek, który istotę ich kala,
W głębi wód się obmywa, lub w ogniu wypala.
Ten jest los wszystkich duszy, to powszechna dola.
Ztamtąd nas posyłają na Elizu pola,
Lecz w małéj stajem liczbie u szczęsnego brzegu;
Dopiero gdy po długim czas wytknięty biegu
Zaciągnione od ciała zgładziwszy zepsucie,
Czysty zostawi ogień i niebieskie czucie,
Te wszystkie, jak tysiączne rok spełni obwody,
Wielkim tłumem bóg wzywa do Etejskiéj wody:
Aby straciwszy pamięć tego co się stało,
Wyszły na widok światła, nowe przybrać ciało.

## 5.

Jak wszystkie ludy, wierzyli i starożytni Hebreowie w istnienie pośmiertne. Dla Aralu assyryjskiego i Amenti egipskiego mieli swą nazwę *Szeol*. Lecz ich fantazya, karmiąca się zwykle bardziéj doczesnemi rzeczami, nie stworzyła obrazu owego szeolu, i w ogóle mało się zagłębiała w istotę bytu w nim zmarłych. Jeżeli poeci wspominają o szeolu, to tylko jako o miejscowości ciemnéj, ponuréj, strasznéj, w któréj dusze w odrętwieniu jakiémś przebywają.

Tymczasem rozwój dziejowy do innego rozwiązania téj kwestyi przygotowuje i doprowadza.

Kilkowiekowe panowanie nad Palestyną kilku różnych państw i narodów wykazało Żydom ich słabość państwową. Niemoc atoli polityczna nie odpowiadała wcale przejęciu się ogółu całego własną odrębnością narodową, nie zgadzała się z opartą na téj odrębności wiarą w żywotność swoją, która nie tylko zdawała się im zapewniać wieczne istnienie, lecz wróżyła nawet ostateczne zwycięztwo nad wrogami i zapanowanie nad światem całym. Rzeczywistość więc zupełnie się różniła od ideałów; teraźniejszość daleką była od wyma-

rzonéj przyszłości. Ziścić ideały, stworzyć przyszłość taką, jakiéj oczekiwali, mógł tylko nadprzyrodzony jaki wypadek, łamiący zwykły bieg rzeczy na świecie.

Istnienie pod obcém panowaniem wymagało ciągłego oporu. Opór prowadził do walki. By walczyć z powodzeniem, należało być pewnym zwycięztwa. Zwycięztwo z państwem potężném stawało się niemożebném. Lecz co było niemożebném dla żydów, stawało się łatwém dla Jehowy, ich boga narodowego. Jego to pomoc właśnie zapowiadali wieszcze narodowi. Na jego względy wyłączne starali się oni zasługiwać skrupulatném wypełnianiem wszystkich przezeń nadanych sobie przepisów. Wierzyli więc, że gdy nadejdzie właściwa na to chwila, gdy złość obcych Jehowie ludów, a ich zasługi dosięgną w oczach jego możebnego szczytu, przyjmie on udział w walce ich z nieprzyjaciółmi, a przyjmie za pośrednictwem swego wysłańca, Messyasza. Zjawienie się Messyasza, a raczéj—odniesione przez niego zwycięztwa, rozpoczną na ziemi królestwo Jehowy, czyli erę nowéj, a ostatniéj monarchii, którą będzie żydowska.

Jeśli by tylko żyjący współcześnie przyjmowali udział w królestwie Jehowy, na co by się przydała wiara w niego poprzednim tylu pokoleniom, strąconym przez śmierć do szeolu, wiara, za którą cierpieli prześladowania, ponosili nawet śmierć w wojnie z nieprzyjaciółmi? Czy nagradzać jednych, za cierpienia drugich było by aktem sprawiedliwości wyższéj, właściwéj Jehowie? Na tak sformułowane pytania, znajdujemy w piśmiennictwie hebrajskiém, z ostatniéj jego epoki, odpowiedź jasną. W królestwie Jehowy przyjmą udział wszyscy ludzie, którzy tylko istnieli. Zmartwychwstanie ciał i sąd nad żywymi i umarłymi poprzedzi erę messyaniczną, która dla jednych będzie nagrodą, dla drugich karą.

Autorowie *apokalips* (1) pokuszali się nie jednokrotnie stworzyć obraz tego sądu. Najplastyczniéj przedstawili dwaj, autor Apokalipsy, przypisywanéj Janowi, i autor tak zwanéj księgi IV Ezdrasza. Utwory ich przez długie wieki illustrowała sztuka chrześciańska.

Autor pierwszéj apokalipsy, chcąc żydów wyróżnić wśród innych ludów i im, jako narodowi wybranemu, prędszą i dłuższą zapewnić nagrodę, przyjmuje dwa zmartwychwstania, cząstkowe, wyłącznie dla wierzących w Jehowę, i ogólne, późniejsze od tamtego o lat tysiąc; dwa sądy, jeden Messyasza, po cząstkowém zmartwychwstaniu, a po ogólnym—Jehowy, i dwa królestwa, pierwsze, mające

---

(1) Bliższe szczegóły o literaturze apokaliptycznéj podane są: w *Dziejach literatury powszechnéj* (literatura hebrajska, t. I; księga I, początki nowéj ery, t. II), wydanéj przez Lewenthala, i w *Ateneum*: Początki Chrystyanizmu, I, Źródła historyczne (Wrzesień, 1882).

ściśle zakreślone trwanie (lat 1000), w którém, pod rządami Messyasza ma zostawać świat; drugie — wieczne, będące właściwém królestwem Jehowy.

Zwycięztwo Messyasza, jako wodza narodowego, ma poprzedzić zmartwychwstanie i sąd. Oto jak autor opisuje pokazanie się Messyasza, które oglądał w widzeniu: „Widziałem niebo otworzone, a oto koń biały; a który siedział na nim, zwano go wiernym i prawdziwym, a sądzi ze sprawiedliwością i walczy. A oczy jego jako płomień, a na głowie jego wiele koron... a obleczony w szatę krwią pokropioną... I wojska, które są na niebie, jechały za nim na koniach białych... A z ust jego wychodzi miecz z obu stron ostry, aby nim bił narody. A on je rządzić będzie laską żelazną... A ma na szacie i na biodrach swoich napisano: Król nad królami, Pan nad pany. I widziałem Anioła jednego stojącego w słońcu; i zawołał głosem wielkim, mówiąc wszem ptakom, którzy latali przez pośród nieba: chodźcie i zgromadźcie się na wieczerzę wielką bożą, abyście jedli ciała królów, ciała tysiączników i mocarzów, ciała koni i siedzących na nich, ciała wszystkich wolnych i niewolników, małych i wielkich... I widziałem bestyą (upostaciowanie Rzymu); króle ziemskie i wojska ich zebrane, aby stoczyły bitwę z tym, który siedział na koniu i z wojskiem jego. I pojmana bestya... i pobici są mieczem siedzącego na koniu... a wszyscy ptacy nasycęni są mięsem ich...“ Po zwycięztwie nad nieprzyjaciołmi narodu żydowskiego nastąpiło zmartwychwstanie, wierzących w Messyasza, dawniéj pomarłych, i sąd. Autor tak daléj opowiada: „I żydzi królowali z Messyaszem tysiąc lat. Inni z umarłych nieżyli aż się skończyły tysiąc lat (Apokalipsa Jana, XIX, XX)“.

Obraz sądu drugiego: „A gdy się skończą tysiąc lat będzie rozwiązan szatan z ciemnicy swojéj i wynijdzie i będzie zwodził narody, które są na czterech węgłach ziemi, i zbierze je na walkę. I zstąpił ogień od Boga z nieba i pożarł je; a dyabeł, który je zwodził, wrzucon jest w jezioro ognia i siarki... I widziałem stolicę wielką, białą i siedzącego na niéj, przed którego obliczem uciekła ziemia i niebo... I widziałem umarłe wielkie i małe stojące przed obliczności stolicy, a księgi są otworzone. I drugą księgę otworzono, która jest żywota. I osądzono umarłe z tego, co napisano było w owych księgach wedle uczynków ich. I dało morze umarłe, którzy w niém byli; i śmierć i piekło dały umarłe swe, którzy w nich byli, i sądzono każdego wedle uczynków jego. A śmierć i piekło wrzucono w jezioro ogniste. To jest śmierć wtóra (Apok. XX)“.

Akt ten atoli nie będzie zniszczeniem świata, lecz odnowieniem. Powstanie niebo nowe i ziemia nowa. A gdy szatan, który

zwodził ludzi, zostanie wrzucony w ogień, gdy złych spotka śmierć druga, rozpocznie się istotny w życiu ludzkości wiek złoty. Jerozolima odnowiona stanie się duchowną stolicą całego świata.

W księdze IV Ezdrasza, w głównych zarysach znajdujemy te same pojęcia. Podaje jednakże ona wiele szczegółów drugorzędnych, myśli, spostrzeżeń, a nawet nazw, które następnie uformowały symbolikę sądu ostatecznego. Oto co głos tajemniczy objawia autorowi w widzeniu: „Nadejdzie czas, kiedy mieszkańce ziemi poczną ginąć w wielkiéj ilości. Prawda zniknie. Wiara zostanie wygnaną. Ucisk będzie większy niż obecnie, jaki jeszcze nigdy nie był. Kraina, która ma władzę nad innemi zostanie zniszczona i padnie przygnębiona... usłyszysz dźwięk trąby trojakiéj i wnet słońce zaświeci wśród północy, księżyc trzy razy zabłyśnie wśród dnia; krew z pni drzewa popłynie, kamienie przemówią. Narody struchleją. Wtedy okaże się w potędze swéj ten, w którym nadziei swéj nie pokładały ludy. Ptaki opuszczą swój kraj, by przelecieć do innego. Morze Sodomskie z wnętrza swego wyrzuci ryby... ziemia otworzy się w wielu miejscach; wyjdą z niéj ognie; dzikie zwierzęta szukać będą nocnych legowisk; brzemienne niewiasty porodzą potwory; wody słodkie staną się słonemi... Ukażą się księgi rozwarte na niebie i wszyscy w nich czytać będą mogli. Dzieci roczne przemówią; trąba zabrzmi... ci, którzy śmierci nie poznali (Enoch i Eliasz) świadkiem tego będą...“ Wtedy nastąpi zjawienie się Messyasza. Era messyaniczna trwać będzie lat 400.

Po upływie tych lat świat wpadnie w chaos pierwotny i pozostanie w nim przez dni siedem. Zaczém rozpocznie się sąd drugi: „groby się otworzą: zmarli porzucą prochy, ziemia odda wszystkich, których kryje. Najwyższy pokaże się na trybunale, by rozpocząć sądy...“ (Ezdras, IV, 6, 7).

Oba te pomniki pochodzą z końca wieku 1-go, naszéj ery. Kilkanaście wieków, dzielących od téj chwili, dostarczy dość czasu na zlanie obu tych zjawisk w jedno i na uzupełnienie obrazu temi szczegółami, które spotykamy w opisach i widzeniach późniejszych, oraz w utworach sztuki.

## 6.

Gdy Jezus z Nazaretu przez garstkę współwyznawców za Messyasza uznany skonał na krzyżu nie spełniwszy dzieła, którego Messyasz dokonać był powinien, rozpacz i zwątpienie ogarnęło uczniów. Lecz dnia trzeciego rozchodzi się wieść o zmartwychwstaniu jego. Potwierdza ją zniknięcie ciała z grobu. Podtrzymują liczne zjawia-

nia się wśród żyjących wyznawców, w postaci żyjącego. Udowadnia podniesienie się w górę, jak to był dawniéj uczynił Enoch i Eliasz, i zniknięcie w obłokach. Wiara w jego osobę powraca. Pewność ziszczenia się obietnic jego wzmaga się, w stosunku do niezwykłości wypadku. Czego dotąd nie dokonał w życiu, rozumują pierwotni Judeo-Chrześcianie, dokona powróciwszy na ziemię, w sposób, w jaki ją był opuścił. Więc już nie narodzenia się jego, jak dotychczas oczekiwano, lecz tylko powrotu na ziemię z nieba wyglądają (1).

Gdy w kilku pierwszych stuleciach ery naszéj zaczęto skrzętnie zbierać wszelkie podania o życiu, skonie i pośmiertnych zjawianiach się Jezusa, gdy żywot jego rzeczywisty przez zmartwychwstanie, niby ogniwem, najzupełniéj połączony został z istnieniem pośmiertnym, wierzący nie mogli zapomnieć, że od chwili śmierci, do chwili powrotu do życia, upłynęło, według tradycyi, godzin kilkadziesiąt, nie mogli nie zbadać, gdzie przebywała i co porabiała dusza Jezusa przez ten przeciąg czasu pośmiertnego swego istnienia.

Ślady pracy wyobraźni w tym kierunku, ślady dociekań nad tym przedmiotem tajemniczym, pozostały w Ewangelii Nikodema.

Ewangelia ta składa się z dwóch części odrębnych, prawdopodobnie napisanych przez dwóch różnych autorów i stanowiących pierwotnie dwie oddzielne całości. Łączy te części z sobą tylko treść, będąca w jednéj uzupełnieniem zawartości drugiéj, oraz charakter obu ściśle legendarny.

Pierwsza część znana jako *Akta Piłata*, podaje opis szczegółowy wypadków, poprzedzających śmierć na krzyżu Jezusa, a rozpatrywanych z punktu widzenia chrześciańsko-rzymskiego. Druga— nosi osobny tytuł *Zstąpienie Jezusa do piekieł*. Ta część właśnie zawiera opowiadanie o wypadkach, łączących oba żywoty Jezusa.

Jezus, jako człowiek, nie tylko podlega wspólnéj doli wszystkich ludzi i umiera, lecz jeszcze dzieli losy pośmiertne ludzkie, gdyż zstępuje do świata podziemnego, gdzie znajdowały się dusze ludzi zmarłych. Otóż druga część Ewangelii Nikodema wykłada cel i skutki pobytu w tym świecie Jezusa.

Obie części powstać mogły dopiero w czwartym lub piątym wieku, co wywnioskować się daje z charakteru samych legend, a połączone z sobą zostały w jedną całość jeszcze później. Tekst oryginalny obu, podobnież, jak i wszystkich tego rodzaju utworów,

---

(1) Dwa w poprzednim rozdziale przedstawione pomniki, powstały wśród Judeo-Chrześcian. Zjawiający się wśród nich Messyasz ma wyobrażać właśnie powracającego Jezusa.

był w języku greckim. Wczesny atoli przekład na łacinę rozpowszechnił je na zachodzie.

Autora części drugiéj pochłania całkowie jedna osoba: Jezus; zaprząta jedna myśl, czyny jego. Nie zbacza więc od obranego przedmiotu, nie potrąca żadnych szczegółów obcych zadaniu. I chociaż czerpał w legendach i z obrazów utworzonych przez legendy ułożył swe opowiadanie, wszystko pomija, co tylko bezpośrednio nie łączyło się z bohaterem głównym i jedynym. Dusza Jezusa miała powrócić dnia trzeciego do ciała. Pobyt jéj przeto w państwie zmarłych był tylko chwilowy. Fakt zmartwychwstania zaświadczył o zwycięztwie nad śmiercią i bóstwami śmierci, władcami dusz zmarłych, szatanami. Pomija więc autor wszelkie opisy miejscowości i wprowadza te allegoryczne istoty, z któremi Jezus walczył i które ostatecznie pokonał. Dusza Jezusa chociaż zstąpiła do przybytku zmarłych, nie wstąpiła na zwykłych warunkach i w celu zwykłym. Jezus zstąpił do piekieł, by z niego uwolnić dusze tych ludzi, którzy przed przyjściem jego na świat już nań oczekiwali, przed ogłoszeniem przez niego światu „dobréj nowiny“ już weń wierzyli. Autor przeto nie wyprowadza na scenę ludzi, lecz mityczne postaci, dla których Jezus przedsięwziął tę wędrówkę. Autor drugiéj części Ewangelii Nikodema żył w czasach, kiedy Grek z języka już tylko był grekiem; gdyż tradycye hebrajskie, któremi całkowicie się przejął, kazały mu zupełnie zapomnieć o Arystotelesie i Homerze; gdyż kultura żydowska, będąca w zasadzie negacyą greckiéj, całkowicie ją wycisnęła. Nie istniał więc dla niego świat inny, oprócz biblijnego; innych tradycyj nie znał, oprócz hebrajskich. Nie o losy więc swoich bohaterów narodowych mu chodziło, chociaż ich zasługi sławił świat cały; nie o swoich mędrców i wieszczów się troszczył, chociaż życie ich jaśniało cnotami, przyświecało prawdą, lecz o Adama, Noego i innych patryarchów hebrajskich.

Wpłynąć jednakże mogła poniekąd na sposób przedstawienia obrazu jeszcze i ta okoliczność, że autor nie mając pierwowzoru piekła w piśmiennictwie hebrajskiém, stworzyć go sam nie mógł, zapożyczać od poetów klasycznych nie chciał.

Pomimo jednakże téj wyłączności, a może właśnie w skutek téj wyłączności, utwór ten wywarł wpływ wielki na dalsze kształcenie się pojęć o życiu pośmiertném w świecie chrześciańskiém. Przyczyniła się do tego niechybnie forma oryginalna i zręczne poruszenie wielu kwestyj teologicznych w dyalogach żywych i barwnych.

Autor wprowadza na scenę dwóch synów niejakiego Symeona, Karynusa i Leucyusza, którzy byli pomarli, lecz następnie powrócili znowu do życia. W czasie ich bytności w przybytku zmarłych Jezus

zstąpił do niego. Byli przeto świadkami wszystkich jego czynności i o takowych w zgromadzeniu kapłanów żydowskich opowiadają. Właśnie to ich opowiadanie stanowi ową część drugą (Rozdziały: XVII — XXIX).

I w piekle, tak samo jak i na ziemi, zjawienie się syna bożego zapowiedziane zostało cudami. Razu pewnego pierwszy człowiek Adam, patryarchowie hebrajscy i prorocy, przebywający w głębokościach ziemi i pogrążeni w wiecznym mroku, ujrzeli nagle blask słońca złocisty, a jasność purpurowa oblała ich. Zrozumieli, że zjawisko to zapowiada zmianę w ich losie i już się cieszyć zaczęli (XVIII), gdy oto nadchodzi Symeon i obwieszcza, że się już Jezus narodził, a nawet nowonarodzonego on na rękach swych już piastował. Wzbudzoną radość wieściami, przez Symeona udzielonemi, zwiększyło przybycie Jana Chrzciciela, który znowu opowiada o chrzcie Jezusa w Jordanie, o duchu świętym, w postaci gołębia zawisłym nad głową chrzczonego, i o głosie z nieba, który dał się słyszéć i wskazał, kto jest ów, którego chrzci (XIX). Wówczas to Adam rozkazał synowi swemu Semowi, by powtórzył słowa Michała anioła, zapowiadające narodzenie się syna bożego, wstąpienie jego do piekieł, w celu uwolnienia go z ciemności i zaprowadzenia do raju (XX). U tego pewność zmiany zastąpiła przeczuwanie jéj.

Obok grupy radujących się z przybycia Jezusa, autor stawia drugą, dla któréj to przybycie było zapowiedzią upadku (XXI). Stanowi ją szatan i bóg piekła. Rozmowy jednéj grupy i drugiéj, powtórzone przez autora, mają na celu przedstawienie potęgi Jezusa. Nakoniec rozlega się głos, niby grzmot silny: „Otwórzcie wrota, król chwały się zbliża“. Bóg piekieł w gniewie na szatana, że podburzył Żydów na Jezusa i doprowadził do tego, że ci go zabili, a więc, że przyśpieszył chwilę zstąpienia jego do piekła, odtrąca go od siebie i sługom swoim każe przygotowywać się do obrony i Jezusa nie wpuszczać. Lecz święci, oczekujący Jezusa przedstawiają mu bezcelowość wszelkiego oporu i przygotowań (XXII). Jezus się zjawia (XXIII), wyciąga rękę do świętych, i tak przemawia: „pójdźcie do mnie, święci moi wszyscy, którzy nosicie na sobie obraz mój i podobni do mnie jesteście, którzy przez drzewo (zapewne wiadomości dobrego i złego, pomieszczone w Edenie), diabła i śmierć byliście potępieni, patrzcie przez drzewo (krzyż) diabeł i śmierć są potępieni“ (XXV). I ująwszy rękę Adama, podał ją Michałowi archaniołowi, który go do raju poprowadził. Za Michałem i Adamem podążyli wszyscy, którzy o przybyciu Jezusa na świat wiedzieli i oczekiwali go. Nakoniec, za nimi podążył i ów łotr, któremu Jezus, gdy obok niego na krzyżu wisiał, zapowiedział, że będzie w raju (XXVII).

Po dokonaniu się tych wszystkich rzeczy Michał rozkazał powrócić na ziemię opowiadającym, by mogli zaświadczyć o bytności Jezusa w piekle i zdać sprawę z tego, co sami widzieli. Wraz z końcem opowiadania skończyła się i misya dwóch zmartwychwstałych synów Symeona. Pokrywszy się białością olśniewającą, świadkowie z przed oczu zgromadzonych znikają (XXVIII).

To ich cudowne zniknięcie udowodnić miało prawdziwość opowiadanych wypadków oraz samego faktu opowiadania.

## 7.

I znowu ubiegło lat z tysiąc nim pojęcia o życiu zagrobowem, pod wpływem wypadków, wytwarzających nową erę życia dziejowego, rozwijane w mytach i legendach ludowych zdołały się zlać w jedną całość, w jednym umyśle skrystalizować; nim potrafiły natchnąć ten umysł nowemi w porównaniu z poprzedniemi pomysłami i pobudzić twórczość jego do indywidualnéj na tém polu roboty. A wyobraźnia ludowa pracowała skwapliwiéj i z coraz większém niż kiedykolwiek w przeszłości powodzeniem.

Powstawszy ze stowarzyszenia, którego celem jedynym i ostatecznym było jak najstosowniejsze przygotowanie się do powrotu Jezusa z nieba, dokąd się był wzniósł po swoim zmartwychwstaniu, Chrystyanizm, skoro ów powrót nie następował w zapowiedzianym czasie, królestwo boże, mające się dla żydów urzeczywistnić na ziemi, przeniósł na życie pośmiertne. Przeniesienie to leżało w naturze rzeczy i było konsekwentnym wynikiem rozkrzewienia się wśród społeczeństwa nieżydowskiego, przy owoczesnych warunkach społeczno-politycznych, czysto żydowskich, a więc mu zupełnie obcych, pojęć mesyanicznych.

„Dobra nowina,“ polegająca na zapewnieniu Jezusa, że królestwo Jehowy wkrótce nastąpi, przedarła się wnet po śmierci jego za granice Judei. I chociaż była groźbą dla świata całego, gdyż zapowiadała przewroty mające zmienić dotychczasowy porządek rzeczy na ziemi, nie przerażenie lecz radość, nie rozpacz lecz nadzieję wywołała w tych, którzy ją przyjęli i w nią uwierzyli. Stan rzeczy bowiem w całym podówczas historycznym świecie był jeszcze groźniejszy niż w Judei. Tam przynajmniéj patryotyzm gorący wywoływał walkę, a przez nią podtrzymywał życie; gdzieindziéj zaś umysłami władała apatya zupełna, pogrążająca je w bezczynności sennéj, lub rozpacz głucha, żadnéj zmiany na lepsze zniskąd oczekiwać nie dozwalająca.

Przedewszystkiém przyczyny tego szukać należy w ustroju politycznym.

Idea monarchii powszechnéj doprowadziła świat starożytny do bankructwa. Ludy rozmaite zmuszone były stawać się pokolei rzymskiemi, gdy sami rzymianie, ostatni w tym świecie reprezentanci téj idei, przestawali być rzymianami w znaczeniu, jakie przywiązuje do téj nazwy przeszłość ich dawniejsza. Cóż bowiem podówczas niosły w darze ludom legiony rzymskie? Tylko władzę cezara. W imię zaś jakiéj idei rozprzestrzeniali swą władzę cezarowie rzymscy? Tylko we własnym interesie. Rzucali legiony w strony dalekie, by oderwać uwagę od tego, co sami broili w Rzymie. Tryumfami wojennemi zasłonić przed oczyma upakarzającą niewolę w domu pragnęli. A przytém zwycięztwo nadawało im prawo łupienia. Zbierali więc z całego świata bogactwa by niemi przekupywać słabych, wynagradzać nikczemnych w swém otoczeniu.

Cezaryzm przedstawiał pokój. Pokój ten atoli nie był właściwie spokojem, którego wymaga rozwój prawidłowy wiedzy i przemysłu ludzkiego, lecz raczéj, dla natury społecznéj człowieka szkodliwą i instyktowo dla niego wstrętną martwotą grobową, która pozbawia ludzi cech właściwie różniących ich od reszty świata zwierzęcego, a więc—przeistacza ją, demoralizuje, upokarza. Cezarowie uwalniali ludy od ich własnych dynastyj, wylęgłych z warunków miejscowych i ostatecznie umiejących do tych warunków się zastosowywać. Lecz uwalniając, jednocześnie nasyłali rządców, obcych zupełnie krajowi, niczém z nim, nawet mową, nie związanych, a zawsze nieprzyjaźnie ku niemu usposobionych. Ci, nie będąc przed rządzonymi za czyny swe odpowiedzialni, nie rządzonych wygodę i interes, lecz swój własny, lecz korporacyi swéj mieli na celu; a interes ten zawsze był sprzeczny z interesem ogółu, wśród którego przebywali, i z natury stosunków zawsze mu nawet szkodliwy. Cezarowie godzili w każdym kraju zwaśnione partye; wyrywali oręż z rąk bratobójczych; otaczali opieką prześladowanych. Lecz godzili partye, obie zmuszając do milczenia; wyrywali oręż, by walczących już na zawsze ubezwładnić; a za opiekę, krzywdzeni z krzywdzącymi jednakowo płacili.

A przytém, za legionami rzymskiemi wkraczali bogowie rzymscy. Narzucany kult bogów zwycięzkich, podkopując religią narodową, wytwarzał zobojętnienie ku praktykom religijnym w ogóle. Za legionami wkraczali prawodawcy, którzy wprowadzając drogą bezprawia, gdyż za pomocą siły, różne urządzenia prawne, gruchotali utrwalony porządek społeczny. Wprowadzone nowe zwyczaje łamiąc się ze staremi, wytwarzały chaos w życiu. Nadto bogacenie

się obcych urzędników, pomijając już demoralizacyą szczepioną i gwałty publiczne i prywatne, dokonywane w celu łupiestwa, zubożyło wielce ludy wszystkie, gdyż łupy swe z obdartego kraju wywozili oni. Rzym się wznosił i ozdabiał kosztem Aten, Aleksandryi, Pergamu, oraz tylu innych miast, któremi usiana była Azya zachodnia, a których obecnie ślad nawet został zatarty. Rzymianie zabierali dzieła sztuki i kosztowności, nagromadzone po świątyniach i pałacach. Hordy dzikszych najeźdźców gmachy same obalały.

Lecz znosić prześladowania polityczne, odczuwać klęski narodowe było jeszcze przywilejem. Znaczna część każdego narodu za własność osobistą kilkunastu czy też kilkuset tysięcy jednostek uznana, do znaczenia zwierzęcia domowego, narzędzia w rękodzielnictwie lub sprzętu w gospodarstwie zepchnięta, prawo mianowania się człowiekiem miała sobie odjęte, a więc nie mogła i nie powinna była odczuwać potrzeb życia społecznego i politycznego, cierpieć, w skutek niemożności zaspokojenia ich, boleć wskutek gwałcenia.

A nawet podpory w wiedzy, ukojenia dostarczanego przez naukę podówczas zabrakło. Filozofia grecka na szerokiéj i prostéj drodze, na którą wprowadził ją Arystoteles, nie mogła się utrzymać długo. Zetknąwszy się bowiem z systematami religijnemi rozmaitych narodów wschodnich, przejęła od jednego podstawy, od drugiego sposoby dochodzenia prawdy. Gdy nieliczni stoicy, dla swych przekonań etycznych, i jeszcze mniéj liczni epikurejczycy, dla swéj wiedzy, podkopującéj owoczesny porządek na świecie, uznany urzędowo za doskonały i jedynie możebny, narówni ze zbrodniarzami podlegali karom i prześladowaniu, wolno praktykujący nowoplatończycy i pitagorejczycy, ciesząc się ogólnym uznaniem jako obrońcy zachwianéj religii i moralności, zdobywali sobie adeptów wyzywaniem duchów, uzdolnianiem do rozmów z bóstwami, dokonywaniem rozmaitych cudów i uzdrowień.

Zrozpaczonym, którzy celu w życiu nie widzieli a utonąć w uciechach zmysłowych nie zdołali; mistykom, dla których życie było majaczeniem senném; wykluczonym ze społeczeństwa, którym przyczyna ich stanowiska nierozjaśnioną się wydawała, Chrystyanizm odkrył, co pojąć nadaremnie usiłowali, zagadkę życia. Uczył bowiem, że życie ziemskie, doczesne, jest przygotowaniem tylko do innego, wiecznego, pośmiertnego, a cierpienia, nędzę i prześladowania zsyła Jehowa wszechmocny, ojciec wszystkich sprawiedliwy i kochający, zsyła zaś w celu wyprobowania wiary i mocy doświadczanych niemi ludzi. Natężenie próby świadczy o większém zainteresowaniu się Jehowy losem jednostki. Zwycięskie wyjście z próby otwierało człowiekowi po śmierci żywot rozkoszny. Upadek w pró-

bie prowadził człowieka bezpośrednio do wiecznego zatracenia. Lecz cóż nazywało się zwycięztwem? Znoszenie cierpliwe wszelkich prześladowań i dolegliwości bez sarkania i najmniejszego oporu. Wszelkie przeciwdziałanie stanowi więc upadek. By wrodzoną krewkość, podtrzymującą w działalności siły fizyczne i umysłowe osłabić i w skutek tego mniéj pochopnym człowieka uczynić do czynu, Chrystyanizm wprowadza i usilnie zaleca rozmaite praktyki ascetyczne.

Cóż więc czynić pozostawało ludziom skłaniającym ucho swe na te słowa pociechy? Zgadzać się na wszystko, milczéć, cierpiéć, a nadto, pożądać istnienia zagrobowego, wyglądać z utęsknieniem śmierci, jako jedynego sposobu wyjścia ze stanu obecnego, jako jedynie możebnego rozwiązania uciążliwéj gmatwaniny życia. Uznawszy apatyą za zasługę, a niemoc za dowód łaski Jehowy, nowe teorye stały się narkotykiem znieczulającym na cięcia probującego swego rzemiosła chirurga. Znieczulając atoli, ubezwładniały: co niepozwalało odtrącić ręki krającego...

Wielkie wypadki dziejowe, które położyły kres państwu rzymskiemu i na widownią wprowadziły nowe ludy, nie wywołały żadnéj przeciwko temu reakcyi, nie zmieniły pod tym względem wcale kierunku umysłów. Upadek tak potężnéj monarchii, zatarcie cywilizacyi starożytnéj, wraz z towarzyszącemi temu okolicznościami, wojny, niebezpieczeństwa, mordy, grabieże, pożogi, potwierdzać raczéj zdawały się wyrobione poglądy o wartości i znaczeniu życia. Nowe ludy przyjmowały je jako dogmata, jako wstęp do nauki, zachętę do wiedzy, jako owoc doświadczenia starszych w cywilizacyi braci a obecnie mistrzów.

Gdy literatura religijna wyparła całkowicie klasyczną, a mity semickie i legendy ewangieliczne wyrugowały z pamięci wszystkich ludów podania własne, życie pośmiertne stawszy się przedmiotem ciągłych dociekań, znaczeniem swém pochłaniało umysły, tajemniczością nęciło wyobraźnię. Jedni puściwszy jéj wodze stwarzali nowe światy, nieznane starożytnym, i stosownie do wymagań etyki je zaludniali. Drudzy starali się pogodzić znane fakty naukowe z nowemi o tém życiu pojęciami. Częste zjawianie się duchów, nawiedzających z tamtego świata ziemię, stanowiły ciągły łącznik pomiędzy zmarłymi i żyjącymi. Ascetyzm wywoływał ekstazy. Ogólny nastrój umysłów podtrzymywał je. Ekstaza pozwala jeszcze przed zgonem kosztować w wizyach rozmaitych rozkoszy lub grozy istnienia pośmiertnego. Powstawały więc legendy, które, karmiąc wyobraźnię, do tworzenia nowych wciąż pobudzały. Po nad wszystkiém zaś górujący mistycyzm, każdy pomysł zabarwiał cudownością, a zacierając

wszelkie różnice pomiędy prawdą i wymysłem, pomiędzy możebnością i niemożebnością, co raz bardziéj z pod nóg usuwał rzeczywistość.

Utworem będącym najdokładniejszym wyrazem uczuć i pojęć owoczesnych, oryginalnym i pięknym zarazem pomnikiem kierunku całego, jest Boska Komedya Dantego (1265—1321).

Boska Komedya nie jest wcale cząstką tylko pewnéj całości, jak Wędrówka Astarty, Odysseusza, lub Eneasza w światy podziemne; również nie jest księgą rytuałową, jak *Księga zmarłych* egipska, lub, chociaż oddzielnym utworem, ale zawsze poniekąd tylko okolicznościowym, jak Ewangelia Nikodema; lecz zamkniętą w sobie całością artystyczną i obejmuje życie zagrobowe w trzech jego stanach, według nauki chrześciańskiéj.

W Odyssei i Eneidzie uderza nas, przedewszystkiém, ta okoliczność, że zarówno ludzie źli i dobrzy, zbrodniarze i bohaterowie cierpią, jak gdyby wszyscy karę jednakową ponosić mieli. Ta tylko zachodzi różnica, że cierpienia pierwszych są fizycznéj natury; cierpienia drugich—moralne. Pierwsi doświadczają bólu, drudzy smutku, niczém nie dającego się rozproszyć. Smutek ten wyradza tęsknotę do życia. Tęsknota żywi się wspomnieniami. Achilles chciałby zostać parobkiem, byle by tylko powrócić do życia. Herakles przesuwa się jako cień marny i znękany. Anchizesa ożywia rozmyślanie o przyszłości bohaterskiéj wnuków i potomków jego, więc poniewoli pochłania go życie ziemskie. Przytém wszyscy, karani i nagradzani, znajdują się w jednéj miejscowości. Dzielą ich tylko rzeki. W systemacie, którego Dante staje się przedstawicielem, tęsknota za życiem była-by nielogicznością; pomieszczenie razem w jednéj miejscowości wszystkich zmarłych, łączyłoby tych, którzy z zasady powinni byli zostać na zawsze rozłączeni. Przedewszystkiém zaś, wykazując cierpienia, ponoszone za przestępstwa i zbrodnie, należało wskazać na czém polegać ma istotna szczęśliwość, będąca nagrodą sowitą za dobre przygowanie się do istnienia pośmiertnego.

Ponieważ Chrystyanizm podnosi znaczenie życia pośmiertnego, w skutek przeniesienia na nie pojęcia o królestwie Jehowy, tu, na ziemi, oczekiwanego przez Żydów i przez pierwsze pokolenie wyznawców messyanizmu Jezusa, przeto w samém pojęciu królestwa Jehowy tkwiło już rozwiązanie tego pytania. Królestwo Jehowy dwojako daje się tłómaczyć. Jako jego rządy, czyli królowanie, i jako miejsce, gdzie przebywa, przybytek. Mające się urzeczywistnić na ziemi królestwo Jehowy pojmowano w pierwszém znaczeniu. Wszystkie bowiem ludy miały uznać go za boga swojego, widząc jego potęgę w czynach narodu żydowskiego. Uznanie to uchylało

wojny i zatargi międzynarodowe, oraz prowadziło do przyjęcia praw i przepisów, które dotychczas stanowiły wyłączność wybranego przez Jehowę ludu, a więc ujednostajniało porządek społeczny i nakoniec zapewniało wszystkim już mieszkańcom ziemi stałą i ciągłą opiekę jego, sprawowaną za pośrednictwem Mesyasza. Gdy rzeczywistość rozwiała marzenia, a fakty obaliły wszelką nadzieję zmiany na lepsze w życiu społecznem, królestwo Jehowy wyłącznie już oznaczać poczęło przybytek jego Zapewnienie sobie w niém miejsca – stawało się celem życia na ziemi.

Lecz z tego wywiązywało się jeszcze inne pytanie, a mianowicie, gdzież się znajduje ów przybytek? Chociaż nie było ono zupełnie nowém, gdyż i ludy starożytne dociekały miejsca zamieszkania swoich bogów, lecz okoliczności nowe dodawały mu nowego znaczenia. Przytém, należało jeszcze gdzieś pomieścić dusze, które nie zasługiwały na wieczne męki, a dla przewinień wejść do przybytku bożego nie mogły, nie oczyściwszy się poprzednio z nich. A tymczasem tradycye jedno miejsce tylko wskazywały dla wszystkich—podziemia.

Dante, w chwili wizyi poetyckiéj, przedsięwziąwszy osobiście wycieczkę w światy pozagrobowe, opis których stanowi treść „Boskiéj komedyi“, w tradycyjnych podziemiach mieści dusze na wieczną mękę skazanych. Wędrówka po tych podziemiach dostarcza wątku części pierwszéj poematu. Fantazya średnio-wieczna nie przekroczyła tu granic, ujętych przez Wirgiliusza, w znanym epizodzie. Porównanie rozmaitych ustępów téj części poematu Dantego z pieśnią VI Eneidy, może wskazać tylko różnicę w etycznych poglądach dwóch społeczeństw.

Spuszczając się coraz głębiéj we wnętrze ziemi, poeta wynurza się nakoniec na przeciwległéj jéj stronie. Tam piętrzy się wśród wód oceanu góra olbrzymia, w kształcie ostrosłupa (1). Ona to właśnie mieści na sobie w odpowiednich przedziałach, stanowiących tarasy odrębne, dusze tych, którzy potrzebują jeszcze oczyszczenia nim wejdą do przybytku Jehowy. Wznoszenie się z jednego tarasu na drugi dostarcza treści drugiéj części poematu.

---

(1) Wyobraża poeta, że jedyna część lądu widna na południowéj półkuli, tj. góra czysca, ztąd powstała, że kiedy Lucyper pędem strzały zanurzył się (z téj właśnie strony) w głąb' kuli ziemskiéj, ziemia wyciśnięta ciężarem jego, odprysła w wstecznym kierunku pędu jego i, zostawiwszy za sobą otwór cylindryczny od środka ziemi (przez który właśnie Dante przedostał się na południową półkulę), aż do powierzchni południowéj półkuli, wzniosła się nad tą powierzchnią w kształcie ostrosłupa (Stanisławski, Przypiski do przekładu Dantego).

Z cierpieniami ludzi po śmierci, stanowiącemi karę za przewinienia i zbrodnie ich za życia, wyobraźnia ludzka była już oswojona. Lecz nikt przed Dantem nie ośmielił się, przynajmniéj w tak artystycznéj formie, w takiéj całości zakończonéj i usystematyzowanéj, dotknąć istoty szczęścia oczekującego zasługujących na nie; nikt na tak długo i tak całkowicie nie uchylił zasłony, pokrywającéj tajemnice nieba; nie przedarł się zmysłami za sferę ludzkich uczuć i wrażeń, nie opowiedział słowami tego, co zaledwo dostępne zmysłom, w chwili najwyższego uniesienia, ekstazy, pozbawiającéj czucia i pamięci. Gdzie mowy ludzkiéj mu zabrakło, lub okazała się nie dostateczną, kreśli obraz, i gdzie obraz wydawał się nie zrozumiałym, stawia symbol.

Lecz gdzież Dante mieści przybytek Boga, będący schronieniem dusz ludzkich po śmierci, przy normalnym rozwoju stosunków? Oto za obrębem ziemi, w sferze planet w kręgu gwiazd stałych Karta nieba, ułożona według ówczesnéj wiedzy astronomicznéj, służyła mu za przewodnika w podróży.

Z czyśca Dante wznosi się na księżyc (część III poematu). Na nim znajduje dusze tych istot, które uczyniły ślub wiecznéj czystości, lecz niedokonały postanowienia nie z własnéj winy, tylko ustępując rozmaitym okolicznościom. Brakło im siły woli, energii, goszczą więc najbliżéj ziemi, na jéj powolnym, w swych ruchach od niéj zależnym satelicie.

Wznosząc się daléj dosięga planety Merkurego. Sąsiedztwo słońca przyćmiewa blask téj planety; na nim więc mieszczą się dusze,

> które się o to ubiegały czynnie,
> aby cześć po nich została i sława (przekł. Stanisławski).

Goniąc więc za sławą, zaćmione téż były cnotami innych. Spotkany tam cesarz Justynian, prawodawca państwa rzymskiego, wykłada mu dzieje Rzymu, jako ilustracyą do owych słów powyższych.

Na następnéj planecie, Wenerze, znalazły przytułek dusze tych, których miłość ziemska, aczkolwiek mocno odczuwana, nie odwiodła od drogi dobréj. Na tuż za Wenerą idącém Słońcu przebywają wielcy mistrze nauki chrześciańskiéj. Jéj słowa, niby blask słoneczny ziemi, przyświecają umysłom wiedzy spragnionym. Św. Tomasz z Aquino wysławia przed Dantem żywot św. Franciszka; św. Bonawentura—św. Dominika, w celu wykazania prawdziwéj zasługi i prawdziwéj mądrości.

Na Marsie spoczęli walczący za wiarę chrześciańską. Na Jowiszu—sprawiedliwi monarchowie i wodzowie. Oto jak się oni przedstawiają Dantemu.

Dusze—stały się skrami miłości i składały z siebie znaki naszéj mowy:

A jak z brzegowisk wznoszące się ptaki
Ciesząc się niby zdobytym tu żerem,
Tworzą to krągłe, to długie orszaki,
Tak w łonie świateł ulatując piały
Istoty święte i w postaciach swoich
D I L w koléj wyrażały jasno.
Najprzód bujały nieco z nutą śpiewu,
Potém złożywszy jeden z owych znaków
W milczeniu chwilkę nieruchome stały. .
Tak tedy pięćkroć siedem samogłosek
Ze spółgłoskami razem się zjawiło...
*Diligite jusitiam* było pierwsze słowo
*Qui judicatis terram* w końcu stało.

Głoska M następnie rozwinęła się w postać orła, symbolu państwa rzymskiego. Orzeł ten unosząc się wydawał dźwięki pieśni melodyjnéj, jaśniał blaskiem przyćmiewającém wzrok Dantego. Nakoniec usłyszał on słowa:

żem był sprawiedliwy
I bogobojny—jestem tu wzniesiony
Do chwały wyższéj nad życzenia wszelkie.
A tam na ziemi taką zostawiłem
Pamięć po sobie, że ją zalecają
Ludzie niegodni, lecz nie idą w ślady.

Z planety Jowisza przeleciał poeta na Saturna, gdzie znalazł dusze Świętych pustelników. Za Saturnem, według owoczesnéj astronomii, rozlegała się sfera gwiazd stałych a za nią niebo krystaliczne, zwane również *primum mobile*, gdyż od niego dopiero rozpoczyna się ruch wszystkich ciał niebieskich, krążących na około ziemi jako swego centrum i wraz z nią stanowiących wszechświat.

Dante mknie coraz wyżéj. W sferze gwiazd stałych znajduje pierwszą, według tradycyj hebrajskich, parę ludzi, najznakomitszych świętych, Apostołów i, nakoniec, Maryą, matkę Jezusa. Powyżéj bowiem niema już miejsca dla istoty ludzkiéj. *Primum mobile* zamieszkują aniołowie. Stanąwszy u kresu, chociaż jeszcze nie u celu podróży, Dante z ust świętego Bernarda dowiaduje się, że:

W całém królestwa świętego ogromie
Żaden przypadek miejsca mieć nie może,
Równie jak smutek, głód i pragnienie,
Na wiecznóm bowiem stanęło tu prawie
Cokolwiek widzi i wszystko tak ściśle
Jako do palca pierścień tu przypada.

Lecz owa harmonia panująca w Raju, ów niezakłócony porządek, ład niewzruszony, będący wynikiem zgodnych z sobą praw, nie może stanowić jeszcze celu istnienia po śmierci, nie wyjaśnia istoty szczęśliwości, na którą życiem całém należy zasłużyć. To nam dopiero wykaże mechanizm wszechświata. W wykładzie jego Dante umiejętnie łączy abstrakcye najwyższe z zupełnie realnemi pojęciami, zespala metafizykę z mechaniką, zlewa w jedno ontologią z teologią. Teorya jego cała da się streścić w tych kilku słowach.

Cały wszechświat jest objęty niebem empirejskiém, bezgraniczném, nieruchomém, źródłem światła i ruchu. Niebo to jest przybytkiem Boga. Ono wprawia w ruch wszystkie sfery niebieskie. Ruch ów słabnie w miarę odległości ciała niebieskiego od empireum. Ziemia najbardziéj jest oddaloną, stoi przeto nieruchomie, jako centrum wszechświata. Na ziemi powstają ludzie, istoty dwoistne. Jedna w nich cząstka, dusza, potrzebuje ruchu; w istocie jéj leży dążenie ku górze. Tylko zbrodnie ową cząstkę pogrążyć mogą we wnętrznościach ziemi; tylko przewinienia, zatrzymać na przeciwległéj téj ziemi powierzchni i to do czasu pewnego. Cnota ma własność unoszenia dusz w sfery nadpowietrzne. Własności cnót odpowiadają mechanicznemu ustrojowi wszechświata. Czem wyższa, tém wyżéj wznosi ku niebu empirejskiemu, przybytkowi Boga. Czem większe przeto są zasługi człowieka na ziemi, to jest, większe nagromadzenie cnót przezeń, tém dusza jego dostaje się w sferę wyższą, tém łatwiéj może brać udział w większym ruchu wszechświatowym, tém bliżéj jest światła, bliżéj Boga.

Tylko po śmierci niema już rozwoju. Ze sfery na sferę przejście niemożebne. Niemożebność rozwoju nasuwa myśl konieczności korzystania z życia na ziemi. Przykucie do jednéj sfery na wieki, na wieczność całą, odejmując istnieniu pośmiertnemu wszelki interes żywotny, skazuje na zupełną bierność.

Za wstawieniem do Maryi, matki Jezusa, święty Bernard wyjednywa Dantemu pozwolenie sięgnięcia wzrokiem po nad *primum mobile*. Owóż mówi:

> w głębokiéj a przezornéj treści
> Górnego światła, ujrzałem trzy kręgi
> Trojakiéj barwy, a jednakiéj miary.
> Jeden się zdaje, jako tęcza z tęczy,
> Odbił z drugiego, trzeci zdał się ogniem
> Tchnącym z tego i z tamtego razem...

Dante wydarł tajemnicę niebiosom i obwieścił ją. Zdumione potomstwo przezwało poemat jego boskim. Po nim już nic do powiedzenia nie pozostawało, ani też powiedzianém już nie było. Jeżeli

pojawiały się w czasach następnych utwory téjże treści, były one naśladowaniem Boskiéj Komedyi, jéj powtórzeniem; lub też autor schodził ze stanowiska swego własnego i kreślił obrazy, malował uczucia z punktu - widzenia obcego, dogodniejszego dla siebie (np. Lenartowicz w Zachwyceniu). Dante bowiem na to co ujrzał w swéj wędrówce, patrzał oczami mędrca, stojącego na wyniosłości wiedzy owoczesnéj. Późniéj zaś już nikt ze stanowiska współczesnéj sobie nie przedsięwziął podobnéj wyprawy.

Boska Komedya Dantego zamyka szereg pomników piśmiennych, poświęconych życiu pośmiertnemu człowieka, a powstałych wśród ludów, które, pokolei przebiegając jeden zakres dziejowy, są z sobą połączone ogniwami jednéj, wspólnie wyrobionéj cywilizacyi.

*I. Radliński.*

# JAN KOCHANOWSKI

## W UNIWERSYTECIE KRAKOWSKIM.

(Na podstawie metryk uniwersyteckich).

Co mogła dać „Alma Mater Jagellonica“ czternastoletniemu Janowi z Czarnolasu, gdy się na początku letniego półrocza 1544 r. w poczet jéj wychowańców zapisywał? czém mogła pobudzić młodociany umysł do pracy, zachęcić do niéj? oto pytania, które głównie zaprzątać nas będą. Skąpe źródła, jakie nam do rozjaśnienia tych kwestyj pozostały, nie pozwalają, niestety, kusić się o pełny obraz uniwersytetu Krakowskiego w roku 1544. Obraz taki daje się tylko w słabéj podobiznie odtworzyć ze wzmianek ogólnych o stanie akademii u schyłku pierwszéj, a w początkach drugiéj połowy XVI wieku.

W r. 1551, a więc w lat 6 po roku, który nas bliżéj obchodzi, ukazuje się dzieło p. n. „Simonis Maricii Pilsnensis, iureconsulti—De Scholis seu Academiis libri duo (Cracoviae in officina Hieronymi Scharffenbergi anno salutis MDLI, mense Aprili)“. Dzieło to musimy poczytać za źródło do rozjaśnienia téj epoki akademii krakowskiéj niemal jedyne. Było ono wypływem nie chwilowego zniechęcenia lub chwilowych niedostatków uniwersytetu, ale wynikiem długoletniego doświadczenia, jest przeto nieocenionym przewodnikiem w dziesięcioleciu całém, jakie ukazanie się jego poprzedziło. Zapatrywania Szymona z Pilzna są, co prawda, smutne, miejscami zatrważające. Streszczamy poniżéj ubolewania jego i zarzuty, których wiarogodności nikt, zdaje się, nie zechce podawać w wątpliwość, ktokolwiek zważy i stanowisko urzędowe autora i ton przedstawienia, skąd nie tak sarkazm przebija, jak najgorętsze pragnienie poprawy niezwyczajnych stosunków.

A najpierw, jacy ludzie stali u tego ogniska nauki, z którego na kraj cały oświata roztaczać się miała? „Najwięcéj między nami

takich, którzy z imienia tylko uczonymi i nauczycielami jesteśmy, w rzeczy saméj atoli dalecy od tego, cośmy przedsięwzięli, od tego, czemu się poświęcamy. Większą część życia w rozkoszy i bezczynności spędzamy..... i do tego już kresu niedbalstwa, żebym nie rzekł głupoty, przyszliśmy, że mało się troszczym o wiedzę i wykształcenie, lecz jak najwięcéj o dostojeństwa i grosze. Nie dbamy o to, aby godność nauczycielstwa powierzyć małéj, ale godnéj garstce, lecz bez wyboru przypuściwszy do tego zaszczytu omal nie wszystkich, którym się go zapragnie, na profanacyą go tylko i poniewierkę wystawiamy" (1). Takieto zarzuty przytacza Szymon z Pilzna, rzekomo z ust przeciwnika. Ale czy z zarzutów tych oczyszcza kolegów swoich? Zręcznie się tylko wymyka, mówiąc: „a dziwię się najpierwéj, że im (przeciwnikom) do głowy przyszło, wszystkich nauczycieli odzierać z należnych czci i zasług dlatego, że *niektórzy* wcale nie odpowiednio do płacy i stanowiska się zachowują", a już całkiem stwierdza zarzuty, usprawiedliwiając magistrów niedostateczną płacą urzędową. Gdybyż z tych tylko ust takie smutne o akademii rzeczy! można-by jeszcze zbyt ponure kolory kłaść na karb zgryźliwości autora;—ale oto Jakób Górski, tylokrotny rektor uniwersytetu, w lat trzydzieści po Szymonie z Pilzna, témiż niemal słowy stosunki te określił (2): „Jest pomiędzy nami wiele wad; słusznie nam nie jedno zarzucają. Są, co niepomni na uczciwość, naukę i własną godność, tak życie pędzą, tak wykładu nauk zaniedbują, że mi się zdaje, iż się sprzysięgli na obalenie powagi i osłabienie szacunku téj szkoły. A naprzód wszyscy jesteśmy rączy i pochopni do pobiérania dochodu i odnoszenia zysku z cudzych prac, a opieszali do nauk, i wielu z nas tak ma wolne obyczaje, iż jeżeli nas surowsze ustawy do obowiązku nie przywiodą, obawiać się należy, aby cała ta akademia w prawach i wolnościach swoich nie upadła doprowadzona do ostateczności".

Nie da się zaprzeczyć, że głównym źródłem tych wad akademii, była niedostateczna opieka państwa. Wyposażenie było liche: zbiorowa suma dla *czterdziestu* zwyczajnych profesorów (tylu ich ogółem w krakowskich szkołach było wówczas) nie dochodziła nawet tysiąca złotych, gdy tymczasem, jak słusznie Szymon z Pilzna

(1) De Scholis, O 5, karta 2 i 3. Wydanie jedyne nie ma stron liczbowanych, podajemy przeto miejsca wedle znaczków arkuszowych. Przytém niech wolno będzie wyrazić życzenie, aby dzieło tak ważne dla historyi oświaty w Polsce doczekało się jak najrychléj po 300 latach nowego wydania.

(2) Apologia D. Jacobi Gorscii pro Academia Cracoviensi publice in renunciandis novis magistris dicta A. D. 1581 die 11 Martii etc. Por J. Łukaszewicza, Historya Szkół w Koronie i Wielkiém Księstwie Lit. Poznań 1849, tom I, str. 64.

zauważył, we Włoszech pensya *jednego* profesora kwotę tu wyrażoną przewyższała (1).

Nie dawało państwo poparcia materyalnego, nie dawało — co gorsza — moralnego. Uczeni profesorowie z innych krajów zawezwani „querebantur studiosorum inopiam, mirabantur et horrebant gymnasiorum nostrorum vastitatem“. Skądże te pustki w lektoryach? Szymon z Pilzna (De Sch. R 6 — S 2.) należycie ten smutny objaw tłómaczy: młodzież bynajmniéj nie garnęła się z zapałem do studyów nie widząc, by dwór protegował naukę i dawał jéj adeptom stanowiska w urzędach i sprawach publicznych. I nie mogło być inaczéj tam „ubi quiduis aliud quam bonae litterae et honestius est et *quaestuosius*“.

„Przodkowie nasi (mówi daléj Szymon z Pilzna) urzędy świeckie i kościelne powierzali ludziom, którzy się z zapałem nauce oddawali, którzy trawili na niéj lat wiele, którzy większą część życia z filozofami i uczonymi przeżyli. A teraz albo z *kuchni* (boć trzeba rzec prawdę), albo z piwnicy jakiéj lub śpiżarni, ba od koni, od puharów, od półmiska powołują panów braci na wyszczególnione i zaszczytne urzędy (zwłaszcza kościelne) — ludzi takich, których podniebienie więcéj wykształcone niż umysł, ludzi, co strawiwszy większą część życia na usługach raczéj Cerery i Bacha niż Minerwy, zręczniéj krają mięso, wydzielają porcye, konie żywią, o półmiskach i dzbanach staranie mają, zastawiają stoły, niżby literaturę kościelną lub świecką pielęgnować mieli. Toć to jest jądro wad wszelkich w téj chrześciańskiéj Rzeczypospolitéj, że nie dbając o tych, coby powierzone urzędy sprawnie piastować mogli, powierza się je tym, którzy wszystko inne raczéj umieją, aniżeli dobrze uczyć lub uczciwie żyć“.

Illustracyą, a poniekąd usprawiedliwieniem takiego stanu rzeczy jest tło historyczne téj epoki. Czasy Bonerów i Tomickiego minęły wtedy bezpowrotnie, nastał smutny schyłek Zygmunta Starego, a na widnokręgu świeżego panowania Zygmunta Augusta zaczęły się gromadzić brzemienne w następstwa chmury: różnowierstwo i Orzechowski, sprawa Barbary i jéj śmierć rychła, „egzekucya“, oto szereg przedmiotów zwracających uwagę publiczną w inne strony, ze szkodą wychowania publicznego. Toż stan, jakim go Szymon z P. przedstawił, trwał nie jedno jeszcze dziesięciolecie—wiele lat od pojawienia się książki jego „o szkołach“ upłynęło, a nasz Jan, co przecie przed wychowańcami akademii krakowskiéj mógł mieć nawet pierwszeństwo, wróciwszy z zagranicy, urokiem nauki i sławy

(1) De Scholis, R ij.

poety przyozdobiony, daremnie, niemal bez celu, po zamku królewskim się błąkał, z bolesnym uśmiechem pytając się: „Daléj co będzie? srebrne w głowie nici“, aż wreszcie rzuciwszy „fallacem aulam“ w zaciszne ustronie się schronił.

Że ta smutna faza w życiu uniwers. Krakowskiego nie mało ludziom nauki na sercu ciężyć musiała, dowodzi oprócz wymienionych szczegółów samo pojawienie się dzieła „De Scholis,“ które sobie jako główny cel wytknęło: pobudzić i zachęcić do naprawy nienaturalnych stosunków:

„Nam si ego deteriora edidi, quam uolui (kończy Szymon z P. rzecz swą, odzywając się do Herburta) et tu minora habes, quam sperasti: illud fortasse uterque consequemur, tu *hortando* ego *scribendo*, ut aut *tot ann's* neglectae Academiae iam tandem succurratur, aut quivis facile perspiciat, non praeceptorum uitio florem nostri Gymnasii defluere, sed *capitum rei publicae* culpa, qui nescio quomodo omnem propemodum gymnasiorum curam abiecerunt.“

Śmiałe i bez ogródki poczynione królowi i senatowi zarzuty nie mogły mieścić ani przesady (bo o zbadanie prawdziwego stanu rzeczy stronie przeciwnéj nie było trudno), ani téż być wyrazem odosobnionéj jednostki; owszem pojawienia się książki „De Scholis“ oczekują jednako z Szymonem z P. myślący: Walenty Herburt z Dobromila i Mikołaj Gelasinus, którzy wierszem łacińskim we wstępie do dzieła życzą, by król i senat wnioski reformy poczynione przez Szymona z P. w życie wprowadzili.

Jeżeli wyobrażenie o ówczesnéj szkole krakowskiéj po przeczytaniu dzieła „De Scholis“ nie może być korzystne, to zajrzyjmyż do wnętrza Akademii w letniém półroczu 1544 r. i przysłuchajmy się wraz z Janem Kochanowskim wykładom *humaniorów*—może niejedno zasłuży na uznanie i na złagodzenie ostrego sądu wpłynie. A najpierw poznajmy bliżéj (o ile zdołamy) magistrów ówczesnych i extraneów.

„Liber antiquus (in semifolio) *diligentiarum*“ (N. inv. 249 Bibl. Jag.) zawiera pod r. 1544 w półroczu letniém, co następuje:

„Ordo magistrorum actus ordinarios visitantium in 3 classes divisus in decanatu secundo Mgri Michaelis de Głowno anno 1544.

*Classis primae* **de Maiori** (sc. Collegio)

Mgr. { Martinus Garbarz
Thomas Cracouiensis
Foelix Bandorski
Valentinus Raua (semel per alium)

*Secundae classis*

Joannes Dobrosszelskj
Mgr. Albertus Dambrowskj
Petrus de Posnania

*Tertiae classis*

Joannes Trcziana
Mgr. Simon Pilsno
Albertus Nouocampianus

| **De Minori Collegio.** | **Extranei.** |
|---|---|
| Dr. Bartholomeus Sabinka | Joannes Vieczkowskj |
| Adam Tarnow | Nicolaus Krosznievicze |
| Paulus Racziass | Hieronymus Lowicz |
| Stanislaus Budzinskj. | Stanislaus Lowicz |
| *Secundae Classis* | Nicolaus Cobilino |
| Adam Chaczini | Joannes Leopoliensis |
| Joannes Szieczischow | Mathias Raua |
| Sigismundus Obrępski | Martinus Brzessini |
| Michael Woljnijcz. | Thomas Cracoviensis |
| *Tertiae Classis.* | Sebastianus Vosan Cracoviensis |
| Petrus Probosczowicze | Petrus Samborz |
| Jacobus Virzikowski | Nicolaus Lodzia |
| Petrus Varszovia | Cristophorus Ziborowskj. |
| Stanislaus Pinczow | Secundus ordo finivit. |

(Zboku przy extraneach)

„Mgr. Jacobus Vijrzijkowskij eo die quo ellectus est novus dominus decanus pro futuro semestri hiemali susceptus est ad facultatem regendam Mgr. Joannes a Trcziana.“

Niestety, tym suchym spisem musimy się po większéj części zadowolić: tak mało przechowało się wiadomości o tych przewodnikach szkoły. I tak zaraz o pierwszych czterech z I klasy *Maioris Collegii* nic zgoła nie umiemy powiedzićć. Z magistrów drugiéj klasy wiemy nieco o Pietrze Poznańczyku (1). Był doktorem filozofii i medycyny, od r. 1537 *extraneus*, poczém *Collega Minor*, wreszcie *Major*. W r. 1540 na 2 lata do Włoch się udaje. Na dworze Zygmunta Starego lekarzem był; umarł 1579 r.

Magistrowie trzeciéj klasy są nam więcéj znani: Jana z Trzciany (2) (Arundinensis) mamy pod ręką dziełko: „De natura ac dignitate hominis—Cracoviae Apud Haeredes Marci Scharffenberger MDLIIII.“

Dziełko to treści etycznéj poświęcone opatowi Brzeskiemu, którego w przedmowie Mecenasem swym nazywa, jest jedynym śladem piśmienniczéj działalności Jana z Trzciany. Domyślać się należy z dedykacyi, że się do większéj jakiejś pracy przygotowywał („ad maiora si Deus voluerit me Tibi promptiorem reddes“), ale prawdopodobnie wśród urzędowych zajęć a nadto (jak pisze) „variis implicatus curis“ zamiaru nie urzeczywistnił.

Szymona z Pilzna (3) (ur. 1515 † 1569?) znamy już z zapatrywań wyłożonych we wspomnianéj już księdze „De Scholis“. Od r.

---

(1) Por. Encyklopedyi Powszechnéj (= EP) Orgelbranda większéj tom XXI, str. 473.

(2) Starowolski, Hecatontas (ed. Ven. 1626) p. 86. EP II, 250.

(3) Starowolski, Hec. p. 92. EP XVII, 80.

1539 doktór i magister pracuje w Akademii jako dzielny filolog, a swymi przekładami z greckiego szerzy zapewne dobry smak i zamiłowanie do mało nęcącego przedmiotu. Szczycić się może takimi uczniami jak Walenty Herburt (biskup przemyski, potém poseł na sobór trydencki), Wujek, Laterna, Solikowski. Następuje z kolei:

Nowopolski Wojciech (1) (Nouocampianus Albertus) ur. 1508 um. 1558. Lata od 1553—1557 na Węgrzech spędził.

Z profesorów mniejszego Collegium:

Dr. Bartłomiéj Sabinka (2) ur. 1506--kanonik sędomirski, archidyakon lubelski (1545), proboszczem u św. Floryana został 1548; „umarł w Krakowie 1556 r. będąc profesorem aż do śmierci."

Stanisław Budziński (3) był sekretarzem Jana Łaskiego i Fr. Lismanina, znany z-aryanizmu, w którym wytrwał do r. 1588.

O Adamie z Chęcin, Janie z Sieciechowa, Zygmuncie Obrępskim i Michale z Wojnicza, pominąwszy suche daty w „Liber promotionum" Muczkowskiego (str. 196 198, 182 (4) ) nic zgoła nie wiemy. Nie mniéj skąpe wiadomości o ostatniéj klasie *kolegium Mniejszego*. O Piotrze z Proboszczowic wiemy, że był astrologiem, któremu Zygm. August ślepo wierzył (5).

Gdy tak o magistrach mało się nam przechowało wiadomości, nie lepszego losu mogą się spodziewać *extranei*. A jednak Stanisław z Łowicza (od r. 1517 *extraneus*) zaciekawia nas nie mało swoim wydawnictwem: „Judicium Paridis de pomo aureo inter tres deas Palladem, Junonem, Venerem de triplici hominum vita contemplativa, activa ac voluptaria" Cracoviae ex aula Hierusalem pridie Kalendas Februarias 1522.

Nie mogliśmy wprawdzie mimo starań oglądać rzadkiego egzemplarza, ale z dokładnego opisu jego strony formalnéj (gry aktorów, liczby ich) pomieszczonego w „Dzienniku Warszawskim" z r. 1825, T. I str. 255—259 możemy na pewno wnosić, że nie był to utwór oryginalny Stanisława z Łowicza, ale przedruk (może z małoznacznemi zmianami zastosowanemi do sceny polskiéj) dziełka Lochera wiedeńczyka, które mamy pod ręką: „Jacobi Philomusi Locher oratoris et poetae praectari (?!) Judicium Paridis ludi cuiusdam instar luculenter descriptum... emendatum. Secutus vero est autor

---

(1) Starow. Hecat. p. 85. EP XIX, 583.

(2) EP XXII, 776.

(3) EP IV, 570.

(4) „de Voniczy" czytamy tu, co jest prostą pomyłką.

(5) EP XXI, 570.

Fulgentii Mythologiam. (Na końcu:) Impressum Viennae Austriae... (sine anno). Autorstwo Stanisława z Łowicza podejrzywał już autor wzmiankowanego artykułu w Dz. Warsz. str. 257. Bądź co bądź to pewna, że przeróbkę Lochera przedstawiono r. 1522 w lutym na zamku Krakowskim w obec Zygmunta Starego, Bony i maleńkiego Zygm. Augusta. Nasuwało się nam pytanie, czy przypadkiem nie ten utwór podał Janowi Kochanowskiemu wątku do Odprawy Posłów greckich. Po przeczytaniu jednak ramoty Lochera znikła wszelka wątpliwość. Rzadko czytać coś podobnie nieudolnego ze wszech miar. Co gładsze pod względem myśli i formy, to niewątpliwie wyjęto z Owidyusza, jak to sam autor na marginesie zaznacza. Próbkę dramatyczności może dać scena, gdzie Kupido Helenę wahającą się przeszywa swą strzałą i najspokojniéj recytuje:

„Haec punctura rapit mendicos et locupletes
Torosos iuvenes decrepitosque senes
Haec capit et monachos et sacro numine
clerum"...

Poczém Helena dostatecznie przekonana opuszcza scenę już w towarzystwie Parysa. Jakaż przepaść leży między tém, na co patrzał Zygmunt Stary, a tém, co podziwiać mógł Stefan Batory!

Na tém wyczerpnęliśmy prawie zapas wiadomości naszych o profesorach ówczesnych Akademii. Przypatrzmy się teraz wykładom, na jakie trafił Jan Kochanowski w letniém półroczu 1544 r:

Ordo lectionum commutationis aestivalis anno dni 1544 in decanatu secundo magistri Micgaelis de G l o w n o.

| 9 | 10 | 11 | 12 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| M. Petrus Proboszczewicze quadrupartitum Ptolomei. | M. Jo: a Trcziana Lecturam de anima. | Albertus Nouocampianus Lecturam Physicorum 2-a die incepit. | | Spheram Materialem M. Joannes Sylvius. | | M. Albertus Nouocampianus Lectionem Grecam. | M. Adam Chaczini Officia Ciceronis 2-a die incepit. | phisicus. | phisicus. | GALENI |
| M. Jo: Dobroszielskj Dialecticam Petri Hispani. | M. Valentinus Rava Lecturam Posteriorum. | | M. Jo: Dobroszielskj Quaestiones Posteriorum. | | | M. Hieronymus Lowicz Gieorgica Vergilii. | M. Albertus Dambrowskj De sensu et sensatu. | | M. Valentinus Ravensis Quaestiones de anima. | PTOLOMAEI |
| M. Foelix Badorski Lecturam Priorum. | M. Simon Pilszno per substitutum Lecturam Eticorum 2-a die incepit. | M. Petrus Posznaniensis Lecturam de generatione et corruptione 2-a die incepit. | M. Martius de Cracovia questiones veteris artis. | | M. Simon Pylsno questiones de cęlo et mundo per substitut secunda die incepit. | | M. Jacobus Vyrzykowskj Lecturam Veteris Artis. | M. Martinus a Cracovia Lecturam Elenchorum. | M. Jo: Trcziana Questiones Parvorum naturalium. | MARONIS |
| M. Stanislaus Budzinskj Lecturam Politicorum | M. Thomas a Cracouia philosophiam Magni Alberti. | M. Paulus Racziasz lecturam de coelo et mundo 2-a die incep: | | | M. Petrus Posnaniensis Gramaticam Die innovationis incepit. | | | D-r Bartholomeus Sabinka Terentium per substitutum. | Decanus. | ARISTOTELIS |
| M. Petrus a Varszovia. Dialecticam Cesarij. | M. Adam Tarnow Alchabitium. | M. Martinus Brzesini Epistolas Horatii 2-a die incepit. | M. Albertus Dabrowskj Questiones Noue Logice. | | M. Sigismundus Obrepskj Ciceronis epistulas breviores feria secunda post Stanisl: inc. | | M. Stanislaus Pynczow Retoricam Ciceronis die innovationis incepit. | M. Michael Woynicz Eneida Vergilii. | | SOCRATIS |
| M. Joannes Vyeczkowskj Somnium Scipionis. | M. Sebastianus Vasan Crac: orationem pro Archia poeta 2-a die incepit. | | | | | | | M. Nicolaus a Crosnyewicze Paradoxa Ciceronis. | | PLATONIS |

Z pierwszego rzutu oka na te wykłady widzimy, że rej wodzą Arystoteles i klasycy łacińscy. Greczyzna w ogóle słabo przedstawiona: Nowopolski czyta wprawdzie „Lectionem Graecam“, ale z tego niejasnego wyrażenia należy wnosić, że był to kurs przygotowawczy niejako; może objaśniano „złote myśli“ Pseudo-Pytagorasa, lub wyjątki z Focylidesa, co poleca na początek studyów greckich Marycki (1). Klasycy łacińscy natomiast są tu w większém poszanowaniu: Cycerona czytają obficie: *De officiis*, *Rhet.*. *Pro Archia Paradoxa.* Terencyuszem zajmuje się Dr. Sabinka, inni Wergilim. Marcin z Brzezia zapowiada „Listy Horacego“. W filozofii Arystoteles wyłącznie króluje, w gramatyce Petrus Hispanus. Przyjmując w letniém półroczu godzinę zachodu słońca za *pierwszą*, wedle ówczesnego sposobu liczenia, wypada, że pierwszy wykład odbywał się o naszéj 4-éj rano; między 8-ą, a 10-ą była przerwa, poczém wykłady do 4-éj po południu ciągnęły się.

Znając kierunek i rodzaj prac autora „Elegij łac., Pieśni, Odprawy Posłów Greckich“, możemy z pewnym podobieństwem do prawdy określić, jakie wykłady obrał sobie Jan Kochanowski, a nie zapominajmy, że chłopiec czternastoletni nie mógł się jeszcze zagłębiać ani w „Quaestiones de coelo et mundo“, ani w „Lecturam Politicorum“, że natomiast poznać wprzód musiał gruntowniéj oba języki klasyczne. Otóż następujące może lekcye zwabiły go ku sobie:

I) Wojciecha Nowopolskiego: *Lectio Graeca* (ob. wyżéj).

II) Piotra Poznańczyka: *Grammatica* (sc. Latina).

III) Michała z Wojnicza: *Aeneis Vergilii.* Tém by się tłómaczyło po części, dla czego w utworach łacińskich i polskich Jana K. słabém nader echem odbija się lektura Wergilego. Były to studya chłopięce, które zatarły się z pewnością po dokładniejszéj lekturze elegików, Lukrecyusza i Horacego.

IV) Obrępskiego lekcya: *Ciceronis epistulae breviores*, dawała naszemu Janowi sposobność zaprawienia się w potocznym sposobie mówienia i pisania gładkiego. Jako teoretyczny kurs wymowy (choć co prawda, Kochanowski nie zrobił z niego w późniejszym życiu nadzwyczajnego użytku) posłużyć mogła

V) Lekcya Sebastyana Vasan: *Oratio pro Archia poeta.*

Jaką rolę w duchowym rozwoju Jana przypisać można wymienionym wykładom, a w ogóle uniwersytetowi Jagiellońskiemu? Bezwątpienia nader nieznaczną: niżéj staramy się wykazać, że pobyt Jana Kochanowskiego w uniwersytecie Krakowskim był nader krótki, bo nie sięgający nad rok jeden; ale choćby nawet kto pobyt ten

(1) De Scholis, M. 5.

i do lat pięciu przedłużył, zawsze nie zawahamy się twierdzić, że nie Krakowski uniwersytet wyposażył naszego Jana temi skarbami ducha, jakie tylokrotnie z arcydzieł jego przebłyskują. Dał mu, co dać mógł: podstawę i główną naukę języków: ale owo delikatne poczucie barw i odcieni, bogactwo i doskonałość rymów, obrazowość i dosadność, słowem cały rynsztunek poetycki (jeśli tak wolno się wyrazić) wyniósł poeta nasz ztamtąd, zkąd naówczas jedynie tylko można to było wynieść, t. j. z ziemi klasycznéj. Widzieliśmy wyżéj, jak smutny był stan w ogóle na owe czasy naszéj akademii, jak nic nie nęciło, ani mistrzów do gorliwéj i pobudzającéj pracy, ani młodzi uczącéj się do nadmiaru pilności. Któż zechce utrzymywać, że nasz Jan ograniczywszy się choćby na długoletnich studyach w uniw. Krak. byłby z czasem zabłysnął jako poeta narodowy? I czyż nie było to dla narodzin poezyi polskiéj rozstrzygającym wypadkiem, że okolicznościami zmuszony prędko porzucił Kraków, dążąc z upragnieniem tam, kędy już myślami i duchem dawno przebywał.

W metryce uczniów uniwersytetu Jagiell., tomie II, na str. 200 i nn. czytamy: „In Rectoratu Secundo Venerabilis ac egregii viri Domini *Joannis a Piotrkow* artium et sacrae Theologiae Doctoris, Canonici ecclesiae collegiatae S. Floriani in Cleparz. Anno Domini *1544 commutatione aestivali* intitulati sunt“: Po 60-u wpisach czytamy:

Joannes Kochanowskj Petri de Syczynow
dioc. Cracov. 3 (sc. grossos solvit).

Między 162, w tém półroczu letniém r. 1544, wpisanymi w album uczniów uniwersytetu Krak., szukaliśmy pilnie imion, które w późniejszém życiu Jana cóś znaczą: tych ani śladu. Z długiego pocztu nazwisk, występujących bądź w pieśniach, bądź we fraszkach, zaledwie jedno da się tu odszukać.

Paulus Alberti Stempowsky dioc. Gnesnensis (Nr 148). Do niego odnosi się czterowiersz we „Fraszkach“, ks. I, 68. Gdy jednak i znajomość Jana z P. Stempowskim, snadnie do czasów wspólnego na dworze królewskim pobytu da się odnieść (1), śmiało możemy twierdzić, że na ławach uniwersytetu Krakowskiego nasz Jan żadnéj trwalszéj znajomości nie zawarł. Dodajmy do tego wyjątkowe milczenie Kochanowskiego o uniwersytecie Krakowskim, tak jaskrawo odbijające od wdzięcznych wzmianek o pobycie w Wenecyi, Padwie i Paryżu; a trudno nam się będzie obronić przypuszczeniu, że uniwersytet Jagielloński w ogóle nie wyraźnie się zapisał w pamięci Kochanowskiego, nie wyraźnie, już choć-by dla tego, że w nim przyszły poeta bardzo krótko zabawił.

---

(1) Jana Kochanowskiego dzieła, wyd. pomnikowe, II, str. 354, Nr 68 uw. 1.

Wspomnieliśmy wyżéj o przypadkowych okolicznościach, które wpłynęły na skrócenie pobytu poety w uniwersytecie Krakowskim: Oto srożyły się tuż *przed* przybyciem Jana Kochanowskiego do Krakowa i w rok *po* zapisie jego w księgi metrykalne, niszczące *zarazy*. Roku 1543 panowała okropna zaraza morowa w Krakowie (1), którą Stryjkowski tak opisuje (2): „Tegoż roku srogie powietrze morowe w Krakowie panowało; *w samym jednym mieście ludzi 20,000 umarło*". Paprocki (3) podobnież mówi: „R. 1543 był *wielki mór* w tymże mieście, trzéj ślachcicy Łapkowie z województwa Krakowskiego chowali ludzie zmarłe itd." (4).

To téż w „liber diligentiarum", pod r. 1543 (comm. aestivali), po 18 tylko zapisach ręką późniejszą lakonicznie dodano:

„Pestis saeuissima intercepit".

a już w r. 1545 (comm. aest.) w téjże księdze u dołu, pod spisem wykładów zapisano minią:

„hic defectus magistrorum erat ratione *pestis* ac discessionis in Italiam".

Szczególnie ta druga zaraza nie mało popłochu musiała szerzyć pod świeżém wrażeniem niedawnego, tak strasznego pomoru. Rok 1544 i początek 1545 upłynęły może spokojnie Janowi wśród nauki, ale bodaj czy troskliwi rodzice, na wieść o zarazie ponownéj, czémprędzéj młodego Jana do domu nie zabrali. Jest to jeden sposób tłómaczenia; drugi byłby ten, aby idąc za notatką, w „liber dilig." („discessionis in Italiam"), już po r. 1545 słać Jana za granicę. Jest jeszcze trzeci sposób wyjścia (5): zostawić Jana Koch. do roku 1549 w uniwersytecie Krakowskim. Po tém, cośmy wyżéj rzekli, nie możemy przyjąć tego ostatniego sposobu tłómaczenia. Pięcioletni pobyt (1544—1549) byłby z pewnością jakiś, bodaj drobny, ślad zostawił w pismach i do jakiéjkolwiek wzmianki, czy o uniwersytecie, czy o kolegach swych zniewolił. W obec dwukrotnéj zarazy zaś, o taką wytrwałość w studyach podejrzywać Jana trudno. Nie wydaje się téż nam prawdopodobném przypuszczenie, aby w r. 1545 młody Jan wracał napowrót pod rodzinną strzechę: ci sami rodzice, którzy tak troskliwie słali młodego chłopaka na studya do Krakowa, nie poprzestali przecie na jednorocznéj nauce, ale ulegając bezwątpienia

---

(1) Bielski, V, 529.

(2) XXIV, 746.

(3) Herb. pol., 704.

(4) Por. L. Gąsiorowskiego, „Zbiór wiadomości do hist. sztuki lekarskiéj w Polsce". Tom I, str. 148.

(5) R. Loewenfeld, Joh. Koch. in Seine lat. Dicht. Posen. 1877, str. 9.

życzeniom najgorętszym syna, nie poskąpili funduszów na wyprawienie go za granicę. Zważmy nadto, że zakaz wyjazdu za granicę, wydany r. 1534, zniesiono (1) w r. 1543, co na ochotę wyjazdu nie mało wpłynąć musiało; a będziemy mieli wszelkie możliwe warunki do przyjęcia, że i Jan Kochanowski w r. 1545 udał się za granicę.

Ale dokąd? Tu oczywiście pole domysłów szerokie. Ma się ochotę „ratione discessionis in Italiam“ wyprawić go już w r. 1545 do Włoch, a mianowicie do Wenecyi (instytut Manutiusa); szła by ta podróż oczywiście przez Niemcy (z któremi biografowie Kochanowskiego mają dość kłopotu, por. Loewenf. str. 9), a w ściślejszém znaczeniu przez Austryą. Zapatrywania takie opieramy na jednym z wierszyków Jana, na który dotychczas nie zwrócono należytéj uwagi (2): (Pieśni IV, 12; Tur. str. 82).

„Co wadzi, póki lata nie najdą leniwe
Widzieć *szeroki Dunaj*, widzieć *Alpy* krzywe,
Abo, gdzie w pośród *morza, sławne miasto* leży,
Abo gdzie pod dawny mur bystry Tyber bieży?
Dojedź i Partenopy, a ujźrysz te lasy
Gdzie złotéj rózgi szukał Eneasz przed czasy.....“

Nie podobna prawie wątpić, że w Wiedniu dłuższy czas nasz Jan się zatrzymał, podziwiając „szeroki Dunaj“, a kto wié czy i do uniwersytetu nie zaglądnąwszy; w dalszéj drodze oczywiście ujrzał „Alpy krzywe“, aż wreszcie dotarł „gdzie w pośród morza sławne miasto leży“. Wiemy, że w czerwcu 1551 roku był Kochanowski w Polsce (Gacki: O rodź. J. K. itd., str. 57), wiemy daléj, że się r. 1552 w poczet uczniów akademii padewskiéj wpisał (Papadopoli, Hist. Gymn. Pat. II, 266), kiedyż zatém był w Wenecyi? Niedokładnie wyraża się Loewenfeld (str. 10): „In Padua waren es besonders Robortellus *und* Manutius.....“, gdy tymczasem u Papadopolego (l. c.) czytamy:

„Eius (Cochanovii) nomen inscriptum est albis Polonicis (ad ann. 1552 seqq) *palamque* est, ipsum fuisse discipulum Robortelli, *postquam operam dedit Venetiis* institutioni *Manucii*“. Biograf mówi zatém najwyraźniéj o poprzednich studyach w Wenecyi, zanim K. przybył do Padwy, a te studya pod przewodem Manuczego należy, zdaniem naszém, odnieść do lat 1545—1550, innego bowiem czasu dla nich znaleść niepodobna. Może być, że lata 1550 i początek 1551 zeszły właśnie na zwiedzeniu Włoch, o których i we wspomnianym

(1) Szujski, Dz. Pol. II, 240; Łukaszewicz, Hist. Szkół etc. Tom I, str 75, przypisek 6).

(2) Jana Kochan. Dzieła, Wyd. pomnikowe, II, 370 por. uw. 2 do Nru 26.

wierszu mowa i w elegiach łacińskich. Przerwa w studyach r. 1551 nastąpiła widocznie w skutek interesów familijnych, po ich załatwieniu wraca nasz Jan do Włoch i przenosi się do Padwy.

Nie zostawiliśmy tym sposobem miejsca dla Niemiec, o których Starowolski wspomina. Ale czas by już im dać spokój. W łacińskich pismach Jana czytamy wzmianki o Wenecyi, Padwie, Paryżu; ale gdzież jest choćby najlżejsza wzmianka o jakiéj szkole niemieckiéj, lub dłuższym pobycie w Niemczech? A w polskich pismach, czyż wierszyk

„Jażem przez morza głębokie żeglował,
Jażem Francuzy, ja Niemce, ja Włochy,
Jażem nawiedził Sybilline lochy“

co innego oznacza, jak tylko podróże po tych krajach!? Raczéj moglibyśmy z pism polskich inny wniosek wynieść: w Satyrze (185,6) niemal wyraźnie zastrzega się poeta, że „nie uczył się w Lipsku ani Pradze wiary i nie wie jako każą w Genewie u fary“, że innymi słowy w Niemczech zbyt przelotnie bawił, aby się nowinkami ich miał przejąć. W obec tego nie można iść na lep gołosłownéj notatki Starowolskiego, któréj źródła należy upatrywać, albo w powyższym wierszyku Jana, albo wreszcie w analogii do innych tylu żywotów w „Hecatontas“, gdzie Niemcy grają nie małą rolę. Przypuszczenie nasze może się z czasem zamieni w pewność, gdy po przeszukaniu metryk tych uniwersytetów niemieckich do których najbardziéj wówczas Polacy uczęszczali, wykaże się, że nie ma tam nazwiska naszego poety. Na teraz zwracamy tylko uwagę, że dotychczasowe mniemanie o studyach w Niemczech Jana Kochanowskiego nie opiera się na trwałéj podstawie.

*Józef Kallenbach.*

---

# ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
## I WRAŻENIA LITERACKIE.

Internationale Zeitschrift für allgemeine Sprachwissenschaft unter Mitwirkung der Herren L. Adam... und anderen Gelehrten des In- und Auslandes herausgegeben von F. Techmer, Docenten der allgemeinen Sprachwissenschaft an der Uniwersität Leipzig. I Band. 1 Heft. Mit über 80 Holzschnittfiguren und 7 lithographirten Tafeln. Leipzig, 1884. Verlag von Joh. Ambr. Barth... Roy.—8⁰. str. XVI, 256.

Współczesna nam ligwistyka jest córką filologii. Od filologii téż zapożyczyła ona podział na dziedziny, obejmujące badania pojedyńczych grup językowych ze względu na ich pokrewieństwo historyczne. Jak mamy filologię klasyczną, filologię germańską, romańską, słowiańską, semicką itd., tak téż mamy językoznawstwo arioeuropejskie (indogermańskie), semickie, itd., aryjskie, germańskie, słowiańskie itp. Wszędzie tu podstawą jest wspólność pochodzenia plemion, mówiących danemi językami. Tę tylko można zauważyć różnicę, że naprzód w filologii podstawą objęcia życia kilku ludów w jednę naukową całość jest przeważnie wspólność kultury i losów historycznych, gdy tymczasem w lingwistyce decyduje wspólność jednakowego początku „przedhistorycznego“ plemion, a więc także ich języków; powtóre zaś, kiedy filologia, badając całe życie umysłowe narodu, ogranicza się z konieczności mniejszą grupą narodów, lingwistyka, ześrodkowując uwagę na jednym tylko przejawie tego życia, tj. na języku, może natomiast rozszerzyć swój widnokrąg i porównywać znaczniejszą liczbę języków. Zresztą różne te podziały i rozgraniczenia są rzeczą bardzo względną.

Jakkolwiekbądź językoznawstwo rozpadło się na działy stosownie do różnic i podobieństw między językami, zależnych od ich bliższego lub dalszego pokrewieństwa historycznego. Gramatyk porównawczy arioeuropejski bada języki arioeuropejskie, tylko mimo-

chodem zaglądając także do języków innych szczepów. Taki charakter nosi na sobie znakomita większość tak dzieł osobno wydawanych, jako téż czasopism specyalnych. Tak np. mamy organa czasopiśmienne dla gramatyki porównawczéj języków arioeuropejskich, dla filologii germańskiéj wraz z językoznawstwem germańskiém, dla filologii romańskiéj wraz z językoznawstwem romańskiém, dla filologii słowiańskiéj wraz z językoznawstwem słowiańskiém itd.

Obok jednak tego rozpatrywania języków w ich związku historycznym, od samego początku badań językowych zwracano uwagę na stronę ogólnie ludzką w językach świata całego, poszukując podobieństw i różnic analogicznych między językami bez względu na ich dalsze lub bliższe pokrewieństwo historyczne. Języki, już jako języki, wszystkie są sobie pokrewne. Wszystkie są objawem działalności organizmu ludzkiego, organizmu naturalnie w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu, tj. w znaczeniu nietylko fizyologiczném, ale także psychiczném. Elementarne zaś procesy organiczne, tak fizyologiczne, jako téż psychiczne, są wszędzie jednakowe. Podobieństwo więc języków, tak co do składników elementarnych, jako téż co do rozwoju, jest koniecznėm tego następstwem. Pewne kategorye głosek przeradzają się zawsze w pewnym kierunku, bez względu na to, w jakim języku je spotykamy. Asocyacya form i upodobnienie ich jednych drugim pod wpływem analogii idzie podobnemi drogami w językach najrozmaitszych szczepów. Ten rodzaj badania językowego, mający wielkie podobieństwo do badań przyrodniczych, daje początek gramatyce porównawczéj w daleko obszerniejszém znaczeniu, gramatyce porównawczéj, porównywającéj nie głoski i formy pokrewne historycznie, ale jednakowe i podobne procesy życia i rozwoju językowego bez względu na przedmiot, w którym dokonywają się te procesy. Tak pojmował językoznawstwo jeszcze Leibnitz, tak téż pojmował je najznakomitszy dotychczas lingwista, Wilhelm Humboldt.

Pomimo ogromnéj ważności takiego językoznawstwa dla charakterystyki ludzkości w jéj rozwoju historycznym, uprawiano je dotychczas w nierównie mniejszym stopniu, aniżeli drugą gałęź téj nauki, wyrosłą przeważnie na pniu filologicznym. Zjawiają się wprawdzie od czasu do czasu dzieła „ogólno-lingwistyczne,“ ale naprzód jest ich stosunkowo za mało, powtóre zaś trzymają się one zwykle w oddaleniu od rzeczywistości, zadawalniając się kilkoma jakiemi oderwanemi faktami i budując na nich nazbyt daleko sięgające wnioski. Dzieł ogólnie lingwistycznych o ściśle indukcyjnym zakroju ukazało się dotychczas bardzo mało,

Również bardzo małą jest liczba czasopism, poświęconych temu kierunkowi badań językoznawczych. Czasopisma z podobną dążnością były to tylko próby, zwykle bardzo nieudatne. Jeszcze w początku bieżącego stuleciu *Bertuch* i *Vater* założyli „*Allgemeines Archiv für Ethnographie und Linguistik*“, (Weimar, 1808 ss.) trwający bardzo krótko. Następnie, o ile wiem, nastała długa przerwa, tak że dopiero w r. 1849 Albert Hoefer podjął wydawnictwo „*Zeitschrift für die Wissenschaft der Sprache*“, trwające również tylko kilka lat, a oprócz tego bardzo dalekie od rzeczywistego uprawiania językoznawstwa w tylko co określonym kierunku.

Ani „*Revue de linguistique et de philologie comparée*, recueil trimestriel publié par M. Girard *de Rialle* avec le concours de MM. Emile *Picot* et Julien *Vinson*. Paris 1867 ss.“, ani wydawnictwa różnych towarzystw specyalnych lingwistycznych w rodzaju np. „*Mémoires de la société de linguistique de Paris* 1868 ss.“, itp. nie mogą być uważane za organa właściwe językoznawstwa ogólnego, gdyż albo program ich jest za obszerny i obejmuje także szczegółowe badania najrozmaitszych języków, albo też pomieszczane w nich prace ogólno-lingwistyczne noszą na sobie charakter czysto przypadkowy.

Za jedyny dotychczas stały organ językoznawstwa ogólnego można by uważać „*Zeitschrift für Völkerpsychologie und Sprachwissenschaft* herausgegeben von Dr. M. *Lazuras* und Dr. H. *Steinthal*. Berlin 1860 ss.“ gdyby reprezentowany przez to czasopismo kierunek nie był zanadto jednostronny, przeważnie spekulacyjny i za mało spostrzegawczy, i gdyby lingwistyki nie pochłaniała tu wcale niefortunnie pomyślana psychologia ludowa (Völkerpsychologie), któréj całą nicość i niemożebność wykazał z takim mistrzowstwem H. *Paul* w swoich „Principien der sprachgeschichte.“ Pomimo tego wszystkiego tak to czasopismo, jak i w ogóle działalność naukowa Steinthala wywierały nadzwyczaj zbawienny wpływ, oczyszczając i prostując pojęcia ogólne scholastycznie i dogmatycznie nastrojonych „gramatyków porównawczych.“ „Najnowszy kierunek psychologiczny w językoznawstwie“ zawdzięcza w znacznéj mierze swoje istnienie wpływowi Steinthala, który był długo jedynym kontynuatorem poglądów znakomitego Wilhelma Humboldta. Pod tym względem tylko co wzmiankowany Paul oddaje zupełną sprawiedliwość Steinthalowi.

Jakkolwiekbądź dla językoznawstwa najnowszego, spokrewnionego metodą i dążeniami z naukami przyrodniczemi, brakło dotychczas stałego organu. Uznając ten brak, docent uniwersytetu Lipskiego doktór Techmer przedsięwziął wydawnictwo „czasopisma

międzynarodowego dla językoznawstwa ogólnego," którego to czasopisma mamy przed sobą zeszyt pierwszy, wydany na wiosnę r. b. 1884. Sam doktór Techmer zajmował się pierwotnie filozofią, matematyką i naukami przyrodzonemi, a dopiero późniéj przeszedł stopniowo do językoznawstwa, zwróciwszy się przedewszystkiém do badania języków nowożytnych ze strony głosowéj. Ze swoich podróży i dłuższego pobytu we Francyi, w Anglii i we Włoszech wyniósł on obfite plony, a rezultaty jego studyów złożone zostały w obszerném i bardzo sumienném dziele p. t. „*Phonetik.* Zur vergleichende Physiologie der Stimme und Sprache. Von dr. F. *Techmer*, Docent an der Universität Leipzig, Zwei Theile. Leipzig 1880." Widząc brak jedności iześrodkowania badań językoznawczych, a natomiast nazbyt wiele rosterki i wzajemnego, bądź to umyślnego, bądź téż mimowolnego, ignorowania się lingwistów, zamierzył doktór Techmer zaradzić złemu przez wydawanie centralnego organu międzynarodowego. W przedsięwzięciu tém utwierdził p. Techmera profesor G. von der Gabelentz, znakomity znawca wielu języków, a zwłaszcza chińskiego i japońskiego. Prócz tego zwracał się p. Techmer z prośbą o radę do różnych przedniejszych przedstawicieli językoznawstwa tak w Niemczech, jako téż zagranicą, i wszyscy pochwalili ten jego zamiar.

Ażeby stać się rzeczywiście międzynarodowém i centralném dla wszystkich językoznawców, czasopismo to uważa za swój organ literacki nie sam tylko język niemiecki, ale stale aż pięć języków, mianowicie niemiecki, angielski, francuzki, włoski i łaciński; w wyjątkowych zaś razach może umieszczać nawet artykuły, napisane w innych językach. Kto wie, czy tego znowu nie za wiele, i czy ta wielojęzykowość, zamiast jednoczyć, nie stanie się przyczyną rozstrzelenia się współpracowników w różne strony; boć chyba nie wszyscy będą w stanie rozumiéć wszystkie możliwe w podobném zbioropiśmie języki. Dotychczas zresztą nie grozi podobne niebezpieczeństwo. W pierwszym bowiem zeszycie użyto tylko trzech języków. Najwięcéj i najobszerniejszych rozpraw zamieszczono w języku niemieckim. Takiemi są, oprócz programu i różnych odezw od wydawcy-redaktora, rozprawa Potta, dwie rozprawy samego Techmera, oraz po jednéj rozprawie Friedricha Müllera, Brugmana i Maxa Müllera. Po angielsku znajdujemy tu dwie prace, Sayce'a i Mallery; nareszcie po francuzku tylko jednę rozprawkę Lucyana Adama.

W programie Techmer zwraca się do wszystkich uczonych, dbałych o rozwój językoznawstwa, z prośbą, ażeby nie odmawiali mu swojego poparcia i brali udział czynny w jego czasopiśmie, które nie będzie służyć żadnemu wyłącznie kierunkowi, żadnéj szkole,

ale otwiera swoje kolumny dla wszystkich kierunków i szkół bez różnicy. Z tych to względów, uważając wprawdzie ścieranie się zdań za bardzo pożyteczne, a nawet za niezbędne dla rozwoju i postępu nauki, Techmer zaleca gorąco swoim współpracownikom wzajemne szanowanie się czyli, innemi słowy, umiarkowanie i przyzwoitość w polemice. Podobna wstrzemięźliwość nigdy nie jest zbyteczną; témbardziéj zaś jest ona na miejscu w organie międzynarodowym.

Z pomiędzy lingwistów różnych krajów i narodów obiecało Techmerowi swoje współpracownictwo przedewszystkiém dwudziestu sześciu, wymienionych na tytule pierwszego zeszytu. W téj liczbie spotykamy, według narodowości, 12 Niemców, z których 9 w samych Niemczech (Fleischer, von der Gabelentz, dziś już zmarły Lepsius, Leskien, Paul, Pott, Scherer, Steinthal, Wundt), a po jednemu w Wiedniu (Friedrich Müller), w Anglii (Max Müller) i w Rosyi (Radloff); następnie spotykamy tu jednego Anglika (Sayce), 4 Amerykanów północnych, a więc co do języka także Anglików (Gatschet, Mallery, March, Whitney), jednego Norwegczyka (Storm), 3 Francuzów (Adam, de Rosny, Vinson), nareszcie po jednemu Włocha (Ascoli), Portugalczyka (Coelho), Finna (Donner) i uczonego narodowości nieokreślonéj (Oppert) (1).

„Czasopismo międzynarodowe dla językoznawstwa ogólnego" będzie wychodzić półrocznemi zeszytami, stanowiącemi razem jeden tom. Każdy zeszyt ma zawierać 15 arkuszy druku w większéj ósemce (Roy. 8°) i kosztować tylko 6 marek, tak że tom 30 arkuszowy będzie kosztował tylko 12 marek (według obecnego kursu, 6 rubli). Każdy zeszyt będzie ozdabiany drzeworytami i tablicami; do każdego zaś tomu będzie dołączony portret jednego z głównych przedstawicieli językoznawstwa.

Przyjrzyjmy się leżącemu przed nami pierwszemu zeszytowi ze strony zewnętrznéj. Daje on więcéj niż obiecuje. Obejmuje bowiem

---

(1) Z pochodzenia Żyd, urodzony w Hamburgu, wykształcenie średnie i wyższe odebrał w Niemczech; mając dwadzieścia kilka lat, przeniósł się do Francyi i tam uważał się za Francuza, pisując wyłącznie po francuzku; dziś zaś mieszka w Madras, w Indyach wschodnich. Wobec rozognionéj dziś kwestyi żydowskiej nie od rzeczy może będzie zwrócić uwagę na Żydów, wymienionych między pierwszymi współpracownikami czasopisma Techmera. Są to napewno Ascoli (Włochy), Oppert (Madras), Sayce (Anglia), Steinthal (Niemcy), jedném słowem, 4 z ogólnéj liczby 26. Być może, że do tych 4-ch należy dodać jeszcze tego lub owego; pochodzenie jednak religijne niektórych uczonych, wymienionych w tytule czasopisma Techmera, jest mi zupełnie nieznane. W ogóle można zauważyć, że do utalentowanego plemienia żydowskiego należy bardzo znaczny procent uczonych europejskich, a zwłaszcza lingwistów i filologów.

aż 17 arkuszy (str. XVI, 256) druku na bardzo pięknym papierze welinowym z żółtawym odcieniem. W samym tekście mamy tu przeszło 80 pięknych drzeworytów, objaśniających odpowiednie miejsca rozpraw. Oprócz tego dołączono 7 tablic osobnych rysunków, wykonanych o wiele gorzéj, niż drzeworyty w tekście, ale zawsze dostatecznych. Na czele zeszytu widzimy bardzo starannie i elegancko odrobiony portret Wilhelma Humboldta, zdjęty z jego pomnika, wystawionego w roku zeszłym, 1883, przed gmachem uniwersyteckim w Berlinie. Wszystko to kosztuje tylko 6 marek (według kursu 3 ruble), co, w obec zwykłéj drożyzny niemieckich książek naukowych, jest ceną nadzwyczaj nizką.

Przejdźmy teraz do rozpatrzenia, choćby tylko pobieżnego, strony wewnętrznéj zeszytu.

Oprócz kilku słów wydawcy o Wilhelmie Humbolcie (str. III—V), oprócz dwóch listów Wilhelma Humboldta do Al. v. Rennenkampffa, pisanych w r. 1812 i 1832, a mających tylko drobiazgowo-biograficzne znaczenie bez żadnéj doniosłości naukowéj (str. VI—IX), następnie oprócz mowy ministra oświaty v. Gosslera przy odsłonięciu pomnika W. Humboldta (str. X—XI) i nareszcie oprócz Programu czasopisma (Vorbemerkungen, Program der Zeitschrift, str. XII—XVI) spotykamy tu obszerną pracę samego Techmera, dwie obszerne rozprawy Potta i Brugmana, dwa krótsze artykuły Techmera i Mallery i nareszcie cztery króciutkie artykuliki Fr. Müllera, Maxa Müllera, L. Adama i Sayce'a.

Na czele zeszytu stoi rozprawa „nestora" językoznawców, starego A. F. Potta pod wiele obiecującym tytułem „*Einleitung in die Sprachwissenschaft*" (str. 1—68). Nie przedstawia ona nic nowego, gdyż jest tylko prostym *powtórnym* przedrukiem. Po raz pierwszy była ona wydrukowaną w r. 1849 w „Jahrbücher der freien deutschen Akademie von Nauwerck und Noack (Frankfurt a. M.)." Następnie wcielił ją Pott do swego „Wurzel-Wörterbuch" (t. II). Obecnie, przedrukowana po raz drugi z małemi jedynie zmianami i dodatkami, ma stanowić w czasopiśmie Techmera „wstęp do językoznawstwa." Niestety, na podobny tytuł rozprawa Potta wcale nie zasługuje. Jestto nie „wstęp do językoznawstwa," ale jakaś lingwistyczna *silva rerum* z mnóstwem ciekawych po większéj części szczegółów, udzielanych jednakże bez porządku. Spotykamy tu, obok drobiazgowo rozbieranych kwestyj specyalnych, różne ogólne wiadomości, ale tylko *wiadomości*; wiadomości zaś podobne nigdy nie mogą zastąpić wykładu *zasad* ogólnych i uwag metodologicznych, które jedynie miałyby prawo do nazwy „wstępu do językoznawstwa." Sam podział rozprawy Potta na pojedyncze oddziały jest dosyć chaotycz-

ny. Tak np. odróżnia on w języku przedewszystkiém: 1⁰ *stronę filozoficzną*, 2⁰ *stronę przyrodniczo-historyczną* (naturwissenschaftlich-geschichtliche Seite). W oddziele noszącym tytuł „strony filozoficznéj," Pott rozbiera: *a*) Początek języka, *b*) tak zwaną gramatykę ogólną, *c*) stronę fizyczną, *d*) stronę duchową. Do oddziału zaś drugiego, traktującego o stronie przyrodniczo-historycznéj, należy także „podział (klasyfikacya) języków." Gdzie tu porządek, gdzie jednolite *principium divisionis*? Dla czego „strona fizyczna", została podporządkowaną pod „stronę filozoficzną," a odłączoną od „strony przyrodniczo-historycznéj," Bóg to raczy wiedzieć. Prócz tego w pojedynczych rozdziałach Pott nie trzyma się jednego przedmiotu, ale mówi o wszystkiém, co mu na myśl przyjdzie. Daje on w każdym rozdziale bardzo bogatą bibliografią, która jednak odznacza się taką samą chaotycznością, co i wykład ogólny. Kilka razy autor nasz cytuje dzieła, które nie znajdują się w żadnym stosunku do rozbieranéj w danéin miejscu kwestyi. Bądź jak bądź pomimo różnych usterek, rozprawę Potta można przeczytać nie bez korzyści. Szkoda tylko, że napisanie „wstępu do językoznawstwa" w czasopiśmie Techmera nie stało się udziałem którego z „młodszych" lingwistów, pojmujących najnowsze zadania téj nauki. Przecie np. Paul, Brugman, Osthoff i tylu innych byliby w stanie skreślić daleko lepszy „wstęp do językoznawstwa," aniżeli chaotycznie myślący i nawet o dokładność danych szczegółowych niewiele dbający 82-letni „nestor" językoznawców. Według mego zdania, lepiéj było chyba obejść się całkiem bez „wstępu do językoznawstwa," aniżeli na 4½ arkuszach przedrukowywać to, co już przed 35 laty nie mogło zadawalniać wymagań ścisłéj nauki.

Wstęp do badania fonacyjnéj strony języka, tj. do badania języka pod względem wymawiania, pod względem fizyczno-fizyologicznym, ma stanowić obszerna praca samego Techmera p. t. „*Naturwissenschaftliche Analyse und Synthese der hörbaren Sprache*" (str. 69—170), zajmująca ⅖ całego zeszytu. Jest to właściwie przeróbka niektórych oddziałów wyżéj wymienionéj pracy tego samego autora p. t. „Phonetik," przeróbka, mająca na celu za pomocą bardziéj popularnego wykładu uprzystępnienie ogółowi lingwistów zasadniczych danych akustyki i fizyologii mowy ludzkiéj. Obok powtórzenia rzeczy znanych znajdujemy tu także niektóre rozdziały zupełnie nowe. Do téj kategoryi należy rozbiór prac, które wyszły już po wydrukowaniu „Phonetik," albo też nie były dawniéj znane jéj autorowi. Pomimo starania się Techmera o popularny wykład, nie zawsze mu się to udawało. Zresztą nie wielkie to nieszczęście. W tego rodzaju pracach, mogących w każdym razie rachować tylko na

czytelników odpowiednio przygotowanych i specyalnie się interesujących, popularność wykładu nie jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia; daleko ważniejszą jest ścisłość wykładu i dokładność w formułowaniu myśli. Pod tym względem nie wiele można zarzucić Techmerowi. Zarzucić mu można natomiast uganianie się za drobiazgową klasyfikacyą zjawisk, nie dostatecznie dotychczas zbadanych, co niekiedy zakrawa na nowe wydanie scholastyki. W każdym jednak razie rzecz Techmera jest pracą ściśle naukową, uwzględniającą najnowsze odkrycia na tém polu, prawdziwie pouczającą i, wskutek tego wszystkiego, zasługującą na bardzo pilne studyowanie. Świetnie wykonane drzeworyty ułatwiają znakomicie korzystanie z téj pracy.

Za praktycznie ważny dodatek do téj pracy trzeba uważać „*Erklärungen der Tafeln*“ (str. 186—192), tj. objaśnienia siedmiu tablic, umieszczonych w końcu zeszytu. Rysunki na tych tablicach odnoszą się nietylko do tego, co znajdujemy w umieszczonej tu obszernéj pracy Techmera, ale także do wielu innych stron językowéj działalności człowieka. Objaśnieniu tablic poświęconą jest także ostatnia stronnica (str. 170) obszernéj rozprawy Techmera.

W ścisłym związku z tą rozprawą znajduje się „*Transskription mittels der lateinischen Kursivschrift*“ (str. 171—185), który to artykulik na rok przed wydaniem pierwszego zeszytu czasopisma był rozesłany w formie tak zwanych „arkuszy korrekcyjnych“ (zresztą bardzo ładnie wyglądających) różnym specyalistom, z prośbą o zrobienie uwag i poprawek. Z niewielkiemi zmianami, dotyczącemi głównie porządku w układzie szczegółów, artykulik ten wszedł także w skład pierwszego zeszytu. Bardzo jest chwalebnym zamiar ujednostajnienia transkrypcyi lingwistycznéj przynajmniéj we wszystkich pracach, drukowanych w czasopiśmie; ale długo jeszcze będzie on natrafiał na ważne przeszkody. Zawczesne są wszystkie te znaki i znaczki, haki i haczki, kółka, widełka itp., jeżeli dotychczas nie wynaleziono przyrządów, które byłyby w stanie czysto objektywnie i niezależnie od niedokładnie funkcyonujących zmysłów ludzkich określać wszystkie składniki fizyologiczne pojedyńczych głosek, czyli tak zwane artykulacye. Po wynalezieniu podobnych przyrządów trzeba będzie naprzód nauczyć wszystkich lingwistów korzystania z nich, a dopiero potém pomyśléć o dokładnéj transkrypcyi. Ale i wtedy nie będzie można używać do tego ani łacińskiego, ani téż żadnego innego, istniejącego alfabetu, ale tylko nót w rodzaju wynalezionych przez samego Techmera (por. str. 170 i tabl. VI).

Wiedeński uczony Friedrich *Müller* w artykuliku „*Sind die Lautgesetze Naturgesetze?*“ (str. 211—214) stara się obalić mniemanie o bezwyjątkowości tak zwanych „praw głosowych“, wystawione jako jeden z zasadniczych pewników najnowszego kierunku w językoznawstwie, kierunku tak zwanych „Junggrammatiker“. Nie zrozumiał on jednak wcale „junggrammatiker“, którym nigdy w głowie nie powstało utożsamiać „prawa głosowe“ z prawami fizycznemi. Lingwiści najnowszego kierunku przestrzegają tylko ściśle wymagań miejsca i czasu, wymagań geografii i chronologii, i twierdzą, że pewna zmieniająca się wielkość głosowa (dźwiękowa) w pewnym dyalekcie, przy absolutnie jednakowych warunkach może się zmienić tylko w pewnym, zawsze jednakowym kierunku i dać pewną nową, ale zawsze jednakową wielkość głosową. Podobne zaś mniemanie jest tylko dalszém rozwinięciem logicznego pewnika tożsamości, twierdzącego, że A jest zawsze A, a będącego podwaliną wszelkich badań naukowych. Kto tego nie chce lub nie może zrozumiéć, niech lepiéj da pokój rozwiązywaniu ogólnych zadań naukowych. Fr. Müller z pewnością rozumie te wymagania, a walczy z bezwyjątkowością „praw głosowych“ tylko w skutek nieporozumienia.

A. H. *Seyce* w rozprawie „*The person-endings of the indo-european verb*“ (str. 222—225) dowodzi, że formy osobowe słów ario-europejskich rozwinęły się z form imieniowych (rzeczownikowo-przymiotnikowych) i że zatém końcówki osobowe nie mają nic wspólnego z zaimkami osobowemi. Godząc się w zupełności na drugą część sformułowanego tylko co wniosku, pierwszéj jego części nie możemy uważać za udowodnioną.

Z powodu książki *Opperta* „On the classification of languages, Madras, 1879“, francuzki uczony Lucian *Adam* wydrukował w czasopiśmie Techmera artykulik p. t. „*De la catégorie du genre*“ (str. 218—221), w którym uzupełnia własną monografią, wydaną dawniéj w tym samym przedmiocie, p. t. „Du genre dans les diverses langues, Paris. 1883“. Kategoryę rodzaju Adam rozpatruje w związku z wyobrażeniami mitologicznemi.

Prawdziwą ozdobę zeszytu stanowi dość obszerna rozprawa *K. Brugmana*, p. t. „*Zur Frage nach den Verwandtschaftverhältnissen der indogermanischen Sprachen*“ (str. 226—256). Uznając bliższe pokrewieństwo tylko między obiema grupami języków *aryjskich*, t. j. między indyjską i irańską, oraz między językami *baltyckiemi* (litewskim itd.) i *słowiańskiemi*, Brugman odrzuca wszelkie bliższe pokrewieństwa między innemi grupami języków ario-europejskich, z wy-

jątkiem może grup *italskiéj* (łacina etc.) i *celtyckiéj*. Wszelkie owe teorye, tak o stopniowém rozpadaniu się języków ario-europejskich (Spaltungstheorie, Schleicher i wielu innych), jako téż o falowém, stopniowém rozprzestrzenianiu się właściwości, powstających w pewném miejscu wspólnego terytoryum językowego („Wellen-oder besser Uebergangshypothese“; Schnehardt, Joh. Schmidt i inni) chromają na niedokładność, nieścisłość, oraz nieuwzględnienie najoczywistszych faktów podobieństwa rozwoju językowego, niezależnie od historycznego pokrewieństwa języków. Jeżeli spotykamy zupełnie podobne zjawiska, np. w językach nowo-indyjskich i w językach romańskich, chociaż między plemionami indyjskiemi i łacińskiemi nie było nigdy ani geograficznego, ani téż historycznego związku, to jakiémże prawem z kilku podobieństw rozwojowych między sąsiedniemi językami, np. germańskiemi i słowiańskiemi, możemy czynić wnioski, albo o wspólném niegdyś życiu językowém obu tych plemion, tj. o istnieniu wspólnego języka germańsko-słowiańskiego (teorya rozpadania się, Schleicher), albo téż o niemożliwości niezależnego powstania podobnych właściwości i o możności rozwinięcia się ich tylko w jedném miejscu i stopniowego przenoszenia się przez pewnego rodzaju zarażanie się na inne sąsiednie terytorya (teorya falowego rozszerzania się zjawisk językowych, Joh. Schmidt)? Koniecznym warunkiem uznania bliższego pokrewieństwa np. języków germańskich i baltycko-słowiańskich, lub téż italskich i greckich, jest wynalezienie wielkiéj ilości jednakowych nowotworów głównych, fleksyjnych, składniowych i słownikowych (leksykalnych), które w całéj masie wyłączały-by zupełnie myśl o przypadkowém podobieństwie (str. 253). Wynalezienie zaś takiéj imponującéj masy podobieństw jest rzeczą bardzo wątpliwą. Początek swéj rozprawy (§ 1) poświęca Brugman historycznemu przeglądowi kwestyi o wzajemném pokrewieństwie oddzielnych grup języków ario-europejskich; w ostatnim zaś paragrafie (§ 9) zastanawia się nad pytaniem: czego potrzeba, ażeby pewną głoskę (dźwięk), lub formę uznać za pierwotnie ario-europejską (pra-ario-europejską)? Z całego pierwszego zeszytu czasopisma Techmera, praca Brugmana najbardziéj zasługuje na uwagę i na wszechstronne studyowanie. Napisaną ona była jeszcze w jesieni r. 1878, ale dopiero teraz, z nieznacznemi jedynie zmianami, zjawiła się w druku.

Max *Müller* wydrukował najkrótszy ze wszystkich artykulik, treści mitologicznéj, p. t. „*Zephyros und G̱āhusha*“ (str. 215—217), gdzie stara się wykazać pierwotną tożsamość greckiego „Zefira“ i indyjskiego „G̱āhusha“ (wym. Dżahusza), wspomnianego tylko dwa razy w Rigwedzie. Müller wspiera się głównie na stronie językowéj;

a właśnie z téj strony można mu zrobić kilka zarzutów, podających w wątpliwość jego wywód.

Nakoniec przedruk dwóch urywków z ogromnego dzieła Garrick'a *Mallery* „Sign language among North American Indians, I ann. rep. of the bureau of ethnology, Washington, 1881“ stanowi pozostały jeszcze artykuł w rozbieranym zeszycie, p. t. *Sing language* (str. 193—210). Chociaż praca Mallery, zajmując się nie głosowo-słuchowym, ale mimiczno-wzrokowym wyrażaniem myśli ludzkich, leży właściwie po za obrębem językoznawstwa, w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, to jednak powinna być uwzględnioną przez lingwistów, gdyż mimiczne wyrażenie myśli i uczuć, już z natury jednolitego organizmu ludzkiego, musi przedstawiać bardzo wiele analogii z głosowém wyrażeniem myśli i uczuć, czyli z właściwym językiem. Umieszczone w tekście rysunki illustrują bardzo dokładnie sam wykład teoretyczny.

W Programie swego czasopisma (str. XIII) Techmer obiecuje umieszczać nie tylko prace oryginalne, ale także przedruki i przekłady prac ważniejszych, ale mało dostępnych czytającéj publiczności. Zamiar to bardzo dobry, chociaż z 30 arkuszy rocznie należałoby poświęcać na przedruki chyba bardzo nie wiele, i to w takim jedynie razie, jeżeli dane prace są niezmiernie ważne, a dostać ich niepodobna. Tymczasem w pierwszym, 256-stronicowym, zeszycie prace oryginalne i specyalnie dla czasopisma przeznaczone, zajmują tylko 60 stronic. Takiemi są rozprawy i rozprawki obu Müllerów, Adama, Sayce'a, Brugmana i artykuł o „transkrypcyi“ samego Techmera. Ten ostatni artykuł należy wyłączyć, gdyż ma on znaczenie tylko wskazówki technicznéj. Pozostaje więc 45 stronic. Tu znowu rozprawka Adama zawiera jedynie dopełnienia do jego własnéj monografii, osobno wydanéj. Ostatecznie tedy tylko prace Brugmana, Sayce'a i obu Müllerów możemy uważać za ściśle oryginalne i zjawiające się po raz pierwszy. Obszerna praca samego Techmera jest w znacznéj części przeróbką własnéj jego pracy, dawniéj wydanéj, przeróbką, napisaną specyalnie dla czasopisma, przeróbką bardzo ważną i pożyteczną, ale zawsze tylko przeróbką. Co się nareszcie tyczy prac Potta i Mallery, to są one najzwyczajniejszemi przedrukami, Potta przedrukiem całkowitym, Mallery zaś wyciągiem z dużego dzieła.

Obiecane w Programie (str. XIII) sprawozdania, artykuły krytyczne itp. zostały odłożone do drugiego zeszytu.

Dla oryentowania się w treści i zakresie kwestyj naukowych, którym poświęcone jest czasopismo, Techmer daje w Programie (str. XIV—XV) przegląd całego systemu językoznawstwa, rozróżnia-

jąc w języku przedewszystkiem trzy strony: 1) *przyrodniczą* (naturwissenschaftliche Seite), łączącą językoznawstwo z antropologią, 2) *psychiczną* (psychologische Seite), przedmiot *psychiki*, 3) *historyczną* (historische Seite), przedmiot „*historyki*“ (Historik). Każdy z tych działów rozpada się na części i cząsteczki coraz szczegółowsze, przyczém Techmer wpada w błąd, już wyżéj zaznaczony, drobiazgowego, prawie scholastycznego systematyzowania.

Pierwszy zeszyt czasopisma międzynarodowego dla językoznawstwa ogólnego pod względem treści zawartych w nim artykułów pozostawia wiele do życzenia. Powinniśmy jednak uwzględnić trudność podobnego rodzaju przedsiębierstw naukowych. Ja ze swéj strony nie wątpię, że przy energii wydawcy-redaktora i przy gotowości współpracowników czasopismo to rozwinie się wspaniale i stanie się rzeczywiście środkowym, centralnym organem swojéj nauki. Mając na uwadze wysoką ważność podobnego organu, pozwalam sobie wypowiedziéć życzenie, ażeby wszyscy starsi i młodsi uczeni, którym pomyślny rozwój językoznawstwa leży na sercu, starali się wspierać czasopismo Techmera, bądź przyjmując w nim czynny udział w charakterze współpracowników, bądź téż rozszerzając je między czytającą publicznością.

*J. Baudouin de Courtenay.*

---

## KORESPONDENCYA.

*Panu St. Lubiczowi w Petersburgu.* W spisie prenumeratorów „Ateneum“ nie znajdujemy pańskiego nazwiska, adresu zaś swego Pan nie nadesłał. Gdzież mamy przesłać odpowiedź?

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

---

# NOWE KSIĄŻKI

## nadesłane do redakcyi „Ateneum"

*w ciągu m. Sierpnia 1884 r.*

---

1. *Ferdynand Bostel.* **Zakaz Miechowity** (odbitka z „Przewodnika Naukowego i Literackiego" z r. 1884). Lwów; 1884 (st. 55, 8-o).
2. **O dekoracyi wewnętrznej drewnianych kościołów.** Kobylin i Libusza przez *Maryana Sokołowskiego.* Kraków, 1884 (str. 12, wielkie 8-o).
3. *S. Dybowskij.* **O czinszewom prawie** (odbitka, kart 36).
4. **Powieść z lat dawnych p. Henryka Sienkiewicza** „Ogniem i mieczem" ocenił *Ignacy Skrochowski.* Odbitka z Przeglądu Powszechnego. Kraków, 1884 (8-o str. 54).
5. **Złota przędza poetów i prozaików polskich.** Tom II, zeszyt 4 (od str. 209 do 288). Warszawa, 1884, 8-o.
6. **Dzieła poetyczne i dramatyczne** *Fryderyka Schillera* illustrowane przez znakomitych artystów. Zeszyty 15, 16, 17 i 18. Lwów. nakład. księgarni H. Altenberga.
7. **Kilka słów o charakterze dziejowym Słowian i ich posłannictwie.** Opracował *Ludomir Prószyński.* Warszawa 1884, (8-o str. 76).
8. **Słowo o sztuce malarskiej w naszych czasach** napisał *Stanisław Kiernicki.* Kraków 1884, (8-o str. 12).
9. **Ogólny rzut oka na dzieje i stanowisko nauki o rozwoju zwierząt** (embryjologii). Wykład popularny. Napisał *Józef Nusbaum.* Warszawa 1884 (4-to str. 23).
10. **Dwa złote skarby,** (w Vettersfelde w Łużycach i w Michałkowie we wschodniej Galicyi) przez *Maryana Sokołowskiego.* Kraków 1884. (8-o str. 24).
11. *N. Kariejew.* **Moim kritikam.** Warszawa 1884, (8-o str. 84).
12. **Przegląd archeologiczny.** Organ c. k. konserwatoryum pomników oraz Towarzystwa archeol. kraj. we Lwowie. Zeszyt trzeci. Rok 1883. Lwów (8-o str. 136, 14 tablic litogr. i jedna tabl. geneal).
13. **Iwan Fedorowicz** drukarz ruski we Lwowie z końca XVI wieku. Ustęp z dziejów drukarstwa w Polsce. Przez *Stanisława Ptaszyckiego.* Kraków 1884 (8-o str. 43).

---

---

Дозволено Цензурою. Варшава. 18 Августа 1884 г.